POEZYE

ADAMA MICKIEWICZA.

NOWE WYDANIE.

z życiorysem autora, skreślonym przez

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

Dubl. 3124

WARSZAWA.
KSIĘGARNIA
GEBETHNERA I WOLFFA.

PETERSBURG.
KSIĘGARNIA POLSKA
(BR. RYMOWICZ).

1888.

Дозволено Цензурою.

Варшава, дня 12 Ноября 1887 г.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. Nr. 66.

ADAM MICKIEWICZ.

(ŻYCIORYS).

O gdybym kiedyś dożył téj pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy!...

(Wstęp do „Pana Tadeusza").

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 4811A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Białymstoku 3144/2009

884-1 + 884/09/ 1929 r.

M D 25.9.45

A

Adam Mickiewicz

ADAM MICKIEWICZ.

Na początku XIX-go stulecia Litwa znajdowała się w stosunkowo lepszém położeniu pod względem możności rozwoju duchowego, aniżeli inne prowincye byłéj Rzeczypospolitéj polskiéj, które weszły w skład Prus i Austryi.

I tu i tam znikły wprawdzie prawa samorządu, któremi poprzednio jedna warstwa narodu, szlachta, zabezpieczyła sobie swobodę; ale w innych dziedzinach życia, a przynajmniej w jednéj z najważniejszych—w zakresie wykształcenia—nie było już takiego podobieństwa. Gdy bowiem w Galicyi zniemczone zostały zakłady naukowe oddawna i stanowczo, a w ziemiach polskich pod panowaniem pruskiém do tegoż celu zdążano powoli, ale systematycznie; to na Litwie i Rusi nastała właśnie wraz z wiekiem XIX-ym najświetniejsza doba rozwoju szkół, z językiem wykładowym polskim.

Dzięki gorliwości i staraniom księcia Adama Czartoryskiego, który obok sprawowania urzędu ministra spraw zewnętrznych w cesarstwie, miał oddany w opiekę wydział naukowy wileński, obejmujący w sobie zakłady wychowawcze wszystkich prowincyj pol-

skich; dzięki energii i rozległemu pojmowaniu zadania swego przez Tadeusza Czackiego, wizytatora szkół na Rusi, wykształcenie wyższe i średnie w owych stronach rozwinęło się tak bujnie i stanęło tak wysoko, jak nigdy przedtém.

W r. 1803 przemieniona została Szkoła Główna wileńska na całkowity uniwersytet, z hojném jak na owe czasy uposażeniem katedr i z poddaniem pod jego zarząd wszystkich szkół w prowincyach litewskich i ruskich. Do zajęcia katedr uniwersyteckich powołano ludzi zdolnych i w nauce zamiłowanych, zarówno z pośród krajowców jak i cudzoziemców, którzy żyjąc w atmosferze polskiéj, przywiązywali się i do zakładu naukowego i do nowéj ojczyzny, wspólnie z krajowcami dążąc do rozszerzenia i pogłębienia nauki, oraz do zapalenia miłością ku niéj umysłów młodzieńczych. Obok uniwersytetu wileńskiego stanęło r. 1805 wyższe gimnazyum wołyńskie w Krzemieńcu, które później nazwę liceum otrzymało, a kierunkiem swoim praktycznym dopełniało kierunek teoretyczny uniwersytetu. Wreszcie w r. 1812 otwarty trzeci zakład wyższy, akademia jezuicka w Połocku, z właściwém sobie religijném zabarwieniem, budził umysły przez samo sprzeciwianie się liberalnemu prądowi, jaki w dwu innych panował. Szkoły średnie w liczbie dość znacznéj, po większéj części przez księży prowadzone, ułatwiały nabycie oświaty początkowéj, przyczyniały się do wyrobienia wśród ogółu szacunku i poważania dla pracy umysłowéj i przysposabiały zdolniejszą młodzież do nauk wyższych. Od czasu, zwłaszcza gdy znakomity matematyk i astronom, Jan Śniadecki, został rektorem uniwersytetu wileńskiego a zarazem kierownikiem głównym wszystkich szkół na Litwie i Rusi (r. 1807), rozpoczął się tam najświetniejszy okres rozwoju umiejętności i zamiłowania do niéj wśród szerokich warstw społecznych.

Jak pod koniec wieku XV-go do Krakowa, tak w początku XIX-go do Wilna i Krzemieńca tłumem

cisnęła się młodzież pełna zapału, pragnąca zdobyć sobie jaknajwiększy zakres wiedzy.

Zmiana dawniejszych stosunków społeczno-politycznych wpływała potężnie na rozbudzenie i podtrzymanie tego zapału.

Poprzednio, za czasów Rzeczypospolitéj, bylejakie wykształcenie dawało już szlachcicowi możność sięgania po urzędy i dostojeństwa, gdyż każdy przez samo swe urodzenie otrzymywał już do nich pewną kwalifikacyą. Uboższa szlachta garnęła się na dwory magnatów i na nich odbywała swe akademickie studya, zanim za łaską lub protekcyą nie dostała czy urzędu, czy zajęcia korzystnego wogóle. Teraz magnaci stracili polityczne znaczenie całkowicie, nie potrzebowali więc już tak licznych dworów; szlachta musiała myśleć o sobie; a że do urzędów i stanowisk wszelakich nauka okazywała się konieczną, należało się osiągnięciem pewnego przynajmniej jéj stopnia zająć gorliwie. Na dworach można się było dosłużyć zaledwie stanowiska oficyalisty lub zostać pieczeniarzem, a taka perspektywa na przyszłość nie mogła być zachęcającą; ztąd wynikło garnięcie się do nauki, bardzo widoczne wśród szlachty drobnéj na Litwie, gdyż w nauce zaczęto upatrywać potężne narzędzie wzniesienia się na wyższy szczebel towarzyski, zdobycia dogodniejszych warunków życia, wybicia się na samodzielność.

Jak gdzieindziej stan trzeci, mieszczaństwo, tak u nas szlachta drobna, zagonową lub zaściankową zwana, występuje do spółzawodnictwa z warstwami bogatszemi, dawniej już ukształconemi, i dzielnie się w tém spółzawodnictwie przez czas długi trzyma, dostarczając społeczeństwu setki nauczycieli, literatów, prawników, lekarzy, agronomów, techników, wpływając silnie na rozwój życia umysłowego, artystycznego i ekonomicznego.

Z szeregów takiéj drobnéj szlachty, dla któréj otwierały się rozległe na przyszłość widoki, wyszedł

i najznakomitszy, najwięcej przez naród ukochany wieszcz, Adam Mickiewicz.

I.

Czy w czasach odległych były w rodzinie Mickiewiczów jakie wybitniejsze zdolności, któreby dziedzicznie przeszły na dalekiego potomka, nic o tém powiedzieć nie możemy, gdyż ani historya ani tradycya nie przekazały nam żadnych w téj mierze wspomnień. Chodziły wprawdzie głuche wieści o kniaziowskiém jéj pochodzeniu, ale w czasach, gdy już nazwiska i imiona téj rodziny są nam znane z dokumentów, widzimy ją biedną i żyjącą wśród rzeszy szlachty zaściankowéj w ziemi nowogrodzkiéj. Dziad poety nie umiał pisać, ale zebrawszy oszczędnością i zabiegliwością jakiś kapitalik, dbał o to, ażeby syn jego odebrał wykształcenie u księży dominikanów w Nowogródku. Syn ten, Mikołaj, po ukończeniu szkół, wcześnie wszedł w życie obywatelskie jako prawnik, czyli, według wówczas powszechnego na Litwie sposobu mówienia, rejent komisyi porządkowéj. Po ostatnim rozbiorze kraju, ponieważ na Litwie przy nowym rządzie został zatrzymany dawny statut litewski, Mikołaj spełniał i dalej obowiązki adwokata w Nowogródku, ożeniwszy się z Barbarą Majewską, tak samo jak on z drobnéj szlachty pochodzącą. Rodzili mu się sami synowie; doczekał się ich pięciu, ale z pomiędzy nich jeden tylko rozsławił szeroko nietylko w kraju ojczystym, lecz w całym świecie ucywilizowanym nazwisko dotąd znane jedynie w zaściankach.

Adam Bernard Mickiewicz przyszedł na świat d. 24 grudnia 1798 roku. Miejsce jego urodzenia stanowi dotychczas przedmiot sporu naukowego; dawniej powszechnie i jednomyślnie przyjmowono Nowogródek, teraz podzieliły się zdania wskutek rozmaitego rodzaju dowodów, tak że jedni obstają za tém miasteczkiem, drudzy zaścianek szlachecki Zaosie, o kilka mil od Nowogródka odległy, inni wreszcie jakąś karczmę na drodze między miasteczkiem a tym zaściankiem chcą uczynić sławnemi, jako wielkiego człowieka kolebki.

Pozostawiając dalszym badaniom rozstrzygnięcie tego sporu, stwierdzić należy, że dziecinne swe lata przepędził przyszły poeta częścią na wsi w Zaosiu, częścią w miasteczku, niewiele od wsi różniącém się, w Nowogródku, wśród otoczenia pięknéj natury pagórkowatéj i ludzi poczciwych, nie odznaczających się wysokiém wykształceniem ani burzliwemi namiętnościami, lecz spełniających swe obowiązki i zarabiających na życie pracą zmudną i uciążliwą; przywykał więc do stosunków prostych i rósł z tą myślą, że przyszłość sam sobie wywalczyć i zabezpieczyć musi. Te ciężkie warunki bytu sprawiły, że dziecko nie należało bynajmniéj do liczby tak zwanych „cudownych,“ nie zdumiewało przedwczesnym rozwojem ani umysłu, ani serca, ani wyobraźni, owszem rozwijało się prawidłowo, bez wielkich wzruszeń i wstrząśnień, co mu zapewniło w późniejszym czasie pewien stopień równowagi duchowéj, jakiéj inni nasi wielcy poeci nie posiadali. Żaden wypadek donioślejszy nie zamącił mu pierwszych wrażeń, nie wzburzył jego duszy. W domu lubiono czytać poezye i mówić o nich, bo ojciec Adama sam nawet podobno tworzył wiersze; zetknięcie się dzieci ze służbą było częste, a ztąd płynęła też znajomość pieśni i klechd ludowych, które sobie podczas długich wieczorów zimowych opowiadano lub w czasie żniw i dożynków śpiewano. Te wpływy oddziaływały na umysł dziecka spokojnie i w sposób umiarkowany. Pobożność zaszczepiła w serce dziecka matka, szczerze i serdecznie wierząca i głęboko przeświadczona o cudownéj skuteczności modlitwy, któréj przypisywała między innemi uratowanie Adama od śmierci, gdy raz w latach dziecinnych wypadł przez okno na ulicę.

Początki nauki czytania i pisania odebrawszy w domu, dziewięcioletni Mickiewicz oddany został

roku 1807 do tych samych szkół księży dominikanów w Nowogródku, do których i ojciec jego uczęszczał. Ulegały one niewątpliwie od owego czasu pewnym zmianom, zwłaszcza od czasu, gdy Jan Śniadecki surowo zaczął przestrzegać dobrego prowadzenia nauki u zakonników, ale wogóle jak przedtém tak i potém nie zyskały wielkiego rozgłosu i nie mogły się pochlubić nauczycielami o jakichś niezwykłych zdolnościach pedagogicznych. Z czasu pobytu Mickiewicza w tych szkołach znamy nazwiska wszystkich wykładających, lecz obok nazwisk nie możemy postawić żadnych bliższych określeń, któreby nam wskazały charakter ich lub talent; są to osobistości bez historyi.

Nauka szła tu trybem mechanicznym, raz wdrożonym; żadnéj szczególnéj zachęty, żadnego silniejszego bodźca nie mógł mieć Mickiewicz do gorętszego zajęcia się tym lub owym przedmiotem. To też nie liczył się on do uczniów celujących, a nawet w klasie trzeciéj i piątéj przesiedział po dwa lata. Lekcye obowiązkowe nie posiadały dla niego uroku: uczył się ich dopiero w ostatniéj chwili, a że odznaczał się dobrą pamięcią, mógł zawsze pozyskać stopień zadowalniający, lubo bez odznaczenia. Natomiast czytanie pozalekcyjne ciągnęło go ku sobie bardzo silnie; połykał książki bez wyboru, ile ich tylko w takim partykularzu jak Nowogródek wydostać się dało; znalazły się między niemi Iliada i Eneida w tłumaczeniu Franciszka Ksawerego Dmochowskiego i Jerozolima Wyzwolona w przekładzie Piotra Kochanowskiego, ale daleko częściej nastręczały się liche tłumaczenia romansów francuskich Floryana, pani Genlis itp., oraz słabe płody ówczesnych rymokletów, jak np. zapomnianego dziś zupełnie Jędrzeja Świderskiego.

Szkoły atoli owoczesne odznaczały się ważną zaletą moralną: spajały nauczycieli i uczniów w grono niemal rodzinne; razem odbywała się nauka, razem i zabawa; ten sam ksiądz, który dopiero co słuchał lekcyi z powagą a może i surowością, grał następnie

w piłkę z malcami, odbywał z nimi przechadzki, brał udział w majówkach. Wytwarzała się tym sposobem ciepła, serdeczna atmosfera, w któréj przyjaźń, solidarność koleżeńska, szacunek i poważanie, zdrowa jedném słowem uczuciowość krzewiła się bujnie i na całe życie wpływ korzystny wywierała.

Taka atmosfera oddziaływała niewątpliwie i na Mickiewicza w Nowogródku, przyczyniając się do rozwinięcia zarodków uczuć szlachetnych, które już w duszy jego tkwiły, a które następnie podczas życia uniwersyteckiego rozkrzewiły się wspaniale, ażeby utworzyć niewzruszoną podstawę jego charakteru. Życie koleżeńskie z czasów szkolnych, wspólne zabawy, w których nieraz obok zwykłych gier urządzane były sceny z czytanych poematów lub powieści, pięknie odtworzył później poeta w jednym z ustępów IV-éj części „Dziadów,“ nie zapominając zaznaczyć i serdecznego stosunku profesorów do uczniów w postaci księdza, który miłość nauki wszczepiał w serce Gustawa.

Czytając obce utwory, ucząc się w szkole zasad poezyi, Mickiewicz próbował już w Nowogródku sił swoich w tworzeniu wierszy; to kreślił bajki, to opisywał pożar miasteczka, to ujmował prozaiczne tłumaczenie polskie romansu Floryana „Numa Pompiliusz“ w rymy;—wszystkie te atoli próby albo wcale się nie dochowały, albo też doszły nas w mało znaczących urywkach, z których sądu o wartości owych młodzieńczych utworów wyrobić sobie nie można. W każdym atoli razie niepodobna ich uważać inaczej jak za proste ćwiczenia, które niejeden zdolniejszy umysł sam sobie w klasach zadaje, ażeby się nauczyć pokonywania trudności językowych, stylowych i rymowych, ażeby dla myśli swych wyrobić posłuszne w mowie narzędzie. Że je za takie ćwiczenia Mickiewicz poczytywał, dowód w tém, że nie znajdujemy ciągłości w zajęciu się tworzeniem wierszy; pierwsze bowiem lata jego

pobytu w uniwersytecie przeminęły, nie zostawiając żadnego śladu jakiéjkolwiek pracy twórczéj.

Z wypadków życia pozaszkolnego dwa są najważniejsze w tym okresie: jeden charakteru jednostkowego, drugi ogólniejszego,—oba przedzielone od siebie krótkim przeciągiem czasu.

W połowie maja 1812 roku stracił czwartoklasista nasz ojca. Cios ten, jak wnosić można z jego głęboko uczuciowego nastroju, odczuł on boleśnie i starał się, o ile mu siły starczyły, dopomódz owdowiałéj matce w kłopotach domowych; jako uczeń klasy V i VI-éj uczył się lepiej niż poprzednio i został dozorcą domowym uczniów, a w sprawowaniu tego obowiązku był pilny i zdolny, jak zaświadczyła zwierzchność szkolna. Prócz tego usposobienie jego od téj chwili prawdopodobnie spoważniało. Dawniej miał skłonność do płatania żartobliwych figlów, a chociaż ją i o wiele później jeszcze zachował, to przecież już i teraz objawiła się w nim wprost przeciwna tamtéj skłonność do tęsknéj zadumy, do samotności i rozrzewnienia, bez żadnéj widocznéj, jawnéj przyczyny. Powoli z dziecka stawał się młodzieńcem, którego dusza głębszą i potężniejszą była od rówieśnych.

Drugi wypadek z roku 1812, oddzielony od pierwszego zaledwie półtoramiesięcznym przeciągiem czasu, było-to przejście części wojsk napoleońskich przez powiat nowogrodzki i sam Nowogródek. Dom Mickiewiczów, jako najlepszy naówczas w miasteczku, był chwilowém mieszkaniem Hieronima Bonapartego, który z korpusem piątym księcia Józefa Poniatowskiego oraz z siódmym i ósmym przechodził tę okolicę. Widok świetnie ubranéj, błyszczącéj od złota świty króla, głosy trąb, bębnów i piszczałek, okrzyki ludu, cześć, którą otaczano wodza, wywarły nadzwyczaj silne wrażenie na umyśle 14-letniego chłopca i utkwiły mu w pamięci tak głęboko, że po latach wielu wszystkie szczegóły jakby obecne oczom jego się przedstawiały. Wielkość ludzka nabrała wtedy w umyśle jego jakiegoś odcienia

boskości, Napoleon urósł w jego wyobraźni na olbrzyma, któremu równego nigdy nie było na świecie. W tém wrażeniu dziecinném trzeba szukać początkowych śladów téj czci, jaką w latach późniejszych wyznawał Mickiewicz dla tego „boga wojny.“ Nie widział go on osobiście, ale wyrobił o nim sobie wyobrażenie z téj cząstki blasku i świetności, jaką brat jego był otoczony w Nowogródku. Skojarzenia wyobrażeń dokonane w dzieciństwie są najsilniejszemi, jakie człowiek posiadać może, a więc też trwają najdłużej i wpływają na inne. Na razie mogą one pozostawać w formie utajonéj i nie zajmować wielkiego miejsca w umyśle, ale przy sprzyjających okolicznościach występują z wielką łatwością i opanowują duszę. I Mickiewicz, po samym fakcie widzenia części armii napoleońskiéj, nie okazywał jakichś zastanawiających dowodów przeniknięcia się wielkością potężnego władcy, nie zaciągnął się, jak to sobie dawniej opowiadano, do wojska na ochotnika, pozostał w Nowogródku, a ponieważ lekcye w szkołach, dzięki energii Jana Śniadeckiego, nie zostały przerwane, więc wraz z innymi zasiadł na ławie i uczył się jak inni; — ale po upływie lat wielu zmartwychwstały w nim wrażenia dziecinne i znalazły wyraz naprzód w „Panu Tadeuszu,“ a potém w teoryi mesyanicznéj.

Napomknąwszy tu o sile wrażeń dziecinnych, wróćmy jeszcze do Nowogródka na chwilę. Okres wykształcenia szkolnego trwał u Mickiewicza lat osiem; skończył się w lipcu 1815 roku. Świadectwo ostateczne, które uczeń nasz otrzymał przy wyjściu od księży dominikanów, zawierało te słowa: „zdatność do nauki dobra, postępek dobry, obyczaje dobre,“ a więc wskazywało średnią przeciętną miarę przymiotów, jakie wychowaniec szkoły posiadać winien, ażeby mógł być uważany za uzdolnionego do studyów uniwersyteckich. Nic odznaczającego się, nic zasługującego na stopień celujący przy tém uogólnieniu wyników nauki nie znaleźli nauczyciele nowogrodzcy w mło-

dzieńcu, który niebawem miał zajaśnieć jako talent pierwszorzędny. Nie znaczy to, ażeby nauczyciele ci byli krótkowidzami lub niesprawiedliwymi; bynajmniej; rozwój talentu Mickiewicza był powolny i przechodził kolejno niższe stopnie, zanim wzbił się do najwyższego.

II.

Stopniem wyżej wzniósł się Mickiewicz podczas pobytu w Wilnie, zarówno pod względem naukowym jak i moralnym.

Uniwersytet wileński był w owych czasach jedynym zakładem wyższym, który w języku polskim mógł dostarczyć wiedzy, na równi prawie z uniwersytetami zagranicznemi. Czas studyów Mickiewicza od r. 1815 do 1819 był zarazem najświetniejszą dobą w dziejach téj instytucyi. Składały się na to i siły naukowe wszystkich wydziałów, i zapał młodzieży do wiedzy, i powszechne interesowanie się pomyślnym rozwojem światła umiejętności w kraju. Kto chciał, mógł tu zapoznać się gruntownie ze spółczesnym stanem nauk przyrodniczych i humanitarnych, mógł ukształcić umysł doświadczeniem wieków i uzdolnić go do badań samodzielnych.

Mickiewicz przyjechał do uniwersytetu z myślą przygotowania się na nauczyciela gimnazyalnego. Zaraz na samym wstępie znalazł poradę i pomoc u dziekana oddziału matematyczno-fizycznego, imiennika i dalekiego krewnego, Józefa Mickiewicza, który nie odznaczał się wprawdzie jako uczony i profesor, ale słynął natomiast z dobrego serca i chęci dopomagania biednym studentom. Za jego zapewne wskazówką, mając zapewnione u niego mieszkanie, zdał Adam egzamin wyznaczony dla kandydatów do stanu nauczycielskiego, został przyjęty w ich poczet i zapisał się początkowo na oddział matematyczno-fizyczny; niebawem wszakże, bo conajwyżéj po upływie pierwszego

półrocza, przeniósł się na oddział literatury i sztuk wyzwolonych, nie czując zapewne dostatecznego upodobania w naukach ścisłych.

Pierwsze dwa lata upłynęły mu na bierném wchłanianiu umiejętności oraz wrażeń, jakich dostarczało większe miasto,—zupełna nowość dla młodzieńca wychowanego na prowincyi.

Z pomiędzy nauczycieli Mickiewicza trzej głównie na rozwinięcie jego wpłynęli: Grodek, Borowski i Lelewel.

Godfryd Ernest Grodek, znakomity znawca języków starożytnych, greckiego i łaciny, doskonale obznajmiony z postępami filologii klasycznéj, umiejętnym wykładem zaszczepiał zamiłowanie do niéj, wyrabiał zrozumienie metody ściśle naukowéj i wdrażał znajomość łaciny z taką siłą, iż pomimo braku systematycznéj uprawy téj gałęzi wiedzy, Mickiewicz po upływie lat wielu mógł być profesorem języka i literatury łacińskiéj w akademii i wiersze łacińskie pisać z wdziękiem Horacyuszowskim. Piśmiennictwo klasyczne położyło kamień węgielny pod ogólne literackie wykształcenie Mickiewicza i ustrzegło go od krańcowych wybujałości romantyzmu niemieckiego.

Leon Borowski był profesorem wymowy i poezyi. Nie posiadając sam wysokiego daru twórczego, umiał przecież dla uczniów swoich spożytkować znaczne zasoby wiadomości z literatur obcych i ojczystéj, nie zacieśniał się bowiem w poglądach swoich na twórczość do formuł poetyki francuskiéj, ale znając literaturę niemiecką, angielską, włoską i hiszpańską, otwierał wobec słuchaczów szersze widnokręgi estetyczne, zachęcając ich do jasnego i ścisłego wyrażania myśli, zarówno w prozie jak i w wierszu. W literaturze polskiéj dwu szczególniéj umiłował poetów: Trembeckiego i Piotra Kochanowskiego, i czytanie ich pilne studentom zalecał. Mickiewicz sam wyznawał, że z uwag profesora swego wiele korzystał w wyrobieniu stylu, a w twórczości jego pierwotnéj znajdu-

jemy wyraźne i częste ślady rozczytywania się w owych dwu wybranych poetach.

Joachim Lelewel, wykładający jako docent historyą powszechną wraz z jéj metodyką, choć młody, już wtedy rozległą nauką, ścisłym krytycyzmem i głębokiém wnikaniem w przyczyny zjawisk dziejowych, przyzwyczajał umysły młodzieży do wszechstronniejszego poglądu na rzeczy, dawał poznać wartość i znaczenie zbadania szczegółów drobnych, gdy z ich połączenia wyprowadzał ważne wyniki, rzucając światło na rozwój cywilizacyi, prostował wreszcie popularne a wielce powierzchowne pojmowanie zadań historyografii. Mickiewicz zawdzięczał mu szeroki i jasny pogląd na dzieje oraz zasadę przenoszenia się myślą i wyobraźnią w wieki minione, dla zżycia się z ówczesnymi ludźmi i wypadkami, ażeby je odtworzyć bezstronnie, przedmiotowo, nie zaś według osobistych sympatyj lub antypatyj. Niezawsze wprawdzie pozostał on wiernym téj zasadzie, zwłaszcza gdy inne, potężniejsze wpływy przyćmić ją zdołały, ale bądźcobądź jéj to właśnie w znacznéj części przypisać należy między innemi tę przedmiotowość, którą w „Panu Tadeuszu“ podziwiamy.

Wpływy innych profesorów nie zaznaczyły się tak wyraźnemi jak owych trzech śladami w życiu i twórczości Mickiewicza, przyczyniły się atoli do zwiększenia ogólnéj sumy wiedzy, jaką się on wogóle odznaczał, podkładając grunt naukowy pod wszelkie jego zapatrywania.

Życie umysłowe Wilna w owym czasie tętniło silnie; nigdy tam nie było tak wielkiéj liczby czasopism, ani tylu towarzystw z dążnością umoralniającą, jak właśnie w dobie studyów uniwersyteckich Mickiewicza. „Dziennik wileński“ jako organ profesorów zaznajamiał w sposób przystępny dla ogółu z wynikami badań naukowych. „Tygodnik wileński,“ w którym młodsze pokolenie piszących przeważny brało udział, nęcił beletrystyką i rozbiorem spraw bieżących. „Pamiętnik magnetyczny“ obudzał ciekawość opowiadaniem o cudownych skutkach mało zbadanéj siły. „Wiadomości brukowe,“ rzucając światło satyryczne na ujemne objawy życia, zaprawiały umysły do świadoméj siebie oceny stosunków społecznych, wyrabiały poczucie krytyczne i zachęcały do reform. Towarzystwo Szubrawców, które „Wiadomości“ te wydawało, jak niemniéj wolnomularstwo, które po chwilowém przycichnięciu nanowo działać zaczęło, dążyły, lubo w odmiennéj formie, do jednakowego celu rozpowszechnienia idei humanitarnych i liberalnych. Teatr, ożywiony przybyciem do Wilna Wojciecha Bogusławskiego, głośnego organizatora sceny narodowéj, dostarczał mnóstwa wrażeń estetycznych wszystkim, a szczególniej młodzieży akademickiéj.

Jak widzimy, było zarówno w uniwersytecie jak w mieście tyle do przyswojenia sobie, do wchłonięcia umysłem, że nie można się dziwić, iż Mickiewicz przez lat dwa po przybyciu do Wilna nic nie utworzył samodzielnie.

W dwu latach następnych obok wymienionych tu wpływów przybywają trzy nowe, które, jako świeższe, potężniej oddziaływały na duszę młodzieńca. Są to związki koleżeńskie, pierwsza miłość i twórczość poetycka.

Studenci w uniwersytecie żyli zazwyczaj z sobą grupami według szkół, w których wykształcenie średnie pobierali, nie tworząc żadnych większych towarzystw. Poczucie jednak solidarności akademickiéj tkwiło w nich wielkie; potrzeba więc było tylko pewnego potrącenia i organizatorów, ażeby ją wyraźnie ujawnić. Przykład starszych, zawiązujących się w towarzystwa, tradycyjnie przechowujące się wspomnienie, że pomiędzy r. 1804 a 1808 istniał już w uniwersytecie związek „filomatyczny,“ były takiém potrąceniem myśli wśród towarzyszów Mickiewicza; a organizatorowie znaleźli się w osobach Tomasza Zana, studenta wydziału matematyczno-fizycznego i Józefa Jeżowskiego filologa. Szczególniej Zan celował zdol-

nością skupiania wokoło siebie kolegów, przemawiania do ich serc i umysłów, a charakterem łagodnym lecz wytrwałym jednał sobie wszystkich i miłość ich zyskiwał. Jeżowski chłodny, spokojny, poważny, surowy dla siebie, pobłażający dla innych, nadawał się doskonale na kierownika zebrań. Ci dwaj, porozumiawszy się z kilku kolegami, między którymi przedewszystkiém wymienić należy Jana Czeczotta i Adama Mickiewicza, znających się dobrze ze szkół jeszcze nowogrodzkich, oraz Franciszka Malewskiego, syna ówczesnego rektora uniwersytetu, zawarli stowarzyszenie dnia 1 października 1817 roku i nazwali je na pamiątkę dawniejszego filomatyczném. Zadaniem jego było niesienie pomocy materyalnéj i naukowéj kolegom, wspólne zachęcanie się do nauki i dobrego postępowania, wzajemne krytykowanie prac literackich, które na posiedzenia co dwa tygodnie odbywające się przynoszono i roztrząsano. Tajném nie miało być ono wcale; w programie bowiem swoim nie mieściło nic takiego, coby się widokom rządu lub władzy uniwersyteckiéj sprzeciwiało. Owszem spisane prawidła tego stowarzyszenia przedstawione były rektorowi i zatwierdzenie jego uzyskały. Z początku istnienia towarzystwa założyciele małą tylko liczbę studentów do spółuczestnictwa przypuścili, ale gdy wskutek ożywienia ducha pod wpływem wspaniałego i podniosłego obchodu po śmierci Kościuszki, oraz innych spółczesnych okoliczności, jak otwarcia pierwszego sejmu w Królestwie Polskiém i t. p., zaczęto garnąć się tłumami do związku, utworzył Zan szersze towarzystwo 10 kwietnia 1819 roku, pod nazwą „filaretów“ (miłośników cnoty), podzielone na kilka gron, stosownie do rodzaju studyów, którym się uczestnicy oddawali. Filomaci zaś w dawniejszéj szczupłéj liczbie byli przewodnikami tych gron i na posiedzenia ich wysyłali delegatów. Tendencya zresztą nowego towarzystwa w niczém się nie różniła od dążności filomatów; zaznaczono w niéj tylko silniej uczucia patryotyczne.

KSIĄŻNICA ... im. Łukasza G... Nr ... KS. ARCHIWALNY Białymstoku

Wśród tych towarzystw dojrzewał Mickiewicz sercem, zawierał przyjaźni, które mu najpiękniejszą pamiątką młodości pozostały, rozwijał w sobie skłonność do ofiarności i poświęcenia, przejmował się wielkiemi ideami ojczyzny i człowieczeństwa. Wśród tych towarzystw wyrobił się też w nim popęd twórczy, wraz z szlachetném jego skierowaniem ku podniesieniu i uszlachetnieniu duszy pomiędzy współtowarzyszami, w narodzie i ludzkości. Nie sława tylko, ale przyniesienie pożytku społeczeństwu stały się hasłem jego poezyj. Wiersze pisane dla filomatów i filaretów, takie jak: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,“ „Niech radością oczy błysną,“ „Pieśń filaretów,“ „Oda do młodości,“ lubo odmienne formą a nawet natężeniem siły twórczéj, noszą przecież na sobie ten wspólny, podniosły charakter.

Bodźca bardziej osobistego do téj twórczości dodawała młodemu poecie pierwsza miłość. Ucieleśnienie ideału znalazł on naprzód w Maryli Wereszczakównie. Była to panna z dość zamożnego rodu, wykształcona tak, jak były wykształcone ówczesne kobiety wyższego stanu, z nastrojem sentymentalnym, w którym wyobraźnia i serce tak się ściśle nieraz splatały, że trudno było nieraz orzec, czy jedna czy drugie głównie w grę wchodziły. Piękną nazwać jéj najbliżsi znajomi nie mogli, ale przyznawali, że posiadała jakiś dziwny urok, coś poetycznego i pociągającego. Mieszkała ona wraz z matką i braćmi lubiącymi życie wesołe w Tuhanowiczach niedaleko Zaosia, w którém Mickiewicz od czasu do czasu bawił na wakacyach. Stosunków atoli poufałych między Wereszczakami a zagonową szlachtą być nie mogło, a to stało się powodem, że młody student, który dotychczas zapewne zbliżał się tylko do szlachcianek zaściankowych lub małomiasteczkowych, dopiero za pośrednictwem Zana w r. 1818 zaznajomił się z Marylą. Pierwsza kobieta z pewném literackiém wykształceniem i z wykwintniejszemi manierami światowemi, poznana w towarzystwie przez

Biblioteka Publiczna ... Białymstoku

młodzieńca o żywém usposobieniu, gorącém sercu i bujnéj wyobraźni, musiała nań wywrzeć silne wrażenie i stać się przedmiotem marzeń,—bez żadnych zresztą dalej idących zamiarów. Chętnie przebywał w jéj towarzystwie, lubił z nią rozmawiać, grać w warcaby czy szachy, towarzyszyć na przechadzkach, słuchać jéj śpiewu lub gry na fortepianie. Do żadnych wyznań miłosnych, do żadnych przyrzeczeń między nimi nie przyszło; stosunek pozostał idealnym i dlatego mógł się stać silnym i trwałym. Jeżeli nawet Mickiewicz dostał od Maryli „zawiązkę z bladych włosów“ i listek cyprysu, to nie mógł tych oznak serdeczności uważać za coś więcej jak za pamiątkę, którą w czasach sentymentalnych panny i mężatki dość hojną ręką darzyły dobrych swych znajomych. Z czasem uczucie przyjaźni w obu sercach spotęgowało się i rozgorzało aż do miłości; ale na razie miało charakter spokojny i łagodny.

Poeta, powróciwszy do Wilna na dalsze studya, przywoływał zapewne nieraz na pamięć postać Maryli, zdobił ją w wyobraźni wszelkiemi możliwemi zaletami, stawiał w rozmaitych kolizyach, czynił ją bohaterką wysnutych przez się sytuacyj. Świadectwem tego stanu duszy jest króciutka powiastka p. n. „Żywila“ drukowana r. 1819 w Tygodniku wileńskim. Żywila, któréj imię rymuje się z Marylą, jest księżniczką; kocha się w niéj ubogi rycerz Poraj—a taką nazwę nosi herb Mickiewiczów; — stosunek to mniejwięcej taki, jak Wereszczakówny do syna szlachty zaściankowéj. Bohaterka ma wszelkie cnoty doskonałéj kochanki i obywatelki. Pokochawszy Poraja, gotowa jest znieść wszelkie męczarnie zadawane jéj przez dumnego ojca, gotowa nawet pójść na śmierć, ale chce widzieć swego kochanka szlachetnym i wiernym synem ojczyzny. Gdy Poraj dla uwolnienia jéj z więzów połączył się z wrogiem, wpadł na Nowogródek i ją oswobodził, ona wyrwawszy mu miecz z ręki, zabiła go, a sama powoławszy lud do obrony i poraziwszy nie-

przyjaciół, umarła. Idealizowanie ukochanéj, nawet kosztem trochę siebie samego—oto objaw znamienny miłości duszy szlachetnéj i pięknéj.

Forma wyrażenia myśli i uczuć w ciągu studyów uniwersyteckich była u Mickiewicza zawarunkowana powszechnie jeszcze wtedy uznawanemi u nas wzorami tak zwanéj poezyi klasycznéj, na modłę francuską. Trzymanie na wodzy wybuchów fantazyi i uczucia, styl jasny, czysty, poprawny, ale lubujący się we wspomnieniach mitologicznych i w wyszukanych peryfrazach, a unikający wyrazów pospolitych choć dobitnych i żywo malujących przedmiot, wierszowanie staranne. z którego usuwano wszelkie końcówki łatwe, usiłując kończyć zdania wraz z rymami: oto główniejsze cechy téj poezyi, co już dożywała ostatnich dni swoich. Z uniwersytckich wierszy Mickiewicza najwidoczniej cechy te występują w dwu utworach, we wspomnianém poprzednio filomatyczném przemówieniu: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,“ jakotéż w obrazku p. t. „Zima miejska,“ (drukowanym w Tygodniku Wileńskim z r. 1818), malującym zabawy karnawałowe w mieście, dla przeciwstawienia im osmutniałych widoków krajobrazu wiejskiego. Są to rzeczy tak wiernie według reguł obowiązujących skreślone, że mógłby się był podpisać pod niemi każdy „klasyk“ nasz z początku XIX stulecia. Na wyrażenia a nawet na formę wiersza oddziaływały tu widocznie studya nad Trembeckim. W takimże kierunku skreślony był niewątpliwie dłuższy poemat żartobliwo-bohaterski p. n. „Kartofla,“ przedstawiający dzieje przywiezienia téj rośliny do Europy i opis jéj uprawy, poemat dziś jeszcze istniejący, ale dotychczas drukiem nieogłoszony. W teoryi też same pojęcia estetyczne wypowiedział nasz poeta w rozbiorze epopei Tomaszewskiego „Jagiellonida,“ drukowanym na początku r. 1819 w Pamiętniku Warszawskim.

Gdy Mickiewicz pod wpływem atmosfery literackiéj, która wykształceniem jego pokierowała, odpo-

wiednie jéj utwory pisał i ogłaszał, budziły się już i wśród nas nowe prądy poetyckie, romantycznemi pospolicie zwane. Książka francuska pani de Staël o Niemczech była pierwszą zwiastunką dla szerszych kół inteligencyi, że obok nas powstała literatura nowa, zachwycająca i świeżemi pomysłami i oryginalnym stylem, przywracająca fantazyi i uczuciu należne prawa, będąca genialném odtworzeniem usposobienia i ideałów narodowych. Potém Kazimierz Brodziński w rozprawie o klasyczności i romantyczności (1818), lubo ostrzegał przed ślepém naśladownictwem jednéj i drugiéj, lubo wskazywał drogę pośrednią a z duchem narodu wedle jego wyobrażeń zgodną, uznawał przecież nową poezyą niemiecką za doskonały wyraz uzdolnienia i charakteru Niemców. Inni starali się dowieść, że literatura niemiecka jest wyższa nad francuską i odpowiedniejsza dla naszych potrzeb. W czasopismach ukazywały się tłumaczenia poezyj niemieckich, zwłaszcza Schillera. Nie brakowało oczywiście i przeciwników, a z pośród nich najdonioślejszym głosem zagrzmiał Jan Śniadecki, człowiek bardzo rozumny, ale zbyt formalistycznie przedstawiający sobie piękno poezyi jako raznazawsze ściśle określone regułami. Głos ten atoli, tak samo jak oględne ostrzeżenia Brodzińskiego, nie mógł powstrzymać ruchu nowatorskiego, w którym młodzież przeważny wzięła udział. Literatura niemiecka coraz liczniejszych i coraz goretszych zyskiwała zwolenników.

Ten zwrot do poezyi niemieckiéj, przez czas długi u nas lekceważonéj, zszedł się ze zwrotem do poznania twórczości ludowéj, niezależnie od wpływów obcych, cudzoziemskich powstałym. Naprzód starano się zbadać obyczaje, pieśni, klechdy, obrzędy ludowe w interesie czysto historycznym, dla dopełnienia wiedzy o przeszłości, potém, za powodem entuzyasty słowiańskiego Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, który pieszo w przebraniu chłopskiém wędrował ze wsi do wsi, by się dokładnie zżyć z ludem i pochwycić rysy

znamienne jego bytu, fantazyi i charakteru, zaczęto cenić twórczość ludu ze względów poetyckich, widząc w niéj pierwotne i najlepsze źródło natchnień, jako w bezpośredniém odbiciu usposobienia narodowego.

Ponieważ zaś i nowa poezya niemiecka zwracała się z zamiłowaniem ku twórczości ludowéj, czerpiąc z niéj nieraz wątek i barwy, wielbiciele jéj u nas mogli się wobec zarzutu naśladownictwa obronić wskazaniem téj spólnéj nici łączącéj obie literatury, a w każdym przecież narodzie mającéj cechy odmienne.

Ruch ten na polu literackiém nie mógł być obcym dla studentów wileńskich. Ci zwłaszcza, którzy jak Mickiewicz sami już sił swoich w poezyi próbowali, z ciekawością śledzić musieli objawy nowego kierunku estetycznego. Jest podanie, że już w r. 1819, gdy jeszcze poeta nasz był w uniwersytecie, ukazały się w Wilnie pierwsze zwiastunki przemiany pojęć literackich — balady; pisał je Tomasz Zan, biorąc treść z klechd ludowych, a formę z poezyi niemieckiéj, przy pośrednictwie naśladowań rosyjskich Żukowskiego.

Czy Mickiewicz poszedł za tym przykładem swego kolegi jeszcze w uniwersytecie, jak utrzymuje toż podanie, twierdzić napewno niepodobna; nie posiadamy bowiem żadnych dat ścisłych co do pierwszych jego balad; w każdym jednak razie jeżeli nawet co pisał w tym rodzaju, to nie przejął się odrazu zapałem ku nowemu kierunkowi, gdyż znamienną cechą jego umysłu było, że niełatwo porzucał raz zdobyte pojęcia, lecz je modyfikował stopniowo tak, iż nieraz spółcześnie istniały w jego umyśle dawne i nowe. Ku romantyzmowi skłonił się wyraźnie dopiero po opuszczeniu uniwersytetu w r. 1819.

III.

Jako wychowaniec seminaryum nauczycielskiego, Mickiewicz musiał odsługiwać pewną liczbę lat w za-

wodzie pedagogicznym. Zarząd uniwersytetu wyznaczył mu posadę profesora łaciny, wymowy i prawa w szkole powiatowéj w Kownie, należącéj do nielicznych jeszcze wtedy na Litwie zakładów średnich świeckich. Z początkiem września 1819 roku musiał już być na stanowisku. Pożegnawszy matkę, rodzeństwo, przyjaciół i Marylę, od któréj wtedy zapewne dostał owę „z bladych włosów zawiązkę," pojechał do pięknie położonego nad spływem Niemna i Wilii miasteczka, gdzie w murach pojezuickich otrzymał mieszkanie. Nowi koledzy jego, nauczyciele, byli także wychowańcami uniwersytetu wileńskiego i posiadali po większéj części stopnie naukowe; wiekiem atoli znacznie się od niego różnili i nie mogli mu zastąpić towarzystwa filomatów i filaretów. Nauczanie nie zdołało go zająć i pochłonąć, gdyż usposobieniu jego poetyckiemu wcale nie odpowiadało. Rozrywek towarzyskich na razie nie znajdował a pewnie i nie szukał. Wytworzyła się więc w duszy młodego poety tęsknota za minionemi chwilami swobody uniwersyteckiéj, kiedy w gronie przyjaciół przebywał; wspomnienia rozmów i zabaw z Marylą coraz częściej wracały do jego duszy i budziły w niéj niepochwytne, niedające się ściśle określić marzenia; zajęcia dla wyobraźni szukać musiał w sobie i w książkach, a czytanie poezyj rozpłomieniało jego uczucia.

Gdy się na jakąś ranę ciała czy duszy zwróci szczególną uwagę, staje się ona dotkliwszą, bardziej palącą, a wreszcie nieznośną; rozmyślanie o niéj budzi długie szeregi skojarzeń uczuciowych, które całą siłą swoją uderzają na nas i potęgują rozdrażnienie. Tak było i u Mickiewicza. Rzeczywiste pobudki, wywołujące w nim uczucie osamotnienia i tęsknoty, rozstanie się z przyjaciółmi i Marylą, rozżarzone zostały rozmyślaniem nad niemi w ciszy murów poklasztornych lub na oddalonych za miastem przechadzkach, w sławnéj dolinie Kowieńskiéj „najpiękniejszéj w świecie," oraz czytaniem utworów poezyi niemieckiéj, które

na serce młodzieńca jak iskra na proch działały. Bürger, Goethe, Jean Paul Richter, szczególniej zaś płomienisty Schiller stali się teraz nieodstępnymi jego towarzyszami i wsączali mu w duszę tę „słodką truciznę," co stanowiła „niebo i tortury" jego ówczesnego życia.

A gdy na duszę czytaniem poezyj do wysokiego nastrojoną tonu i podatną do przyjęcia głęboko wszelkich wrażeń zwłaszcza smutnych, padały ciosy z zewnątrz, to coraz silniej, coraz boleśniej odczuwał je poeta. Takiemi ciosami były: obłożna choroba, któréj podpadł bawiąc na wakacyach w Wilnie we wrześniu 1820, w skutek któréj nie mógł w czasie właściwym odjechać do Kowna i rozpocząć lekcyj; surowe napomnienie zwierzchności uniwersyteckiéj z tego powodu mu dane; śmierć matki 9 października tegoż roku, wreszcie ślub Maryli z Wawrzyńcem Puttkamerem w dniu 2 lutego 1821 roku.

Tak więc pod połączoném działaniem stosunków rzeczywistych, przejmujących smutkiem, i wchłaniania poezyj, nadających tym smutkom rozmiary olbrzymie, wytworzył się w duszy Mickiewicza stan rozpłomienienia, który go uczynił twórcą nowego kierunku poetycznego. Podniesienie stopnia uczuciowości zarówno w życiu jak w poezyi, powrócenie fantazyi jéj pierwotnego znaczenia twórczego, odmłodzenie natchnień w zdroju pieśni ludowéj, protest przeciwko suchemu ocenianiu wszystkich zjawisk ciasną miarą tak zwanego zdrowego rozsądku, który jest doskonałym przewodnikiem w życiu praktyczném codziennem, ale nie wystarcza do poznania najwyższych prawd bytu: oto były zasadnicze hasła tego kierunku, wypowiedziane w wierszu p. n. „Romantyczność." Świat ducha w przeciwstawieniu do świata materyi, czucie i wiara gminu, podzielane przez poetę, w przeciwstawieniu do szkiełka i oka mędrców rozpatrujących szczupłe tylko widnokręgi świata widzialnego, są motywami wysuniętemi tu na plan pierwszy, a znajdującemi poe-

tyckie ucieleśnienie w widzeniu Karusi, napółobłąkanéj z bólu i spostrzegającéj oczyma duszy to, czego oczy cielesne ludzi obcych nie dojrzą. W ten jaskrawy sposób zaznaczył Mickiewicz odrębny od poprzedniego nastrój nowéj poezyi, idealistycznéj i podmiotowością przejętéj. Dziś wydaje się nam to wystąpienie poety przeciwko poprzednikom zbyt jednostronném, ale dlatego tylko, że prawa uczucia i fantazyi mamy już zabezpieczone, a więc możemy spokojnie i rozważnie uznawać za potrzebne i konieczne dopatrywanie świata „w proszku“ i „w każdéj gwiazd iskierce,“ czyli mówiąc poprostu kierunek badań naukowych. W chwili jednak gdy twórca nowego zwrotu cały przejęty był doniosłością reformy, podnoszącéj znaczenie uczucia i fantazyi, przeciw którym podnosiły się głosy potępienia, wychodzące z ust poważnych i poważanych, wystąpienie takie było usprawiedliwione; oględniejsze bowiem a więc w wyrażeniu słabsze określenie natury nowego zwrotu nie odniosłoby zapewne pożądanego skutku. Wszak Kazimierz Brodziński oględnością swoją nie zdołał wywołać żywszego ruchu literackiego. Mickiewicz, obdarzony temperamentem ognistym, działając śmiało i energicznie, dokonał przewrotu. Ślepi naśladowcy raczej form nowych niż ducha poszli istotnie zadaleko i z czasem ośmieszyli hasła romantyczne; ale sam Mickiewicz umiał się utrzymać w mierze i krańcowych wybujałości uniknął w ciągu twórczego okresu swojéj działalności. Nie oderwał on poezyi od życia, nie zastąpił rozumu marzeniem, nie dopuścił swywoli uczuciom, nie stanął oporem ideom postępowym i humanitarnym. Wszystko co piękne, szlachetne i wielkie ukochał gorąco i w utworach swoich genialnie odtwarzał.

Sam on nazywał ten nowy zwrot poezyi „romantycznym;“ poszedł w tym względzie niewątpliwie za poglądem teoretyków romantyzmu niemieckiego; zauważyć wszakże potrzeba, iż utożsamienie naszego ruchu poetyckiego ze „szkołą romantyczną“ w Niemczech

byłoby rzeczą całkiem błędną. Przedewszystkiém pamiętać należy, iż autorami, których Mickiewicz studyował i których wpływy na jego poezyach się odbiły, nie byli bynajmniej poeci ze szkoły romantycznéj: Tieck, Novalis, Hoffmann, lecz pierwszorzędni pisarze nowożytnéj literatury niemieckiéj: Goethe, Schiller, Jean Paul Richter, oraz bezporównania mniejszy talentem, nie nazywający się również romantykiem, Bürger. Powtóre, w myślach i dążnościach Mickiewicza podczas pierwszych lat twórczych nie było nawet śladu ani uwielbienia wieków średnich, ani przejęcia się ideami wstecznemi, które romantyków niemieckich charakteryzowały. Z tych powodów, jeżeliby chodziło o zestawienie obu literatur, niemieckiéj i polskiéj, i wskazanie ich podobieństwa, to można więcej upatrzyć analogii między tak zwanym okresem „burzy i wrzenia“ (Sturm-und Drangperiode), kiedy Goethe i Schiller z pierwszemi swemi utworami występowali, a reformą Mickiewicza, niż między nią a „szkołą romantyczną“ niemiecką w tém znaczeniu, w jakiém ją dzieje poezyi przedstawiają.

Co do form estetycznych, które nowy ten kierunek poezyi charakteryzowały, Mickiewicz wybrał przedewszystkiém balady, romance i dramat fantastyczny.

W baladach brał wątek z podań i pieśni ludowych, których się nasłuchał w dzieciństwie, a które mu teraz pod wpływem balad niemieckich zmartwychwstały w pamięci. Z jedynym tylko wyjątkiem „Powrotu taty“ utwory te obracają się w świecie cudownym, nadzmysłowym, stworzonym przez wyobraźnię ludu, ożywiającą plastycznemi postaciami martwą przyrodę i szukającą w nich wyjaśnienia zjawisk dla siebie niezrozumiałych. Poeta z punktu widzenia artystycznego, ażeby wiernie odtworzyć wyobrażenia ludu, staje na jego stanowisku i jako artysta z całą szczerotą powtarza podania. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby jako człowiek XIX wieku miał napraw-

dę wierzyć w istnienie świtezianek i upiorów, w skuteczność czarów i zaklęć; bierze on tylko podatny do poetycznego traktowania materyał, lubuje się w pięknych postaciach świata nadzmysłowego, gdyż one więcej przemawiają do jego wyobraźni, niż figury mitologii grecko-rzymskiéj, zszarzane w poezyi klasycznéj, lub suche alegorye, do jakich się uciekali wierszopisowie porzucający bogów Olimpu. Po większéj części traktuje Mickiewicz ten świat fantastyczny zupełnie poważnie („Ucieczka," „Lilie," „Tukaj," „Rybka," „Świteź," „Świtezianka"); niekiedy jednak, zgodnie zresztą z podobnemi objawami u samego ludu, maluje go w sposób ironiczny i szyderczy, jak np. w baladzie „To lubię" i „Pani Twardowskiéj." W tym uśmiechu poety tkwi zarazem refleksya wychowańca wieku XIX, który może znajdować na chwilę upodobanie w pięknych baśniach, ale nie poświęci przecież dla nich wywodów rozumowych i nie zechce schodzić na ten stopień cywilizacyjny, kiedy owe baśnie powstały. Świat fantastyczny wedle wyobrażeń ludowych nie mógł na długi czas wypełniać artystycznéj formy ballady. Mickiewicz po dobie pierwotnéj twórczości w tym rodzaju, pisząc później balady, usunął z nich żywioł cudowny, a czerpał treść ze stosunków rzeczywistych, spółczesnych lub minionych. Pod piórem naśladowców trwał on wprawdzie dalej, ale już nie miał ani tego powabu, ani tego znaczenia, jak w pierwszych romantyki naszéj chwilach.

Romance Mickiewicza są-to właściwie sielanki, w których nawet dawniejsza frazeologia sentymentalna jeszcze panuje. Wyraża w nich poeta uczucia własne albo swoim bardzo pokrewne, ale nie zdobywa się na śmiałość i oryginalność w sposobie ich malowania; idzie za wzorami dobrze u nas znanemi. Nadużycie wyrazów zdrobniałych, jakaś zalotna lub mdła pieszczotliwość w przedstawianiu objawów uczucia, a co najważniejsza, niezgodność pomiędzy sferą konwencyonalnie pasterską, z któréj wzięte są osobistości, a wy-

rażeniami przez nie do wypowiedzenia swych uczuć użytemi, stanowią ujemną stronę tych trzech utworów („Pierwiosnek," „Kurhanek Maryli," „Dudarz"), które do rodzaju romancy poeta zaliczył. Były one, jak i uniwersyteckie wiersze, szczepem pierwotnego wykształcenia literackiego, z lekkim tylko dodatkiem żywiołów, zaczerpniętych z młodocianéj twórczości Schillera.

Uczucie smutku i zawodu wyraziło się u Mickiewicza dopiero w wierszu „Żeglarz," szczególniej zaś w IV-éj części „Dziadów." Wspomnienia sielankowo-sentymentalne napotykamy wprawdzie i tutaj w wielu ustępach, ale całość porywa siłą i prawdą. Na powstanie tego fantastycznego dramatu wpłynęły liczne utwory literatury obcéj: „Nowa Heloiza" Roussa, „Walerya" baronowéj Krüdener, „Werther" Goethego, jak niemniej poezye tegoż, oraz Schillera, lecz wpływy te przerobione i przetrawione zostały działaniem potężnego czynnika, będącego już iściznę samego poety, to jest własnych jego cierpień. Odkąd poezya nasza istnieje, po raz to pierwszy w IV-éj części „Dziadów" prawdziwe, głębokie, namiętne uczucie miłości, zawiedzione w swych pragnieniach, przyoblekło się we wspaniałą szatę słowa, po raz pierwszy przemówiło głośno, potężnie i porwało za sobą wszystkich, co napróżno do owego czasu szukali odpowiedniego dla stanu swéj duszy wyrażenia. Ani Kochanowski, ani Morsztyn, ani Karpiński nie mogli już teraz wystarczyć; potrzeba było uroku mowy Mickiewicza. Uczucie przezeń odmalowane ma cechę całkiem odmienną od tych, jakie dawniejsi nasi poeci przedstawiali; niema w niém ani zmysłowości prawie bez obsłony jawiącéj się u Kochanowskiego, ani galanteryi sztucznéj i wyszukanéj Morsztyna, ani mdłéj łzawości Karpińskiego; jest natomiast wysoki idealizm, nakazujący kochankowi wobec wizerunku kochanki zachowywać się jakby wobec niéj saméj, pragnący jedynie widoku lubéj i jéj rozmowy, poślubiający tylko jéj duszę;

a obok tego idealizmu jest także prawdziwie ludzkie uczucie, które nie pozwala tonąć w samém rozmarzeniu miłosném, lecz budzi pragnienia, doprowadzające do szału, gdy zajdzie nieprzełamana przeszkoda w ich urzeczywistnieniu, lub gdy inna osoba sięga po rękę ukochanéj... Ażeby artystycznie wcielić pomysł o niszczącéj potędze namiętności, poeta czyni Gustawa swego samobójcą, kładącym kres życiu, które po zawodzie miłosnym już powabu dla niego nie posiada, tak dalece, że słowa: ojczyzna, nauka, sława, niegdyś do czynów go budzące, już nań wpływu nie wywierają. Gustaw zjawia się więc w „Dziadach“ jako upiór, ażeby w skróceniu przejść główne fazy niedługich dziejów swojéj miłości. Jako upiór, a nie człowiek żywy, może on wobec ludzi wypowiedzieć wszystko, co zazwyczaj w głębi duszy skrywamy, ażeby się nie narazić na śmiech i szyderstwo. Jego nie krępują takie względy—daje się więc unieść prądowi uczucia, staje się wymownym, odkrywa tajniki najgłębsze swych myśli i wzruszeń; a tym sposobem to, czegoby ani sam poeta, ani nikt inny w żywe oczy przed ludźmi nie wypowiedział, co więc tylko czuł w głębi duszy, dobyło się na jaw i wylało w słowach, dając utwór pierwszorzędnego znaczenia, który nie na samę jedynie poezyą naszę, ale także na kształtowanie się obyczajowości wpłynął potężnie. Niektórzy naśladowcy, pochwyciwszy w Gustawie tylko rysy podrzędne, doprowadzili wprawdzie jego postać do karykatury i tak samo potrafili ośmieszyć miłość romantyczną, jak inni ośmieszyli fantastykę baladową; ale błędy ich nie mogą iść na karb mistrza, który jakkolwiek w formie fantastycznéj, przedstawił przecież uczucie prawdziwe i głębokie, podniósł stopień wrażliwości uczuciowéj, uszlachetnił i uidealizował objawy miłości; dokonał więc i w téj dziedzinie reformy doniosłéj, która w rozwinięciu swojém stała się podścieliskiem poezyi nowożytnéj.

Poeta umiał odmalować trawiącą potęgę zawiedzionéj miłości, lecz sam jéj nie uległ; owe wielkie idee, które Gustawa nie mogły powstrzymać od samobójstwa, w nim utrwaliły energią charakteru i pobudzały go do tworzenia. Co więcej, jako wybitny dowód panowania nad sobą, należy zaakcentować ten znamienny szczegół, że równocześnie z fantastycznemi baladami i płomiennemi wybuchami uczucia w IV-éj części „Dziadów“, powstawały utwory, w których jasny, spokojny dydaktyzm według wzorów klasycznych, albo też przedmiotowe opowiadanie o czasach dawno ubiegłych prawie niezmącenie panowały. W tych samych tomikach, w których mieściły się balady, romance i dramat fantastyczny, znajdujemy „Warcaby,“ przedstawiające reguły téj gry, i „Grażynę,“ malującą stan Litwy pogańskiéj w walce z Krzyżakami i dającą nowe wcielenie tego ideału mężnéj niewiasty, jaki już w „Żywili“ a potém w „Świtezi“ był naszkicowany. W wykonaniu pierwszego utworu znać wpływ Trembeckiego, którym w tym czasie Mickiewicz zajął się nanowo, pisząc komentarz do poematu jego „Zofiówka;“ na drugim odbiło się czytanie Jerozolimy Wyzwolonéj, w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Pierwszy nie wnosił do poezyi naszéj żadnego nowego pierwiastku, drugi rozpoczął u nas szereg pięknych powieści poetycznych.

Wszystkie te poezye napisał Mickiewicz w ciągu lat czterech, od 1819 do 1823, częścią w Kownie, częścią w Wilnie. Nauczycielem w Kownie był tylko trzy lata, gdyż rok szkolny 1821/22 spędził na urlopie w Wilnie, zajmując się opracowaniem rozprawy dla uzyskania stopnia magistra, oraz wydaniem swoich „Poezyj,“ z których pierwszy tomik wyszedł r. 1822, drugi zaś w 1823. Podczas tego pobytu uczestniczył w entuzyastyczném przyjęciu Joachima Lelewela, który po trzech latach przepędzonych w Warszawie, wracał do uniwersytetu wileńskiego już nie jako docent, ale jako profesor. Z powodu pierwszéj prelekcyi jego, odbytéj wobec tłumu rozciekawionéj i czcią

dla wykładającego przejętéj młodzieży, nakreślił piękny wiersz, w którym korzystając z wyrażeń samego Lelewela, przedstawił zadanie dziejopisarza i dał krótki pogląd na rozwój dziejów powszechnych. Forma tego wiersza jest klasyczna, lecz charakterystyka wieków średnich w nim zawarta, jednostronnie zaletv średniowiecza wyłącznie zaznaczająca, powstała już pod wpływem romantyzmu.

Stosunki z kolegami uniwersyteckimi odżyły podczas pobytu Mickiewicza w Wilnie ze wzmożoną serdecznością. Stowarzyszanie się studentów przybrało wtedy już szersze rozmiary; obok filomatów i gron filareckich, byli jeszcze „promieniści“ liczący się na setki, którzy pod przewodem Zana odbywali majówki, śpiewając i bawiąc się skromnie a z myślą podniosłą. Ponieważ już w pierwszéj połowie roku 1822 wszelkie towarzystwa zarówno młodzieży jak starszych, mające charakter społeczny, zostały wzbronione, ponieważ rząd pod wpływem prądów reakcyjnych, rozpanoszonych wtedy w całéj Europie, poczytywał je za szkodliwe; — studenci i ich kierownicy zbierali się potajemnie i niebawem ściągnęli na siebie karę. Już w połowie roku 1823 rozpoczęły się śledztwa, a w październiku nastąpiły aresztowania. Mickiewicz, który po upływie urlopu, nie mogąc uzyskać pozwolenia i funduszów na wycieczkę za granicę, dla uzupełnienia studyów estetycznych, powrócił był na swą posadę do Kowna, dnia 23 października został uwięziony i osadzony w klasztorze księży bazylianów w Wilnie. Zamknięcie trwało około czterech miesięcy, zanim ukończone zostało badanie; potém Mickiewicz, jak i większa część uwięzionych, z wyjątkiem Zana, Czeczotta i Suzina, którzy wzięli na siebie całą odpowiedzialność za organizacyą towarzystw, wyszedł na wolność, z obowiązkiem jednak mieszkania w Wilnie, aż do wydania wyroku. Czas ten, w przewidywaniu wyjazdu w dalekie strony, spędził poeta nasz na pożegnalnych zebraniach. W nich po raz pierwszy wystąpił jako im-

prowizator, napełniając zapałem serca słuchaczów. Z licznych w tym czasie improwizacyj pozostały tylko dwie całe („Do Aleksandra Chodźki,“ balada „Renegat,“ później przerobiona) i parę ułamków. Prócz tego pisał wiele wierszy albumowych na pamiątkę dla przyjaciół i znajomych i tłumaczył Byrona, którym zajął się jeszcze w r. 1822 w czasie pobytu w Wilnie. Potężnemu wpływowi wieszcza albiońskiego nie poddał się jednak, lubo talent jego wielbił i za największego poetę czasów nowych go uważał.

Dnia 24 października 1824 opuścił Wilno i Litwę i nigdy już do tych stron nie powrócił.

IV.

Jechał Mickiewicz wraz z kilku kolegami, pomiędzy którymi znajdowali się dwaj najdawniejsi filomaci: Józef Jeżowski i Franciszek Malewski, do Petersburga, ażeby tam otrzymać od ministeryum oświecenia wskazówki co do dalszego losu. W liście kwalifikacyjnéj nowy po Czartoryskim kurator wydziału wileńskiego, Mikołaj Nowosilcow, zanotował o naszym poecie, że mógłby wykładać literaturę starożytnych narodów i estetykę w języku niemieckim, francuskim, łacińskim i rosyjskim. Do stolicy cesarstwa przybyli nasi podróżni w początkach listopada, w dzień przed wielką powodzią, jaka nawiedziła r. 1824 to miasto, czy też w dzień po niéj. Znajomych z Wilna znaleźli tu kilku, mianowicie dwu smutnie późniéj rozsławionych jako ludzi, co się szlachetniejszych uczuć zaparli, Józefa Sękowskiego, który już wtedy był profesorem zwyczajnym języka arabskiego w uniwersytecie petersburskim, i Józefa Przecławskiego, który bawił wówczas w Petersburgu dla interesów prywatnych, a w kilka lat potém miał założyć jedno z najbardziej wpływowych czasopism naszych: Tygodnik Petersburski. Kuzynka Przecławskiego była żoną ówczesnego ministra oświecenia, Aleksandra Szyszakowa i ułatwiła może swoim współziomkom stosunek z mężem; dość

że łaskawie zostali przyjęci; dano im do wyboru miejscowość, w któréj jako nauczyciele pracować zechcą: Mickiewicz i Jeżowski podali prośby o umieszczenie na posadach w liceum Richelieugo w Odesie; po krótkiém wahaniu zdecydował się jechać do tegoż miasta i Malewski, mając zapewniony urząd w kancelaryi tamtejszego jenerał-gubernatora. Przychylna decyzya władzy nastąpiła niebawem, ale ponieważ wyjazdu nie naglono, Mickiewicz wraz z kolegami blizko trzy miesiące w Petersburgu przepędził, tak że dopiero w początkach lutego 1825 roku puścił się w daleką, 1500 przeszło wiorst wynoszącą, podróż.

Zatrzymawszy się cokolwiek dłużej w Kijowie, gdzie prawdopodobnie poznał Mickiewicz przyszłych dekabrystów Bestużewa i Rylejewa, w Steblowie nad Rosią, gdzie gościnnie podejmowany był przez Hołowińskich, w Elizawetgradzie, gdzie się przedstawił Janowi Wittemu, kuratorowi wydziału odeskiego, dobił się nakoniec do celu i wraz z Jeżowskim zajął mieszkanie w gmachu licealnym, chociaż na razie żadnéj posady wolnéj nie było. W marcu już jednak odebrali nasi przybysze rozkaz najwyższy, wzbraniający im pobytu w Odesie i wogóle w guberniach południowych, z dozwoleniem wyboru innéj miejscowości. Trzej przyjaciele wybrali Moskwę i odpowiednie prośby wysłali; długo atoli na odpowiedź czekać musieli, tak że całkowity pobyt w Odesie przeciągnął się do dziewięciu blizko miesięcy.

Czas ten upłynął poecie naszemu na zabawach towarzyskich, odwiedzaniu teatru i przejażdżkach. Sam o sobie powiadał, że w Odesie żył „jak basza.“ Czuł się tu prawie zupełnie swobodnym, na nikogo zważać nie potrzebował, chyba że mu z tém było lepiej i wygodniej Znajomości porobił mnóstwo, gdyż szlachty ukraińskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj bawiło tam wiele, a wszyscy pragnęli poznać młodego poetę-wygnańca. Wtenczas zapewne po raz pierwszy wszedł na salony pańskie i nałamywał się do panujących w nich

manier. Przywykał przynajmniej pozornie do życia upływającego wśród rozrywek, dowcipnych słówek, powierzchownego ożywienia; talentem zaś improwizacyjnym zwracał na siebie uwagę i zdumiewał. Doświadczył też nowych wzruszeń miłosnych, całkiem odmiennych od tych, jakie w sercu jego dla Maryli się obudziły i trwały. Miłość odeska upodobnić się musiała do ogólnego charakteru ówczesnego trybu życia poety—była pragnieniem rozkoszy. Osobą, która tę krewkość młodzieńczą w całéj sile obudziła, była sławna z piękności, dowcipu i licznych przygód Karolina z Rzewuskich, siostra wsławionego potem powieściopisarza Henryka, wówczas żona Hieronima Sobańskiego, w latach zaś późniejszych żona jenerała Witta, następnie Czyrkowica, w końcu Lacroix. Poeta zapłonął namiętnością do przyjmującéj hołdy jego pani, pisał wiele, żarem lub salonową galanteryą tchnących, wierszy („Rozmowa,“ „Dwa słowa,“ „Sen,“ „Do D. D.“,„Elegia do D. D.“, „Godzina,“ „Niepewność;“ sonety: „Luba, ja wzdycham,“ „Dzień dobry,“ „Dobranoc,“ „Dobry wieczór,“ „Wizyta,“ „Do wizytujących“); odbył razem z nią i jéj bratem wycieczkę do Krymu, gdzie zebrał barwy do wspaniałych sonetów; w końcu rozstał się z kochanką w sposób przykry, drażniący, jak się zazwyczaj dzieje tam, gdzie nie serce, lecz zmysły w grę wchodzą; wyrazem tego rozdźwięku jest sonet „Pożegnanie“ i uogólnione zarzuty, zrobione płochym kobietom w sonecie „Danaidy.“

Pod koniec pobytu w Odesie, Mickiewicz, odświeżywszy umysł nowemi wrażeniami, jakich dostarczyła wędrówka po górzystym Krymie, po raz pierwszy dającym sposobność poecie naszemu podziwiać majestatyczne widoki; zastanowiwszy się nad ubiegłemi chwilami wśród zabaw i stosunków salonowych, ocenił sam siebie surowo i skarcił za obniżenie uczuć i natchnień. Postanowił odtąd „nie zniżać lotu“ i postanowienia dotrzymał. Pomysły jego od tego czasu nie obracały się już w kółku namiętności osobistych, ale

odnosiły się do sfery uczuć ogólniejszych i podnioślejszych.

Dnia 12 listopada 1825 roku otrzymał nareszcie Mickiewicz, jak i koledzy jego, odpowiedź na swe prośby z marca; dozwolono im udać się do Moskwy. Wybrawszy się w drogę, zatrzymali się czas jakiś w Charkowie, gdzie znaleźli znajomych, i w końcu listopada przybyli na miejsce nowego pobytu. Jeżowski dostał posadę w uniwersytecie, Mickiewicz zaś i Malewski znaleźli zajęcie w kancelaryi jenerał-gubernatora Galicyna, człowieka zacnego, który rozumiał położenie wygnańców i starał mu się ulżyć.

Pierwsze dziesięć miesięcy pobytu w Moskwie upłynęły wśród ciszy, w zupełnéj niemal jednostajności; poeta nasz żył w ścieśnioném kółku spółkolegów, których tu, oprócz Malewskiego i Jeżowskiego, znalazło się jeszcze kilku; śmierć cesarza Aleksandra, wstąpienie na tron Mikołaja i połączone z tym faktem okoliczności nakazywały zachowywać się jaknajspokojniej, uwydatniać się jaknajmniej. Dopiero podczas koronacyi nowego cesarza w Moskwie we wrześniu 1826 r. podawał Mickiewicz prośbę o pozwolenie odwiedzenia rodziny, lecz prośba ta pozostała bez skutku. Czas wolny od mechanicznych zajęć kancelaryjnych wypełniał gawędą z przyjaciołmi, obrabianiem wrażeń z podróży krymskiéj w formie sonetów, obmyślaniem nowego poematu, pisaniem poezyj okolicznościowych z powodu przyjazdu do Moskwy dawniéj poznanych osób, jak doktora S. (podobno Siemaszki), Apollona Skalkowskiego, szkicowaniem porównawczéj rozprawki o Goethem i Byronie.

Miał zamiar Mickiewicz do dwóch tomików „Poezyj“ swoich, wydanych w Wilnie, dołączyć teraz tomik trzeci, zapowiedziany już dawniéj w prenumeracie; ale gdy ten zamiar nie mógł się urzeczywistnić, postanowił ogłosić jako oddzielne wydawnictwo utwory o formie jednolitéj, to jest „Sonety.“ Znalazł się w Moskwie człowiek mający stanowisko urzędowe,

który język polski znał i ocenzurowania tych sonetów się podjął, a więc umożliwił ich drukowanie. Pod sam koniec r. 1826 ukazały się one i obudziły wielkie zainteresowanie się wśród Rosyan, a liczne krytyki w czasopiśmiennictwie polskiém.

Forma sonetów nie była nieznana w dawniejszéj literaturze naszéj; wprowadził ją u nas, idąc za wzorem Petrarki, Jan Kochanowski, zastosowali szerzej już to w tłumaczeniach, już to w utworach oryginalnych Mikołaj Szarzyński, Piotr Grodkowski, Andrzej Morsztyn; ale od połowy wieku XVII poszła ona w zaniedbanie, tak iż gdy Mickiewicz zaczął je pisać, to i on sam i współcześni mu znawcy piśmiennictwa poczytywali ją za całkiem nową w poezyi naszéj. Nie można się temu bardzo dziwić, gdyż najznaczniejsza część sonetów dawniejszych jeszcze spoczywała w rękopiśmie, a te, które były drukowane, nie zwróciły na siebie jakoś wtenczas i długo potém uwagi estetyków i krytyków. Bądźcobądź przyjęto sonety Mickiewicza jako nowość; jedni byli zachwyceni, drudzy gorszyli się niemi.

Dzisiaj i co do treści i co do wartości wyróżnić musimy dwie ich części: sonety erotyczne i sonety krymskie, jak je sam poeta w pierwszém wydaniu uszeregował. Sonety erotyczne pochodzą z różnych chwil młodości Mickiewicza; odbija się więc w nich i idealna miłość do Maryli, i żar namiętny odeski; są między niemi i prawdziwe klejnoty poezyi lirycznéj i mniej udatnie wyrażone wylewy uczuć. Sonety krymskie natomiast należą do rzędu arcydzieł i choć zewnętrznie przedstawiają się jako odosobnione całostki, tworzą przecież w gruncie rzeczy poemat jednolity zarówno w stronie swéj opisowéj, malującéj świetnemi barwami widoki Krymu, jak w stronie lirycznéj, odtwarzającéj pięknie a subtelnie przejścia duchowe poety od tęsknoty, żalu, rozpaczy, do pewnéj równowagi uczuć, pod działaniem rozmyślań nad prawami przyrody i dziejów ludzkich. Zlanie i zharmo-

nizowanie żywiołu opisowego z uczuciowym, przeprowadzone albo w częściach jednego sonetu, albo w dwu po sobie następujących, należy do tych mistrzowskich pomysłów, które obudzają podziw i zachwyt dla artyzmu poety, będąc równocześnie odbiciem wiernem stanu jego duszy.

Ogłoszenie „Sonetów“ zmieniło położenie Mickiewicza w Moskwie. Literaci rosyjscy zaczęli się garnąć do niego. Mianowicie Mikołaj Polewoj, redaktor Telegrafu moskiewskiego, stał się wielbicielem jego gieniuszu, zapraszał go do siebie i na posiedzenia redakcyi. Za jego też pośrednictwem nastąpiło zaznajomienie się naszego poety z krytykiem, księciem Wiaziemskim, oraz z bawiącym w Moskwie od września r. 1826 najznakomitszym poetą rosyjskim, Aleksandrem Puszkinem. Jakkolwiek usposobienia i charaktery obu rdzennie się ze sobą różniły, znalazły się przecież punkta zetknięcia, które spoiły ich uczuciem szacunku i przyjaźni. Obaj poeci, i to rówieśnicy, obaj czciciele Byrona, a twórcy nowego kierunku literackiego w swoich literaturach, obaj zatęsknieni za ideałem swobody, przylgnęli do siebie i gorące z sobą prowadzili rozprawy zarówno w Moskwie, jak później w Petersburgu. Mickiewicz czytał utwory Puszkina już dawniej; Puszkin, nie umiejąc po polsku, poznawał go dopiero w tłumaczeniach, jakie się w czasopismach moskiewskich w ciągu r. 1827 pojawiały.

Stosunki z literatami pociągnęły za sobą bywanie w towarzystwach rosyjskich. Z pomiędzy kilku domów, w których Mickiewicza mile przyjmowano, na wyszczególnienie zasługuje salon księżny Zeneidy Wołkońskiéj, różnostronnie utalentowanéj, gościnnéj i serdecznéj. Tu gromadził się zazwyczaj wybór inteligencyi miejscowéj, dla wysłuchania muzyki, śpiewu lub nowéj powieści napisanéj przez gospodynię, jak niemniej dla wzajemnéj wymiany myśli o sprawach literatury i sztuki. Poeta nasz upamiętnił chwile

tu spędzone w pięknym wierszu „Na pokój grecki,“ grzecznie a wykwintnie wielbiącym i samę księżnę i smak jéj w urządzeniu mieszkania. Tu też prawdopodobnie wypowiedziany przezeń został dowcipny dyalog francuski pomiędzy panią a garderobianą o tém, „kogo wybrać za męża.“

Udział Mickiewicza w zabawach nie podobał się mocno kolegom jego, siedzącym w Orenburgu, szczególniéj zaś Janowi Czeczottowi, który napisał do niego list pełen wyrzutów bolesnych. Poeta nasz przyjął je „z tém uczuciem, z jakiém syn słucha przestróg ojca staruszka, trochę dziwaka i w kwaśnym humorze, a do tego w biedzie,“ i przedstawił szczerze położenie swoje i zapatrywanie na stosunek uczuć podniosłych do życia codziennego, zapewniał „że można tańczyć, grać, śpiewać i być grzecznym, nie zostając pasibrzuchem, i można być pożytecznym dla drugich, a to jest największą nagrodą wszystkich starań w tak małych drobnostkach.“ A nie był to frazes tylko. Mickiewicz rzeczywiście starał się ulżyć doli biedniejszych od siebie kolegów, potrzeby ich materyalne i moralne zaspokajając, o ile to było w jego możności; z pieniędzy, jakie posiadał, każdy z przyjaciół mógł naprawdę „wziąć trzy czwarte.“ Że zaś wśród zabaw nie opuszczała go myśl o ideałach ogólniejszéj natury, donosił przyjaciołom w tym samym liście o czytanych przez siebie książkach, Fiesku Schillera i historyi Machiawela. Dla zrozumienia całéj myśli zawartéj w tych króciutkich słowach, trzeba dodać, czego w liście do Orenburga poeta nie pisał, iż zajmował się właśnie wtedy wykończeniem poematu, rozpoczętego jeszcze w r. 1826, p. n. „Konrad Wallenrod,“ o druk którego zaczął w początkach r. 1827 robić starania, trwające dość długo. Pod koniec dopiero tego roku potrafił go przeprowadzić przez cenzurę, a w następstwie ogłosić.

Wydanie „Konrada Wallenroda“ połączone było z osobistą bytnością poety naszego w Petersburgu.

Drugie te odwiedziny stolicy cesarstwa mocno różniły się od pierwszych. Poprzednio przesunął się tam jak nic nieznacząca osobistość, teraz przyjmowany był i ugaszczany z zapałem. Sława jego, pomimo ostrych nieraz krytyk, rosła wśród współziomków z każdym rokiem,a uznanie, jakie sobie w Moskwie pozyskał, oddziaływało także na kolonią polską w Petersburgu. Na ucztach Mickiewicz czytał ustępy z „Konrada Wallenroda," jeszcze w rękopiśmie będącego, albo improwizował. Najsłynniejsza improwizacya w formie dramatycznéj, o Samuelu Zborowskim, odbyła się 24 grudnia w dzień imienin poety, któremu współziomkowie wyprawili „wspaniałą kucyą," jako w wilią Bożego Narodzenia, w mieszkaniu Adama Rogalskiego, znanego Mickiewiczowi jeszcze z Wilna. Wszyscy zachwyceni byli siłą charakterystyki czasu i ludzi, jaką rozwinął poeta, deklamując przeszło dwa tysiące wierszy.

Dnia 21 lutego 1828 roku wyszedł „Konrad Wallenrod" z druku i obudził tak gorące zajęcie, jak żaden z poprzednich utworów Mickiewicza. Myśl zasadniczą poematu rozmaicie sobie tłumaczono; może nawet w téj niepewności co do istotnéj tendencyi utworu leżała część uroku przezeń wywartego; godzono się natomiast w tém zdaniu, że tak świetnie, tak wzruszająco przedstawionych uczuć patryotycznych w literaturze polskiéj do owego czasu nie było. Płomienne uczucia, ujęte w mowę mistrzowską, działały z siłą błyskawiczną na umysły młodzieży. Zachwycano się i elektryzującą pieśnią wajdeloty, i jego spokojném, ale jędrném opowiadaniem, i opisem wojny, i sądu tajemnego, śpiewem Aldony zamkniętéj w wieży i jéj rozmowami z Konradem, które chociaż nie miały psychicznego umotywowania, czarowały muzyką języka i pięknością szczegółów. I dzisiaj, lubo jako całość poemat ten nie może być uważany za utwór pierwszorzędny, pojedyncze części działają na czytelnika wstrząsająco, wywołują szeregi uczuć i myśli,

które zawsze i wszędzie w ucywilizowanem społeczeństwie do najsilniejszych i najtrwalszych należeć będą. Charakter głównéj postaci, wybitne cechy wpływu Byrona noszący, nie może być wprawdzie ani estetycznie ani etycznie uważany za dobry, a tém mniej za doskonały, lecz idea, któréj on szczęście i życie swe poświęcił, miłość kraju, jest wiecznotrwała; bohater służył jéj na drodze niewłaściwéj, ale ją bądźcobądź ukochał gorąco.

W lutym 1828 powrócił Mickiewicz do Moskwy, ale nie zabawił już w niéj długo. Zmarła tu w tym czasie nieznana z nazwiska, serdeczna jego przyjaciółka; Bonawenturostwo Zalescy, którzy przez ciąg roku poprzedniego umilali mu pobyt w tém mieście i którym on „Konrada Wallenroda" dedykował, opuścili Moskwę. Dalsze więc życie tutaj, pomimo serdecznego przyjęcia w domach rosyjskich, nie uśmiechało mu się wcale. Uzyskawszy przeto pozwolenie od władzy, postanowił przenieść się do Petersburga. Przed odjazdem Mikołaj Polewoj i spółpracownicy Telegrafu moskiewskiego wydali na cześć poety naszego ucztę i ofiarowali mu na pamiątkę puhar srebrny, wewnątrz którego wyryte były nazwiska ośmiu osób uczestniczących w biesiadzie, poetów i dziennikarzy. Czytano naturalnie wiersze; Mickiewicz mocno wzruszony wypowiedział improwizowane podziękowanie po francusku. Młody, entuzyastyczny poeta, Eugieniusz Baratyński, po improwizacyi padłszy na kolana, zawołał: „Ah mon Dieu, pourquoi n'est-il pas Russe!" (Ach, mój Boże, czemuż on nie jest Rosyaninem!). Opuścił Mickiewicz starą stolicę, dość miłe unosząc wspomnienia

Po raz trzeci przybył poeta nasz do Petersburga 22 kwietnia 1828 roku. Na towarzystwie nie brakło mu tu oczywiście, ale nie ze wszystkimi żył jak dawniej; Józef Sękowski już się wydał przed nim ze swą przewrotnością, dlatego stronił od niego i innych przestrzegał, ażeby się mieli na baczności. Na-

tomiast wszedł w zażyłość z domem głośnéj i w Europie fortepianistki Maryi Szymanowskiéj, z którą się roku poprzedniego zapoznał w Moskwie, gdzie z koncertem występowała. Dorastająca jéj córka Celina, z którą w kilka lat potém miał się ożenić, już wówczas obudziła w nim pewne zajęcie, zwykle w sposób żartobliwy objawiane.

Prócz udziału w życiu towarzyskiém, rozmów z Puszkinem, które upamiętnione zostały następnie przez obu: przez Mickiewicza w „Pomniku Piotra W.“, przez Puszkina w „Bronzowym jeźdźcu,“ zajmował się nasz poeta pilnie w owym czasie studyowaniem stosunków politycznych; czytywał wiele dzienników, szczególniej zaś francuski „Le Globe.“ Tworzył bardzo mało. W Petersburgu, obok kilku bajek, przekładów z poetów arabskich: „Szanfary,“ „Almotenabbi,“ powstały tylko dwie balady: „Czaty,“ „Trzech Budrysów,“ jedna pieśń p. t. „Czyn“ i wspaniała kasyda „Farys“, malująca barwami stylu wschodniego jazdę nieustraszonego jeźdźca po pustyni, pokonywającego wszelkie przeszkody, lekceważącego wszelkie groźby i przybywającego w końcu do upragnionego celu. Zapewne, obok samego plastycznego odtworzenia zajmującéj i pięknéj postaci jeźdźca, miał poeta na myśli i przedstawienie przeszkód napotykanych przez rycerzy idei na drodze reform, oraz uczucia radości, gdy się je zwycięży.

Wspomnieć tu wreszcie należy o podjętéj w Petersburgu w języku francuskim „Historyi przyszłości,“ w któréj chciał przepowiedzieć skutki materyalnéj jedynie kultury, na zasadzie egoizmu opartéj. Opowiadanie miało się zaczynać od r. 2000 i ciągnąć się przez dwa stulecia. Po ogólnym poglądzie na ówczesny stan świata, a mianowicie Europy, następował opis jéj przygotowań i narad sejmowych, wobec grożącéj napaści Chińczyków, która też istotnie się dokonywa. Bitwa stoczona przez same kobiety i niewielką liczbę dwudziestoletnich młodzieńców, pod wodzą

bohaterki z nad Wisły, kończyła okres już w r. 1829 przez Mickiewicza napisany. Cała zaś historya miała się zaokrąglić wejściem ziemi w stosunki z innemi planetami, a to zapomocą balonów, które kiedyś tak żeglodować mają po powietrzu, jak dziś okręty po morzu. Nie kończył atoli dzieła tego Mickiewicz i nie dbał o nie: zaginęło też całkowicie.

Sława poety ustaliła się podczas pobytu jego w Petersburgu; dowodem tego były dwa nowe wydania jego poezyj w r. 1828, jedno w Paryżu, drugie w Poznaniu. Widoki rozprzedania ich były wszakże tak pomyślne, że Mickiewicz ogłosił na własną rękę trzecie w Petersburgu, w początkach r. 1829. Do wydania tego dołączył przedmowę „o krytykach i recenzentach warszawskich.“ Była ona ostro, polemicznie napisaną szykaną zdań wygłoszonych w czasopismach warszawskich o jego poezyach, szczególniej zaś o sonetach, a przytém przedstawiała same ujemne strony literatury warszawskiéj kierunku klasycznego, oskarżając ją o jałowość pomysłów i nieuctwo. Sąd ten nie był słuszny; Mickiewicz, oddalony od kraju, nie znał dostatecznie dzieł wychodzących w Warszawie, a tém mniéj czasopism; z kilku numerów dwu dzienników zbyt pośpiesznie wyrokował o całości; nadto przykładał on do oceny naszego piśmiennictwa zbyt wielką miarę, zestawiając to, co się tu działo, z ruchem europejskim, bez uwzględnienia okoliczności tamujących swobodny i wszechstronny rozwój. Przedmowa ta jednak, napisana śmiało i dzielnie, ma w dziejach naszego życia umysłowego bardzo doniosłe znaczenie; pobudziła umysły do roztrząsania zagadnień estetycznych i krytycznych, wywołała żywy ruch polemiczny, była wyrazem świadomości niedalekiego już zwycięztwa, jakie miał odnieść romantyzm.

Zasilony dochodem, jaki otrzymywał z trzech nowych wydań utworów swoich, dostawszy pasport na wyjazd zagranicę, Mickiewicz pożegnał znajomych

i opuścił Petersburg 15 maja 1829 roku, udając się morzem na Zachód.

Zanim przedstawimy dzieje téj podróży, rzućmy jeszcze okiem na fizyognomią moralną poety, jak się ona w ciągu przebieżonego już czasu wyrobiła.

Pięcioletni blizko pobyt Mickiewicza na wielkich obszarach Rosyi wpłynął nań bardzo silnie pod rozmaitemi względami. Poeta nasz poznał różnorodne okolice, bo podróżował powoli, nie koleją żelazną, któréj jeszcze wówczas nie było, ale na kołach; przypatrzył się ludziom różnéj narodowości, stanu i zatrudnienia; zwiedził mnóstwo wiosek i miasteczek; żył w Odesie, podróżował po Krymie, tęsknił i bawił się w Moskwie i Petersburgu, rozprawiał wszędzie z ludźmi najodmienniejszych pojęć i poglądów. Z partykularza nowogrodzkiego, wileńskiego i kowieńskiego, w którym życie szło żółwim krokiem i w nadzwyczajnych jedynie wypadkach przyśpieszoném biło tętnem, przeniósł się do wielkich ognisk, gdzie najprzeróżniejsze elementy gorączkowo dobijały się uznania i znaczenia, gdzie rozmowa z konieczności dotykać musiała interesów najszerszych i najogólniejszych. Te okoliczności musiały oddziałać na zwiększenie widnokręgu myśli poety.

Inny był wpływ na stronę jego uczuciową. Z pośród osób serdecznie dla niego usposobionych, szczerych, prostych i w większéj części uczciwych, przeszedł do grona ludzi wyżej nieraz ukształconych, ale zastępujących uczucie frazesem, prostotę — przepisami konwenansu, rzewność—dowcipem, uczciwość — ambicyą, a szczere przywiązanie do kraju—wyrozumowaném zgodzeniem się na istniejący porządek rzeczy. Miał wprawdzie i tutaj najbliższych swoich przyjaciół, spotykał się też z osobistościami, którym życie wielkoświatowe przydało tylko więcej ogłady i doświadczenia, nie ujmując szczerości i prostoty; ale ponieważ obracał się w towarzystwach salonowych mieszanych,

musiał więc częściej spotykać się z pierwszą niż drugą, zwykle szczuplejszą, kategoryą ludzi.

W takich towarzystwach trzeba było przedewszystkiém odmienić się zewnętrznie: nabrać ogłady światowéj, poduczyć się niezbędnéj francuszczyzny salonowéj, wdrożyć umysł do spostrzeżeń nagłych a dowcipnych, słowem z młodzieńca o niezbyt zgrabnych ruchach i niezbyt śmiałém zachowaniu się, wyrość na salonowca, na szarmanta względem płci pięknéj, na specyalistę w rzeczy tużurków, krawatów i kapeluszy. Mickiewicz przyswoił sobie te zalety; ale stanowiły one u niego naleciałość tylko, nie zmieniły nawet przyzwyczajeń dawniejszych, nie obudziły w poecie pragnienia komfortu. Jak poprzednio tak i teraz obchodził się on u siebie byle czém, mieszkał byle jak, wspominał chwile swego dzieciństwa i czasy szkolne zawsze z rozrzewnieniem i nie wrastał bynajmniej w ten grunt, na którym chwilowo przebywać musiał. Bądźcobądź jednak zwracał odtąd większą uwagę na swój ubiór, musztrował pod tym względem zaniedbujących się przyjaciół, umiał bawić damy, mówić słówka dowcipne, pisać zręczne bileciki w języku francuskim.

Drugim, nieporównanie ważniejszym wynikiem obeznania się z wielkim światem towarzyskim i literackim było zagłębianie się w rozbiór stosunków międzynarodowych, ogarnianie wzrokiem całego ustroju społecznego i losów świata. Dawniej zamykał się on w jaźni swojéj, mówił o uczuciach własnych lub też najbliższego otoczenia, albo o zadaniach czysto artystycznych, a jeżeli puszczał się myślą w sfery dalsze, to bardzo ogólnikowo tylko, powołując młodzież w sposób nieokreślony do przebudowania zmurszałego gmachu społecznego. Teraz szczegółowo się już zajął badaniem położenia narodów europejskich, a wśród nich szczególniej własnego, wyrobił sobie pewne określone poglądy w najrozmaitszych kwestyach życia politycznego, społecznego i literackiego; żaden przedmiot rozmowy czy dyskusyi w zwykłém otoczeniu nie zasta-

wał go nieprzygotowanym. Dodać jednakże potrzeba, że i teraz tak jak dawniej głównemi czynnikami jego umysłowości były uczucie i wyobraźnia, nie zaś rozum analityczny, wszelkie pojęcia i poglądy poddający drobnostkowemu rozbiorowi; Mickiewicz ogarniał odrazu całość zagadnienia i formułował o niém swoje zdanie; ale w dowodzenie nie wdawał się, zadowalniając się porównaniami, które miały na celu barwniejsze jedynie odmalowanie pewnéj myśli. Słowem, znacznie zakres pojęć swoich w tym czasie rozszerzył, wiele z nich pogłębił, ale pozostał naturalnie tém czém był, nie uczonym, lecz poetą bardzo wrażliwym i gotowym zawsze do przyjęcia świeżych uczuć i świeżych myśli. Uwydatniło się to w jego podróży zagranicznéj i w dalszym biegu jego życia.

V.

Z podróży Mickiewicza po Niemczech dwa mianowicie szczegóły zaznaczyły się wydatnie: pobyt w Berlinie i w Weimarze.

Z Lubeki, dokąd morzem przypłynął, udał się nasz poeta na Hamburg do stolicy pruskiéj i zabawił w niéj prawie cały miesiąc (mniej więcej od początków czerwca do początków lipca 1829 r.) Poznany przez studentów Polaków, którzy w znacznéj liczbie ciągnęli wówczas na uniwersytet berliński, przyjęty przez nich został nadzwyczaj serdecznie i zaprowadzony na odczyty uwielbianego przez całą młodzież myślącą filozofa Hegla; sądzili bowiem, że Mickiewicz tak jak oni rozkoszować się będzie subtelnemi wywodami mędrca. Zawiedli się jednak pod tym względem zupełnie. Poeta, wysłuchawszy dwu lekcyj, z krasomówczego punktu widzenia bardzo niezaradnych, o różnicy między Verstand i Vernunft (rozsądek i rozum), ten tylko wniosek wyprowadził, że mąż, który tak niejasno mówi i tak się męczy całemi godzinami, by rozjaśnić znaczenie dwu pojęć, pewnie sam siebie

nie rozumie. Niezadowolenia swojego z wykładów nie mógł naturalnie poprzeć rozumowanemi dowodami, gdyż filozofią wogóle, a niemiecką w szczególności znał bardzo powierzchownie; w uniwersytecie wileńskim żadnych filozoficznych wykładów nie słuchał, bo ich za jego czasów nie było, potém zaś czytał dorywczo jakieś rozprawy Kanta i Schellinga, do systematycznych jednak studyów w tym kierunku nigdy się nie zabrał. Rozprawiał więc o filozofii ze stanowiska uczucia i zwykłego rozsądku praktycznego; zamiast okazywać mylność logiczną twierdzeń filozoficznych, zarzucał filozofom brak odwagi lub brak poświęcenia. Tego rodzaju dowody nie mogły oczywiście przemówić do przekonania młodych wielbicieli Hegla; musiano więc zaprzestać sporu, który do żadnych wyników, prócz wzajemnego rozdrażnienia, nie prowadził, i zaniechawszy Hegla, zapoznano poetę z młodym profesorem historyi powszechnéj Gansem, cieszącym się również, lubo w mniejszym stopniu, uznaniem młodzieży. Z Gansem Mickiewicz zrozumiał się lepiej, a nawet w rozmowie z nim rzucił kilka nowych na Rosyą poglądów, które profesor niebawem zużytkował, mówiąc o traktacie wiedeńskim i o „stu dniach“ Napoleońskich, przyczém bardzo zaszczytnie wobec audytoryum wspomniał o poecie naszym, jako jedynym, coby zdołał w świetnéj epopei czyny bohatera wieku wyśpiewać. Ten epizod, jak i kilka improwizacyj, wypowiedzianych przez Mickiewicza na zebraniach, a przyjętych z zapałem, zatarły w młodzieży przykre wrażenie starcia, z powodu poglądów filozoficznych.

Pożegnany serdecznie, ruszył do Drezna, odbył wycieczkę po Saskiéj Szwajcaryi, był w Pradze, gdzie się zapoznał z patryotą czeskim Wacławem Hanką, który mu odrodzenie literatury swego narodu wskazał, pił wody w Karlsbadzie i tu doczekał się przyjazdu młodego swego wielbiciela i naśladowcy, Antoniego Edwarda Odyńca, z którym jeszcze w Petersburgu o wspólną umówił się podróż. Odtąd wraz

z nim przepędził 14 miesięcy, a towarzysz był mu wielce pomocny, gdyż zajął się wszystkiemi drobiazgami potrzeb codziennych.

Do Weimaru, z powodu przypadającéj w dniu 28 sierpnia 1829 roku 80-éj rocznicy urodzin największego poety Niemców, Goethego, dążyli i rodacy jego i cudzoziemcy dość tłumnie. Mickiewicz z Odyńcem zjechali tu 17 sierpnia i zabawili prawie dwa tygodnie.

Goethe znał podobno urywki z „Konrada Wallenroda,“ tłumaczone na język niemiecki przez znajomą Mickiewiczowi z Moskwy Karolinę Jänisch; list Maryi Szymanowskiéj, niegdyś przezeń wielbionéj, polecał poetę naszego, jako twórcę kierunku romantycznego w poezyi polskiéj. Wiadomości te nie mogły mu dać zbyt wysokiego o Mickiewiczu wyobrażenia, bo romantyków w ojczyźnie swéj nie cierpiał, a na formę w poezyi zważał wtedy nadzwyczaj pilnie. Przyzwyczajenie przytém do hołdów i częste odwiedziny cudzoziemców, a mianowicie Anglików, zrządzały, że nowa osobistość, przychodząca złożyć mu cześć, nie mogła sprawić na nim wielkiego wrażenia. Nic więc dziwnego, że przyjął gości polskich tylko jak wytrawny dworak i człowiek pełen uprzejmego dla wszystkich usposobienia. Powiedziawszy kilka komplimentów dosyć chłodnych, korzystał według swegozwyczaju z nadarzonéj sposobności, ażeby się czegośkolwiek dowiedzieć o nieznanéj sobie literaturze polskiéj. Słuchał z zajęciem opowiadań Mickiewicza o historycznym rozwoju poezyi naszéj od najdawniejszych do najnowszych czasów, o charakterze pieśni ludowéj i t. p. W długie jednak rozprawy się nie wdawał. Zauważył, że przy coraz wyraźniejszém dążeniu do prawdy ogólnéj, poezya i literatura stawać się będzie coraz bardziej powszechną; przystał wszakże na uwagę Mickiewicza, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. To była jedyna dyskusya; potém mówił o rze-

czach potocznych, o Szymanowskiéj, Janie Potockim i księżnie Lubomirskiéj, których widział niegdyś.

Po tém pierwszém posłuchaniu, lubo goście polscy długo bawili w Weimarze, nie zapraszał ich na poufne pogadanki; oddał ich w opiekę pań i tylko na obiedzie lub wieczerzy niekiedy z nimi się widywał. Wówczas rozmawiał zazwyczaj z bawiącym w Weimarze astronomem Quetelet'em lub rzeźbiarzem Davidem z Angers, podnosząc zagadnienia przyrodnicze i artystyczne. Mickiewicz zachowywał się milcząco, kiedyniekiedy tylko dorzucił swe zdanie. Przy rozstaniu Mickiewicz i Odyniec otrzymali od Goethego dwie złotobrzeżne kartki zapisane wierszami, oraz dwa pióra odarte z pierza i starannie w kształcie iglicy cieńszym końcem w rozszczepiony środek włożone.

W poufalszych stosunkach zostawał Mickiewicz z kobiecém otoczeniem Goethego, to jest z jego synową Otylią, oraz paniami Vogel i Pappenheim, które były częstemi u niéj gośćmi. Swobodna, salonowa, zaprawiona dowcipem rozmowa podobała się kobietom w wysokim stopniu, a zdolność hipnotyzerska, jakbyśmy dziś powiedzieli, przejęła ich zdumieniem. Razu pewnego poprosił Mickiewicz panie, na wieczorku u Otylii Goethe zebrane, ażeby najulubieńsze swe pierścionki na talerze złożyły, a on odgadnie, który czyją jest własnością. Gdy po pewném wzdraganiu się panie złożyły swe pierścionki w liczbie kilkunastu, poeta nasz powstał, wziął talerz i odszedł na stronę. Rozmowa prawie całkiem zamilkła; starsi mężczyźni zbliżyli się ku paniom; nastąpiła chwila ogólnego oczekiwania. Mickiewicz stał zdala od wszystkich, obrócony twarzą ku oknom i przeglądał przy lampie pierścionki. Nagle odwrócił się i szybko postąpił ku gronu kobiecemu; twarz jego była marmurowo blada; wzrok skupiony w sobie. Odgadywanie udało się w zupełności i wywarło ogromne wrażenie.

Po wyjeździe z Weimaru, odbyli nasi podróżni parodniową wycieczkę po Renie, a wyruszywszy następnie ze Strasburga, zatrzymali się na dłużej dopiero w Medyolanie, potém w Wenecyi i Florencyi, aż wreszcie 18 listopada przybyli do Rzymu. To przenoszenie się z miejsca na miejsce miało cechę wyłącznie turystyczną, było rozrywką, może potrzebą fantazyi, ale nie miało na celu studyów naukowo-artystycznych. Poeta odwiedzał po drodze nielicznych znajomych lub sławnych ludzi, pośpiesznym krokiem przebiegał kościoły, muzea, galerye, pobieżnie spoglądał na sławniejsze budowle, o tém zaś co widział, nietylko szeroko nie rozprawiał, ale nawet i krótkiego zdania nie formułował. Natomiast lubił zawiązywać rozmowy ze spotkanemi w drodze osobami, przyglądał się pilnie naturze, więcéj znajdował upodobania w objawach powszedniego życia, niż w artyzmie.

Za przybyciem do Rzymu, chciał początkowo Mickiewicz poświęcić się studyom poważnym: zaczął czytać Liwiusza, prosił znajomych w kraju o przysłanie materyałów biograficznych, dla skreślenia kilku wizerunków literackich; ale zamiary te rozbiły się niebawem o powaby życia towarzyskiego, którym oprzeć się nie mógł, jakkolwiek w chwilach zastanowienia czuł pustkę w duszy i tęsknił za ojczyzną, narzekając na „moralne osamotnienie.“ Być może, iż w rozrywkach zewnętrznych szukał zapomnienia smutków trawiących serce.

Były w Rzymie głównie trzy ogniska, dla poety naszego dostępne, w których gromadziło się dość dobrane towarzystwo.

Dawna znajoma z Moskwy, księżna Zeneida Wołkońska, przybywszy do stolicy katolicyzmu, częścią z powodu wykształcenia synów, częścią z sympatyi do obrządku rzymskiego, otworzyła swój dom nietylko dla rodaków, ale dla wszystkich poetów, artystów i wyższéj artystokracyi włoskiéj. Tu poznać było można, oprócz rzeszy artystycznéj, sporo dyplo-

matów, wojskowych, książąt i księżn. Dom ten atoli mniej ku sobie pociągał Mickiewicza, może wydawał się trochę zanudny, zwłaszcza od czasu, gdy na jednym z wieczorów poznał młodą, dowcipną i zalotną Anastazyą Klustin, córkę możnéj rodziny z gubernii tambowskiéj, zwaną dziesiątą muzą, a od lat już kilku podróżującą z owdowiałą matką po całéj Europie, tak zaś rozmiłowaną w sztukach pięknych, a szczególniej w ich mistrzach, że ci nawzajem, jak Thorwaldsen w Rzymie albo Bonstetten w Genewie, kochali się w niéj, lub ją „admirowali.“

I to jednakże towarzystwo musiało ustąpić pierwszeństwa rodzinnemu w domu hr. Ankwiczów, dokąd wabiło poetę młode dziewczę, panna Henryka, ucząca się archeologii u Viscontego. Tu najczęściej spędzał on wieczory, bo tu najserdeczniejsze toczono rozmowy, tu bawiono się najlepiej; jakkolwiek i dwu poprzednio wymienionych domów nie zaniedbywał, a z panną Klustin dowcipne wymieniał liściki. W dni niepogodne, obiady, wieczorki ze śpiewem i muzyką, z rozprawami o sztuce i literaturze, z przeróżnemi grami towarzyskiemi, z komedyą francuską, w któréj czynny udział brał lubiony przez wszystkich Odyniec; w pogodne zaś — przechadzki po Rzymie, zwiedzanie zabytków, a począwszy od 10 marca 1830 r. wycieczki w okolice Rzymu do Fiumicino, Albano, Frascati, Palestrina, Genezzano, Tivoli, Subiaco,—zapełniały czas w normalnym stanie rzeczy, to jest gdy podróżni nasi nie byli zaproszeni na jaki bal do posła rosyjskiego, lub też gdy nie odwiedzali królowéj Hortensyi.

Po przez całą tkaninę zabaw przeciągała się różowa wstęga miłości cichéj, spokojnéj, jaka łączyła serce Adama z sercem Henryety. Nie miała ona żadnych dramatycznych powikłań, była prosta i naturalna; jakaś krótkotrwała chmurka, jakiś kaprysik, trochę niechęci ojca panny, cyganka wróżąca, że Henryka dwukrotnie wyjdzie za mąż, żmija przewijająca

swe kręgi przed oczyma Adama, kwiat uszczknięty, rozstanie się dwumiesięczne i najserdeczniejsze potém przywitanie: oto główniejsze wypadki z tych krótkich dziejów uczucia, których strony wewnętrznéj co do poety naszego domyślać się tylko można, gdy ze strony Henryety mamy bardzo późne wprawdzie, ale osobiste zeznanie.

W obawie upałów i Ankwiczowie, i Anastazya Klustin, i Wołkońska w kwietniu 1830 Rzym opuścili. Mickiewicz wraz z Odyńcem 6 maja wyjechał również; marzył on o podróży do Grecyi lub Egiptu, lecz poprzestał na zwiedzeniu Włoch południowych: Neapolu, Sycylii, Baj i Pompejów. Te dwie ostatnie miejscowości zwiedzał już w towarzystwie Anastazyi. Potém rozłączył się z nią i zatrzymawszy się z powrotém w Rzymie, udał się z Odyńcem na zwiedzenie Szwajcaryi. Tu doszła ich wieść o rewolucyi lipcowéj w Paryżu; udzieliła jéj Anastazya, a że Mickiewicz już dawniej przepowiadał upadek Burbonów, porwała ze stołu jakąś francuską gazetę i rozłożywszy ją, przyklękła przed nim, mówiąc: Gloire au prophète! (Chwała prorokowi!). Bardzo żywe zajęcie się wypadkami politycznemi nie przeszkodziło jednak dokończeniu wycieczki turystycznéj, wśród któréj poznał Mickiewicz młodziutkiego Zygmunta Krasińskiego. Potém i nasi podróżni i Anastazya Klustin, zaręczona już wtedy z hr. de Circourt, i Ankwiczowie, którzy najgorętszy czas rewolucyjny przepędzili w Paryżu, znaleźli się razem w Genewie i mile bardzo cały miesiąc spędzili.

Twórczość poetycka Mickiewicza w przeciągu tego czasu była uśpiona; kilka bowiem tylko utworów lirycznych zaznaczyć tu można. Po wierszu „Na Alpach w Splügen," który odbrzmiewa jeszcze wspomnieniami Maryli, idą w chronologicznym porządku: „Do mojego Cicerone w Rzymie," gdzie się pytał Henryety o swą przyszłość, „Do Maryi Łempickiéj," towarzyszki Henryety, „Wezwanie do Neapolu, będące

przeróbką pieśni Mignony z Wilhelma Meistra Goethego, „Do matki Polki" napisany w drodze do Genui, w lipcu 1830. Szczupły ten plon z kilkunastu miesięcy wskazuje, jak zaprzątnięty był poeta nasz życiem towarzyskiém i wchłanianiem wrażeń. Nie dotykała go wtedy ani troska o byt powszedni, bo miał pieniędzy dosyć na swe potrzeby skromne, ani też ucisk okoliczności zewnętrznych; roztargnienia więc tylko światowe i napływ nowych spostrzeżeń były głównym powodem, że twórczość jego w okresie podróży nie upamiętniła się żadnym większym utworem. Dokonywała się w nim powoli nowa zmiana, która podczas drugiego pobytu w Rzymie wystąpiła jawnie. Zmiana ta dotyczyła nastroju religijnego.

W wychowaniu domowém i szkolném, przejętém duchem pobożności tradycyjnéj, Mickiewicz odebrał trwałe wrażenia, zwracające myśl jego ku Bogu i światowi nadzmysłowemu wogóle. Podczas studyów uniwersyteckich wrażenia te zatarły się nieco, gdyż jakkolwiek wykłady w Wilnie dalekie były od dążności podrywania wiary w młodzieży, to przecież będąc prowadzone przez wychowańców „wieku oświecenia," wieku racyonalizmu, nie mogły wcale się przyczyniać do rozdmuchiwania uczuć religijnych, a nieopatrzna gorliwość władzy, nakazująca terminowe spełnianie obrządków religijnych, budziła niechęć i opór wśród studentów i raczej zobojętniała, aniżeli wzmacniała w nich zasady pobożności.

Poezya romantyczna, posługująca się chętnie motywami religijnemi i zajęta stosunkiem świata zmysłowego do duchowego, mieściła w sobie zarodki mistyczne, które przy sprzyjających okolicznościach mogły przybrać olbrzymie rozmiary, ale u Mickiewicza na razie wywołała tylko chęć zużytkowania wierzeń religijnych ludowych na rzecz natchnień artystycznych.

Życie w wirze wielkoświatowym, jakie następnie prowadził, rozwijając dowcip, ochładzając uczu-

ciowość wogóle, przytępiało też i wiarę, tak, że poeta nasz zaprzestał spełniać obrządki religijne. Zetknięcie się ze szlachetnym mistykiem Józefem Oleszkiewiczem w Petersburgu zaczęło już oddziaływać na utajone usposobienie i chociaż Mickiewicz podżartowywał sobie z pomysłów i upodobań mistyka, czuł wszelako w głębi duszy odradzanie się wierzeń młodości, na tle uczuciowém. Odgadywał to Oleszkiewicz i mówił poecie: „Nic to nie szkodzi! Ty myślisz teraz, że ty strasznie rozumny i że niema światła nad rozum. Ale to nic nie szkodzi! Jak Pan Bóg chce, tak będzie.“ A do innych odzywał się o Mickiewiczu: „Jest on naczyniem wybraném i prędzej później łaska go napełni i przez niego spłynie na drugich.“ Nie mylił się.

Poeta nasz, bywając w domu hr. Ankwiczów wielce religijnie usposobionym, z początku także żartobliwie względem pobożności Henryety i jéj towarzyszki Marceliny się zachowywał. Panny w tajemnicy przed nim przedsięwzięły pewne modlitwy i posty na intencyą jego nawrócenia. Gdy tajemnicę tę wydała sama Ankwiczowa, Mickiewicz przyjął ją poważnie i odtąd żartów w rzeczach wiary zaprzestał. W tym samym mniej więcej czasie doszła go wiadomość o śmierci Oleszkiewicza. Poeta wspominał go teraz częściej może niż dawniej, ale już tylko „w tonie uszanowania i rzewnego przyjacielskiego uczucia.“ Żywioł mistyczny zaczął w nim przemagać. Wiara, uczucie, natchnienie, stawały się dla niego potęgami wyższemi nad rozum już nietylko w znaczeniu poetyczném, jak było w pierwszéj dobie romantyzmu, ale także wprost w życiu umysłowém, w przekonaniach i poglądach. W wierszu „Romantyczność“ mówił o czuciu i wierze na tle fantazyi ludowéj, teraz to czucie i wiara zabarwiały się wyraźnie odcieniem religijnym. Widać to w poezyach: „Rozmowa wieczorna,“ „Mędrcy,“ „Arcy-mistrz,“ „Rozum i wiara,“ które prawdopodobnie w drugiéj połowie roku 1830 powsta-

ły. Korzy się w nich poeta przed Bogiem, uznaje i swój i innych ludzi umysł za niezdolny do poznania tajemnic świata bez pomocy wiary, potępia tych mędrców, co tylko na księgach wyostrzywszy „rozumy zimne i twarde jak miecze ze stali,“ zwlekli z Boga szaty tajemnicze i szyderstwami go obrzucili, a o sobie powiąda:

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary
Z różnych jéj mniemań i barwą i szumem
Wielkie i mętne, gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

Za tém ukorzeniem się umysłu musiały nastąpić odpowiednie uczynki. Gdy dnia 10 października 1830 r. rozstawszy się z Odyńcem, powrócił Mickiewicz do Rzymu, życie jego przybrało odmienny od poprzedniego charakter. Zabawy już go nie zajmowały nawet pozornie, jak dawniej; zbliżył się do ludzi słynących nauką teologiczną i pobożnością; z księdzem Stanisławem Chołoniewskim, człowiekiem wielce pobożnym i ascetycznie żyjącym, ale też gruntownie wykształconym, częste prowadził rozmowy i sam wyznawał, że im zawdzięczał „nowy widok świata, ludzi i nauki“; czytał wiele, a między książkami, które wtedy studyował, znajdowały się Boska Komedya Dantego, oraz pisma religijno-filozoficzne księdza Lamennais.

Wreszcie pod działaniem połączonych czynników, budzących w nim dziecinne wspomnienia, postanowił spełnić akt pokory religijnéj i poszedł do spowiedzi. Rzecz ta nabrała dla poety wielkiego uczuciowego znaczenia, gdy się dowiedział, że Henryeta Ankwiczówna miała téj właśnie nocy, w któréj Mickiewicz przygotowywał się do komunii, sen o nim, przedstawiający go ubranego w sukni białéj spadającéj aż na ziemię i bawiącego się z białym barankiem trzymanym na ręku. Jakie wrażenie zrobiło na poe-

cie opowiadanie tego snu, który za proroczy uważał, wnieść można ztąd, że gdy w rok potém powtarzał przyjacielowi to zdarzenie, twarz jego „była tak drgająca i blada, głos tak zmieniony i drżący," że podobnego wzruszenia przyjaciel ów nigdy w nim nie widział dawniej. Po skończoném zaś wyznaniu poeta dodał: „Gdyby piorun spadł u nóg moich, nie przeraziłby mię tyle..."

Od pogrążenia się w mistycyzmie odwróciły narazie poetę wypadki krajowe, nadając myślom jego inny kierunek, zmuszając do zajęcia się sprawami rzeczywistości widzialnéj. Gdy wieść o powstaniu listopadowém nadeszła do Rzymu, Mickiewicz zaczął wybierać się w drogę, ale rozmaitego rodzaju przeszkody nie dozwoliły mu wyjechać z wiecznego miasta wcześniej, jak 19 kwietnia 1831 roku.

VI.

Opuściwszy Włochy, zatrzymał się nasz poeta na dni kilka w Genewie, śledząc gorączkowo przebieg wypadków w kraju...

Pewne zamiary kazały mu skierować dalszą drogę na Paryż, który miał oglądać po raz pierwszy. Stolica Francyi, a zwłaszcza jego inteligencya, nie podobały mu się w wysokim stopniu. Zawiedziony w nadziejach, wyjechał do Drezna, a ztąd do W. Ks. Poznańskiego, chcąc się dostać do Królestwa.

Gdy się to okazało niemożliwém i gdy niebawem powstanie upadło, Mickiewicz pozostał w W. Księstwie, serdecznie przyjmowany i ugaszczany przez obywateli, lubo i przykrych zajść nie brakowało. Mógł teraz w ciągu 8-miesięcznego pobytu porównać szlachtę i lud na Litwie, z takiemiż warstwami narodu w Wielkopolsce, a porównanie to musiało przyczynić się do rozszerzenia i pogłębienia spostrzeżeń i poglądów, odnoszących się do charakteru, zwyczajów i obyczajów narodu. Rozmawiając zaś o kwestyach pierwszorzędnego

znaczenia dla bytu i rozwoju społeczeństwa, coraz silniej odczuwał potrzebę wypowiedzenia przed ogółem tych myśli, które się w duszy jego zbierały, a do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości narodu się odnosiły.

Potrzebie téj uczynił zadość w Dreznie, dokąd się przeniósł w początkach marca 1832 roku. Towarzystwo polskie w tém mieście było wówczas bardzo liczne i wielce ożywione; w pierwszych bowiem miesiącach po upadku powstania wychodźcy nasi doznawali wśród Niemców nader przyjaznego przyjęcia. Zrazu Mickiewicz uczestniczył w tłumnych zebraniach, niebawem jednak zraził się do nich i zamknął w szczupłém gronie najbliższych znajomych. Wchodzili do niego: Odyniec, Ignacy Domejko i Stefan Garczyński, młody entuzyasta, którego poeta nasz poznał jeszcze w Berlinie, a potém w Rzymie mocno pokochał, chociaż jego filozoficzne poglądy, z systemu Hegla wysnute, po swojemu zbijał. To przyjazne otoczenie, opowiadania z czasów niedawnéj wojny, wspomnienia uniwersyteckie, wywoływane rozmową z Odyńcem i Domejką, obudziły w Mickiewiczu nanowo twórczość poetycką. Zużytkował naprzód materyał dostarczony przez przyjaciół z najświeższych wypadków, pisząc krótkie pieśni lub rapsody: „Śmierć pułkownika," „Pieśń żołnierza," „Nocleg" „Reduta Ordona"; następnie zabrał się do prac większego zakresu. W nich, zgodnie z istotą swego usposobienia, rozwijał wątek, z którego właśnie jego uczucia i dzieje się snuły. Napisał tedy jakąś część „Dziadów", któréj nie pokazał nikomu. Odyniec domyślał się, że w niéj przedstawił poeta swoję religijną wewnętrzną przemianę i wpływające na nią okoliczności, gdyż sam Mickiewicz miał mu powiedzieć, że rzecz dzieje się w Rzymie i że Odyniec także gra w niéj pewną rolę. Na zapytanie Odyńca, czy mu ją kiedy pokaże, odpowiedział: „może kiedyś, może nigdy." Skończyło się na nigdy; nikt téj części nie poznał. Natomiast część, którą zu-

pełnie niewłaściwie nazwał „trzecią,“ w miarę jak pisał, odczytywał wieczorami Odyńcowi, Garczyńskiemu i Domejce, i ta chęć odczytywania dodawała mu, wedle własnego zeznania, bodźca do pośpiechu w codziennéj pracy. Utworzył ją nadzwyczaj szybko, chcąc, jak mówił, „korzystać z natchnienia, które czuł niezależném od woli.“

Głównym tematem téj części III jest przedstawienie stosunków wileńskich w sprawie filaretów z r. 1823 i 1824; ale poeta na tém tle odmalował z potęgą, jakiéj dotychczas w żadném z pism jego nie było, cierpienia ogółu narodowego. Potrzebował on tylko niejako punktu oparcia w faktach, które sam przeżył i przebolał; właściwie jednak miał na myśli i w sercu daleko szersze widnokręgi i o wiele sroższe cierpienia. Z takiego punktu widzenia obrazy tu nakreślone przesadnemi ani jaskrawemi nam się nie wydadzą, lecz pełnemi bolesnéj prawdy. Dodać potrzeba, że nastrój i koloryt panujący w téj części nie był możliwym przed rokiem 1831 ani pod względem politycznym, ani religijnym. Pomijając pierwszy, zastanowię się tylko bliżej nad drugim. Mickiewicz, od czasu drugiego pobytu w Rzymie, coraz więcej tracił ufność w znaczenie i potęgę rozumu, przeciwstawiając mu siłę wiary, uczucia i natchnienia. W ciągu roku 1831 myśli te zwrócone zostały do ogólnego położenia narodowego i sprawiły, że polepszenia losu nie spodziewał się poeta ani od mocy materyalnéj, ani od kombinacyj dyplomatycznych, ale od potęgi wiary i natchnienia. Sądził on, że dążności narodu należałoby nadawać charakter religijno-moralny i na katolicyzmie grunt położyć, na którym wznieść się miał gmach przyszłości. Ztąd też genialnemu Konradowi, przemienionemu pod wpływem cierpień ogólnych z Gustawa, jakkolwiek ma dla niego nader silne spółczucie, gdyż cząstkę własnéj istoty w osobistość tę włożył, nie daje on urość na bohatera czynnego, na przedstawiciela idei w jéj pełném rozwinięciu, ale

przeciwstawia mu prostego, naiwnego, książkowéj mądrości nieposiadającego księdza Piotra, który pokorą i pobożnością zjednywa sobie łaski od Boga, jakich nie otrzymał szlachetny, ale dumny Konrad, na podobieństwo olbrzymów szturmujący do nieba, nietylko prośbą, ale i groźbą. Nie Konrad, lecz ksiądz Piotr ogniskuje w sobie te dodatnie czynności, jakie się w dramacie dokonywają. Improwizacyą Konrada, w którą wlał tyle zapału, sam Mickiewicz uważał za punkt zwrotny Byronowskiego kierunku w poezyi, to jest punkt, w którym „szał pychy rozumu“ dosięga ostatecznych swych granic, a tylko pokorna wiara i chrześciańska miłość brata Piotra broni go od ostatecznego upadku i zguby.

Pod względem artystycznym przedstawia część III „Dziadów“ ciekawe zjawisko zlania ze sobą dwu sprzecznych pierwiastków: realizmu i idealizmu. Realizm panuje w scenach pojedynczych, w barwnym a śmiałym sposobie malowania szczegółów, z nieujawnioną do owego czasu przez Mickiewicza dobitnością; idealizm, a może raczéj mistycyzm, przebija się w osnuciu wątku głównego, w tych chórach duchów złych i dobrych, które na każdą myśl, na każde uczucie człowieka czekają, ażeby je na cele właściwe sobie obrócić. Duchy te nie mają już cechy ludowéj, jak w baladach i dawniejszych częściach „Dziadów,“ lecz kościelno-mistyczną, a zarazem symboliczną. Poeta posługuje się też niemi inaczej niż poprzednio: nie dla ich zalet plastycznych, wywierających urok na wyobraźnię, lecz dla znaczenia ich moralnego wprowadza je na widownię; wierzy w nie już nietylko wiarą artystyczną, ale wiarą całéj swéj istności duchowéj; w jego pojęciu są one równie rzeczywistemi, jak sama rzeczywistość widzialna; jedném słowem romantyzm przeszedł już w mistycyzm, lecz poeta nie dał się mu opanować całkowicie i wyłącznie; wysoki jego talent plastyczny i silne poczucie rzeczywistości, stawiły dzielny opór najazdowi żywiołu sobie przeci-

wnego i, jak zobaczymy niebawem, zdołały nawet na czas pewien odeprzeć go całkowicie w sferze tworzenia artystycznego, lubo strony rozumowéj nie zdołały przed nim zasłonić.

Całości zaokrąglonéj III-a część „Dziadów“ nie tworzy; stanowi ona tylko akt pierwszy rozległego utworu, jaki Mickiewicz napisać zamierzył, chcąc z niego zrobić jedyne dzieło „warte czytania.“ Dalszych atoli aktów nie nakreślił, tak że poemat pozostał tylko fragmentem. Niektóre do nich materyały obrobił w formie luźnych urywków, które p. n. „Ustęp“ do części III dołączył... Pod względem siły i barwności wyrażenia, oraz plastyki obrazów, są one nieporównane. Doskonała znajomość miejsca, charakterów, obyczajów i wypadków, nabyta w ciągu pobytu w Rosyi, ożywiona płomiennem uczuciem przepełniającém serce poety i oddana słowem mistrzowskiém, wydała małe arcydzieła poezyi opisowéj i satyrycznéj.

Chcąc poemat swój podać do druku, a przytém widząc, że dłuższy pobyt w Dreznie może być albo utrudnionym albo całkiem wzbronionym, gdyż rząd saski niejednemu już z wychodźców wskazał drogę poza swe granice, Mickiewicz, pożegnawszy się z Odyńcem i Garczyńskim, opuścił Drezno w końcu czerwca 1832 roku i w towarzystwie ośmiu innych wychodźców, pomiędzy którymi znajdował się też Ignacy Domejko, udał się do Paryża.

VII.

Paryż wrzał wówczas namiętnościami politycznemi i socyalnemi. Najprzeróżniejsze i najdziwaczniejsze projekty reform rzucały żar w umysły i rozgorączkowywały wyobraźnie. Wszystkie żywsze i zapalczywsze dusze poddawały się powabnemu złudzeniu, że wszelkie stosunki ludzkie dadzą się rychło przemienić, a choćby przewrócić, aby się stać doskonalszemi i zapewnić ludziom większą sumę szczęścia.

Na takim gruncie i wśród takiéj atmosfery wychoźdtwo nasze, w bardzo wielkiéj liczbie zgromadzone, musiało spotęgować swą pochopność do sporów, a zarazem chwytać się nieraz najbardziej krańcowych teoryj. Wyniósłszy już z kraju zarody niesnasek, z powodu stanowczéj różnicy w poglądach na środki prowadzenia sprawy, rozwinęło je w Paryżu, wobec zupełnéj niemal, zwłaszcza w początkach, swobody słowa i zgromadzania się, do stopnia najwyższego, podzieliło się na różne stronnictwa, zakładało wciąż nowe towarzystwa, wydawało broszury polemiczne, kłóciło się na zebraniach, wyzywało się na pojedynki i zabijało się.

Mickiewicz gwaru i dyskusyj politycznych nie lubił; do stronnictwa żadnego nie przystąpił, a biorąc udział w takich sprawach, które ku pożytkowi ogólnemu urzeczywistnione być mogły, starał się nakłonić wychodźtwo do zjednoczenia i do zaprzestania próżnych kłótni o słowa i mary, a wziąć się naprawdę do pracy. Sądził, że przemawiając do ogółu w duchu religijnym, słowami prostemi, zrozumiałemi nawet dla prostaczków, i poruszając w ich sercach uczucia im wspólne, zdoła wpłynąć na zmianę w zachowaniu się współrodaków. W téj myśli ułożył naprzód „Księgi narodu“ i „Księgi pielgrzymstwa polskiego.“ Obrał tu formę biblijną i co do stylu i co do sposobu wpływania na uczucia i przekonania. Chcąc dodać otuchy zgnębionym, naród swój przedstawił jako wybrany, a dzieje jego upodobnił z dziejami życia, męki i zmartwychwstania Chrystusa. W rozumieniu poety nie miało to napełniać serc naszych pychą, lecz służyć tylko za pokrzepienie i budzić ufność nadal. Jako znamienną cechę tego wybrańtwa wskazał bezinteresowność i ofiarność, któremi w czynach politycznych kierowali się nasi przodkowie, gdy tymczasem obce narody hołdowały samolubstwu i innym tego rodzaju

nieszlachetnym pobudkom. Taki charakter narodu wkłada na wychodźtwo wielkie obowiązki; ma ono być wśród obcych narodów wzorem doskonałości moralnéj, ażeby zachęcić wszystkie do czczenia ideałów, które ono wielbiło. Mickiewicz, lekceważąc cywilizacyą materyalną i rozum książkowy a samolubny, prowadzący do zobojętnienia dla spraw wyższych, sądził, że wychodźcy nie mają czego uczyć się od Europy, ale sami mogą ją oświecać, bo każdy ma ducha poświęcenia się, którego wychowańcom dobrobytu materyalnego brak zupełnie. Ażeby jednak mogli posłannictwo szerzenia na Zachodzie ewangelii wolności spełnić należycie, muszą być skromni, zgodni, zaniechać sporów o arystokracyi i demokracyi, o prawa, o formy rządu, ale jąć się pracy. Każdy niech robi to, co umie, ale niech przytém pamięta, iż nie dla samego siebie tylko żyje, iż ma obowiązek pracować dla ogółu. Pierwszém więc staraniem każdego powinno być udoskonalenie moralne. „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszę—mówił Mickiewicz—o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice.“ Miłość wzajemna, ciche spełnianie obowiązków i pokora są-to najpiękniejsze cnoty, jakie zdobić winny wychodźców.

Rady, podane przez Mickiewicza w tych pisemkach, nie odniosły pożądanego skutku. Nic dziwnego: poeta domagał się rzeczy najtrudniejszéj, o jakiéj pomyślić można: przetworzenia się usposobień, nałogów, słowem całéj moralnéj natury ludzkiéj. Przetwarzań się takich w wielkiéj liczbie ludzi historya bardzo mało zaznaczyć może; dokonywały się one tylko pod wpływem potężnych reformatorów religijnych. Mickiewicz, opanowany myślą o potędze wiary, mniemał, że i on zdoła do takiéj przemiany przywieść choćby tylko spółrodaków bawiących we Francyi; dlatego też wspomniane książeczki rozsyłał darmo, zwłaszcza na prowincyą, dokąd znaczną część wychodźców rząd francuski z Paryża wydalił. Nie poprzestając na tém,

poeta nasz po raz pierwszy próbował oddziałać na ogół za pośrednictwem publicystyki.

Za jego wpływem prawdopodobnie powstało w Paryżu pisemko p. t. „Pielgrzym polski,“ wychodzące od 4 listopada 1832. Udział w nim czynny Mickiewicza rozpoczął się właściwie 5 lutego 1833 r., lecz nie był wtenczas trwały; dopiero od kwietnia do końca czerwca stał się nieprzerwanym. Poruszając kwestye bieżące, które mogły interesować ogół, rozwijał myśli rzucone w „Księgach narodu i pielgrzymstwa.“ Nastawał szczególniej na konieczność pozbycia się złych środków w walkach o przekonania, utrzymując, że kłamstwo a témbardziej potwarz w polityce, jako zabytek dawnych czasów, powinny być stanowczo usunięte, że nadszedł czas, w którym prawda winna stać się nietylko hasłem, ale istotną kierowniczką dziennikarstwa, parlamentaryzmu i całéj wogóle polityki. Marzył o urządzeniu społeczeństwa ludzkiego, a przedewszystkiém europejskiego, na zasadzie wolności chrześciańskiéj. Formy rządu tego społeczeństwa nie chciał nazywać republiką, gdyż imię to złączone było z nader rozmaitemi a niezbyt ponętnemi wyobrażeniami; dodawał tylko, że nazwa ta się znajdzie. Sądził, że należałoby ustanowić „concilium europejskie,“ któreby wyższém było nad wszystkie jednostkowe i jednoplemienne interesa, któreby się stało orędownikiem wszystkiego, co szlachetne, wielkie i na poparcie zasługujące, a nieśmiertelnym wrogiem tego wszystkiego, co nikczemne i podłe. Wierzył, że takie „concilium“ jest możliwe, byleby tylko nie zbrakło zapału i ufności w jego urzeczywistnienie. Przechodząc do spraw bliższych, nastawał na nieodzowną potrzebę zamienienia wybuchowych poświęceń na drobniejsze lecz ciągłe, zaniechania pogardy dla pewnych klas narodu, dzielenia się na stronnictwa; na potrzebę nadawania chłopom wolności i uwalniania od czynszów; tę ostatnią czynność uważał za donioślejszą w skutkach, niż gorączkowe pró-

by, przedsiębrane przez zapalonych a małorozważnych demokratów.

Artykuły Mickiewicza tonęły wśród powodzi rozróżnionych opinij, nie wywierając wpływu zamierzonego przez autora; robiły mu natomiast niechętnych, którzy za złe mu brali wdawanie się w politykę. Żył on osamotniony w bardzo szczupłém kółku przyjaciół, do których między innymi należał teraz Bohdan Zaleski. Nie znosząc gwaru, urządził się, jak powiadał, po wiejsku; jadał w domu o południu i rzadko na miasto wychodził. Czytał mało, a pisał gorączkowo. Hałaśliwych zebrań unikał i braci wychodźców bardzo niepochlebnie oceniał. „Jedni mnie nienawidzą—pisał raz do przyjaciela — drudzy krzywo na mnie patrzą, doktrynerzy mają za waryata: wszyscy głupi solennie, krzykliwi i niedołężni.“ Rad był gdzie się wyrwać z Paryża, chciał się zbliżyć do swoich przyjaciół bawiących w Saksonii, to znów na Wschód uciekać, ażeby uniknąć „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów,“ chociaż rozumiał dobrze powód tak bolesnych objawów. Nakoniec, na wieść, że Stefana Garczyńskiego lekarze wysłali na serwatkową kuracyą do Bex w Szwajcaryi, Mickiewicz, poruszywszy wszelkie sprężyny celem ułatwienia sobie podróży, spieniężywszy tłumaczenie „Giaura,“ którego w tym czasie dokonał, udał się w początku lipca 1833 r. na Lozannę do miejsca pobytu swego chorego przyjaciela. Podróż ta, pomimo jednonocnéj choroby w Lozannie, orzeźwiła poetę. „Widok gór i błękitnego Lemanu — pisał wtedy—przeniósł mię w dawniejsze, weselsze lata. Przyznam ci się, że politycy paryscy jeszcze głupsi i mniejsi teraz wydają się, niż przed tygodniem. Jak wielkich ludzi czas i oddalenie powiększa, tak liliputów pomniejsza i pożera.“ Zamarzył o spokojném życiu na wsi; ale naturalnie o urzeczywistnieniu marzenia myśleć nie mógł. Garczyńskiego zastał bardzo osłabionym; w połowie lipca musiał przewieźć go do

Genewy, gdzie się też znalazła prawdziwa szarytka w sukni świeckiéj, Klaudyna hr. Potocka, serdecznie zajmująca się zdrowiem biednego żołnierza-poety. We wrześniu trzeba było wyjechać do okolic cieplejszych. Podążyli do Awenionu. Mickiewicz był niemal złamany. „Źle bardzo, bardzo z nami — pisał wówczas do Domejki. — Możesz wystawić sobie biedy podróży z chorym, którego na ręku z pojazdu do mieszkania dźwigać trzeba, w kraju, gdzie oberżyści spojrzawszy mu w oczy i widząc w nich niewiele życia, przyjmować nie chcą! Jak daleko trafimy, nie wiem. Mamy jechać do Marsylii, a ztamtąd do Włoch,—zamiar popierany przez wszystkich doktorów, chociaż dodają w ucho, że chory w Marsylii albo na morzu życie zakończy. Może zostaniemy w Montpellier. Jestem tak strudzony, tak bezsenny, że dłużej pisać nie mogę... Pieniądze wszystkie, co miałem, wydałem w podróży, pięć lieues (mil francuskich) na dzień i w kraju tak drogim jak Szwajcarya!.. P. Potocka przysłała mi była pieniądze do Paryża, ale jéj tu wróciłem; póki mam swoje, cudzych nie chcę...“ Jakże słowa te wybornie malują trudy i kłopoty, i ciężkie położenie finansowe, i pragnienie zarazem niezależności, i przestawanie na małém — okoliczności i uczucia, które dla Mickiewicza były niejednokrotnie powodem chwil smutnych — odsłaniając nam przytém jego duszę tkliwą, szlachetną i poświęcającą się!

Garczyńskiemu niepodobna było mówić całéj prawdy; myślał on o podróży do Włoch, a chcąc przejść przez pokój, cudzéj potrzebował pomocy. Gdy do Awenionu przybył dawny jego towarzysz broni Pągowski, Mickiewicz udał się do Marsylii, niby dla wystarania się o pasport na dalszą podróż, aby zaspokoić życzenia chorego. Niebawem, wezwany naglącym listem, powrócił. Téj nocy, gdy Garczyński żyć przestał (20 września), Mickiewicz do późna przy nim czuwał; znużony wreszcie poszedł spać, zostawiwszy Pągowskiego przy chorym; ten, przerażony zbyt ci-

chym snem jego, zwrócił nań baczniejszą uwagę i spostrzegł, że już nie żyje.

Oddawszy ostatnią posługę zmarłemu przyjacielowi, uczciwszy jego pamięć zwięzłym nagrobkiem łacińskim, Mickiewicz, poczęści w towarzystwie Bohdana Zaleskiego, odbył wycieczkę po Francyi południowéj, starając się widokiem natury orzeźwić skołatany umysł. Do Paryża zjechał dopiero w początkach listopada i oddał się pracy nad dokończeniem poematu, który, rozpoczęty jeszcze przed rokiem, długo nie miał w pomyśle twórcy ani tytułu, ani oznaczonego zakresu.

Pierwszą o tym poemacie wiadomość znajdujemy w liście do Odyńca z 8 grudnia 1832 roku: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju Hermann i Dorothea Goethego; już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszéj. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot, tyle kłopotów i prócz tego różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.“ Poeta pieści się tym utworem, jako najmłodszém i najukochańszém dzieckiem. Pisząc go przenosi się myślą do swoich rodzinnych okolic, żyje życiem wiejskiém, oddycha świeżém powietrzem, bawi się ze swymi dawnymi znajomymi i przyjaciołmi. Zajęty artykułami dziennikarskiemi, oraz prowadząc korektę poematu Garczyńskiego „Wacława dzieje,“ musiał nieraz zawieszać pracę nad „poematem szlacheckim,“ albo jak go jeszcze krócej tytułował „szlachcicem.“ Po długiéj przerwie wrócił do niego na dobre dopiero w kwietniu 1833 roku; dnia 6 maja, kiedy pierwszy tom poezyj Garczyńskiego był już w druku wykończony, dowiadujemy się, że poeta trzecią pieśń „Tadeusza“ napisał. Wtedy-to zdecydował się ostatecznie na to imię dla swego najmłodszego dziecka i wtedy ujrzał, że tak łatwo z niém nie poradzi. Początkowo sądził widocznie, że poemat obrobi na mniejszą skalę; teraz zaś powiada: „Zanosi się na

długą chryję; dotąd dosyć dobrze udaje się, gdyby nie tyle przeszkód, gdyby jeden tydzień przeszłorocznéj ciszy,“ t. j. gdy bawił w Dreznie i pisał III część „Dziadów.“ Napróżno wzdychał; ciszy dobić się nie mógł. Mimo to „kropił swoje poema“ i w końcu maja pieśń czwartą kończył. Jadąc do Garczyńskiego, wziął ze sobą „Tadeusza,“ lecz okazało się, że wśród cierpień przyjaciela tworzyć nie będzie mógł; myślał więc tylko o tém, czy znajdzie czas do przepisania czwartéj pieśni; rzeczywiście tu ją skopiował. Gdy po śmierci Garczyńskiego udał się na przejażdżkę i zatrzymał się w Lyonie, Bohdan Zaleski, który za nim pędził, przechodząc koło jakiegoś hotelu, zoczył go w oknie, z papierem w ręku; po wejściu do pokoju zastał poetę codosłownie „zacietrzewionego“ nad „Tadeuszem,“ pomimo choroby „chodzącéj mu po zębach, głowie i piersiach.“ W dniu 13 listopada za powrotem do Paryża pisał do Odyńca: „Piątą pieśń Tadeusza skończyłem; trzy jeszcze zostaje.“ Jak widzimy, nawet wówczas nie miał jeszcze zupełnego planu poematu i sądził, że całość w ośmiu księgach się zawrze. Od téj chwili praca postępowała już szybko, gdyż w lutym 1834 roku skończył „Pana Tadeusza“ całkowicie. Donosząc o tém przyjacielowi, mówił, że wiele tam marności, wiele też dobrego. Praca ukończona nie przejmowała go zadowoleniem, owszem porzucał ją, jakby ciężar jaki, a chciał iść dalej, coraz wyżej lot podnosząc. Ukończone arcydzieło nie zatrzymywało już na sobie uwagi twórcy. „Przekonywam się — pisał wtedy do Odyńca—że się nadto żyło i pracowało dla świata tylko, dla pustych pochwał i celów drobnych. Zdaje mi się, że nigdy już pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło warto czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym i Tadeusza zaniechał, ale już był blizki końca...“

Błogosławioną była okoliczność, że myśl zaniechania „Pana Tadeusza“ nie pojawiła się wcześniej;

w przeciwnym razie bylibyśmy pozbawieni największéj ozdoby poezyi naszéj.

Poeta nazwał utwór swój skromnie „historyą szlachecką,“ dając tém do zrozumienia, że nie zamierzał spełniać wszystkich warunków, jakie do pojęcia epopei były i są przywiązane. Mamyż jednak zgodzić się bezwzględnie na takie określenie charakteru poematu? Mamyż, jak owocześni krytycy, zestawiać go z powieściami Waltera Scotta i tą względnie małą miarą oceniać jego wartość? Mojém zdaniem i zdaniem większéj części dzisiejszych krytyków takie dobroduszne przyjmowanie intencyi poety nie mogłoby się nazwać wniknięciem w naturę utworu. Po rozważeniu wszelkich względów wyznać potrzeba: że Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ spełnił jedno z najtrudniejszych zadań artystycznych—stworzył epopeję nowożytną z motywów czysto ludzkich, bez żadnych machin cudownych, któremi się dawne epopeje posługiwały, a nawet wogóle bez udziału tego świata duchów, który jeszcze w III części „Dziadów“ tak pierwszorzędną odgrywał rolę. Genialnie odmalował życie społeczeństwa naszego w początkach XIX stulecia w jego prywatnych i publicznych stosunkach, w jego drobnych i wielkich sprawach, z jego cierpieniami i nadziejami, z jego bytem codziennym i z chwilami podniosłego nastroju, z jego wadami i cnotami. Poeta ma gorącą dla narodu swego miłość, ale nie sądzi, żeby objawianie jéj musiało się łączyć z lżeniem jego nieprzyjaciół, albo z nadmiernem wynoszeniem jego zalet; dlatego wystawiając życie jego wielostronnie, nie zamilcza o błędach, ani też nie używa czarnych jedynie barw w odtwarzaniu żywiołów wrogich. Patrząc na objawy świata z wysokiego stanowiska, wie, że każdy znamienny, żywotny rys może i powinien stać się przedmiotem artystycznego obrobienia; ztąd nie popada nigdy w jakiś ton jednostajny i patetyczny, rzewny lub żartobliwy, owszem napełnia poemat taką nieprzebraną rozmaitością wszelkich usposobień, na-

strojów i położeń, jaka jest właściwa życiu rzeczywistemu. Nie jest wyłącznym wielbicielem żadnego stanu, żadnéj warstwy narodu, ani magnatów, ani szlachty, ani duchowieństwa, ani ludu wiejskiego, ale w każdym i w każdéj odsłania znamienne ich właściwości, które bez uprzedzenia i nienawiści maluje. Dowodem nadzwyczaj wielkiego panowania nad sobą i nad przedmiotem, dowodem mistrzowskiego uczucia prawdy i artyzmu było, że pisząc o przeszłości, nie wniósł do niéj swego ówczesnego usposobienia religijnego, swego surowego, prawie ascetycznego poglądu na codzienne czyny i sprawy ludzkie, lecz roztaczając je przed nami z epickim spokojem, nawet cienia mistycznych swoich upodobań z chwili pisania poematu nie zostawił. Na drobne wady, usterki i ułomności natury ludzkiéj, na swary i całe zachowanie się szlachty zaściankowéj, na zabiegi Telimeny około pozyskania męża, na zatrudnienia Zosi w ogródku i gospodarstwie domowém, rzuca poeta uśmiech ironii, ale ironii łagodnéj, wyrozumiałéj, jaką ma mąż dojrzały dla igraszek wieku dziecinnego, wiedząc, że inaczej być nie może, a nawet gdyby było inaczej, to możeby odmienne owe stosunki nie posiadały już dla nas tego powabu co obecne.

Bo też poeta jest realistą przedmiotowym, zarówno w pomyśle ogólnym, jak w malowaniu postaci, scen i wypadków. On nie tworzy ludzi i rzeczy z fantazyi, jak robili romantycy, jak i on sam robił w znacznéj części dawniej, ale ich odtwarza z rzeczywistości. Ponieważ niema na świecie ideałów doskonałych bohaterów, niema ich i w jego poemacie, tak samo jak niema zupełnie złych; aniołowie i szatani znikają, zostają tylko ludzie. Hrabia, wychowaniec epoki sentymentalnéj, pędzący życie bezcelowe, szukający wszędzie silnych wrażeń, któreby jednostajnemu jego życiu dodały choć cokolwiek interesu, sławiący konwencyonalnemi słowy piękności natury włoskiéj, zachowujący zwyczaje angielskie, nie jest przecież jedynie

śmiesznym, pospolitym dziwakiem, umie się zdobyć na rzeczywiste ofiary dla kraju, lecz zarazem, nawet w tych chwilach poważniejszego nastroju, nie traci swych rysów komicznych, rozprawia sentymentalnie i po deklamatorsku, nosi się z teką rysunkową i poszukuje „punktów widzenia.“ W Telimenie również, chociaż uwydatnia jéj wszystkie wady i śmieszności, nie zatarł przecież przymiotów, bodaj trochę łagodzących złe wrażenie, nie uczynił jéj ani zalotnicą przedajną, ani spekulantką bez uczuć ludzkich, ale dobrą w gruncie Litwinką, zepsutą lekkomyślnym trybem wychowania i życia w klasach zamożniejszych, łatwością zawierania i zrywania małżeństw pod najbłahszemi pozorami. Naodwrót w postaciach dodatnich nie pominął i takich cech, które nie wymuszają na nas bezwarunkowego dla nich podziwu i uszanowania, lecz pozwalają niekiedy uśmiechnąć się z nich swobodnie. Taki Sędzia np. poważny i poważany, zacny i rozumny, ma przecież bardzo naturalne wybuchy popędliwości i porywczości, znamionujące nasz narodowy charakter; dość sobie przypomnieć jego rozmowę z Tadeuszem, gdy mu grozi „bizunem na kobiercu“ w razie, jeśliby Zosi poślubić nie chciał. Najwydatniej ta cecha tworzenia artystycznego występuje w postaci Jacka. Któraż z osób poematu wznosi się wyżej nad niego i któraż jest poetyczniejszą, wznioślejszą? A przecież poeta, przedstawiając jego życie codzienne, nie pominął scen całkiem powszednich, gdy np. potrząsa dobrodusznie ogórkami bernardyńskiemi, widząc psoty Tadeusza, gdy w karczmie rozmawia z bracią szlachtą tak, że my dzisiaj nie możemy się nie uśmiechnąć z tych jego gawęd o „wielkich ludziach, co od jego tabaki kichali,“ chociaż równocześnie podziwiamy jego umiejętność zastosowania się do nizkiego poziomu umysłowego słuchaczy, do których przemawia. Poeta miał ten talent olbrzymi malowania ludzi dobrych zgodnie z rzeczywistością, a więc z ich ułomnościami, słabostkami, wzbudzając atoli dla nich w ogólném wra

żeniu uczucia uszanowania, poważania, uwielbienia — i to bez żadnego naciąganego efektu, poprostu wskutek wewnętrznéj prawdy i żywotności charakterów, które wystawiał.

Jak w malowaniu ludzi, tak też w odtwarzaniu stosunków, co ich wiążą lub rozdzielają, widnieje taż sama przedmiotowość, ten sam realizm. Rozwija je poeta w trzech niejako stopniach, obejmujących ogół uczuć i interesów społeczeństwa: indywidualnym, towarzyskim i politycznym, każdemu wyznaczając, zgodnie z prawdą, zakres odpowiedni. W stosunkach indywidualnych najwydatniejsze miejsce zajmuje miłość. W jéj przedstawieniu widać największą różnicę od dawniejszego, romantycznego. W „Panu Tadeuszu“ mamy jéj trzy rodzaje: jako naiwna ukazuje się nam w miłości Zosi do tytułowego bohatera, jako zalotna w poszukiwaniach męża przez Telimenę, zwracającą się kolejno do Tadeusza, Hrabiego i Rejenta, jako gwałtowna w namiętném ukochaniu Ewy przez Jacka Soplicę. Pierwszego rodzaju Mickiewicz nigdy przedtém nie wystawiał w poezyi, drugi znajduje się do pewnego stopnia w wierszach z czasów odeskich, tylko że tam więcej jest poezyi zmysłów niż tutaj, w swobodnie i z dobroduszną ironią opowiedzianych przygodach Telimeny; trzeci wreszcie rodzaj jest realistyczném przetworzeniem namiętnych wybuchów Gustawa. Teraz miłość już nie jest dla poety ową potęgą druzgoczącą ludzkie istnienia, popychającą do samobójstwa, wyłącznym celem życia bohaterów; wchodzi ona do tego życia jako epizod, bardzo ważny wprawdzie i bardzo wpływowy, ale nie pochłaniający całego umysłu, całéj duszy człowieka. Co do stosunków towarzyskich, tych poprzednio Mickiewicz prawie całkiem niewys wiał; zarysy znajdujące się w III-éj części „Dziadów“ są odbiciem chwil wyjątkowych i skreślone zostały w wyraźnym, zgóry powziętym celu odsłonienia takich tylko stron życia społecznego, które uwydatniały tendencyą poematu.

W „Panu Tadeuszu“ dopiero znajdujemy malowidło rodzajowe, odtwarzające stosunki ludzkie nietylko ze względu na wątek epiczny, ale także same w sobie, dla odzwierciedlenia téj nieskończonéj rozmaitości objawów, jaką daje życie. Interes i zabawa splatają się tu tak ściśle ze sobą, że niewiadomo nawet nieraz, o co właściwie ludziom idzie, o jeden czy o drugą. Spór o kawał gruntu i o zamek ciągnie się tak długo i daje pochop do tak licznych śniadań, obiadów, polowań i przechadzek, że można twierdzić, iż strony spierające się dbają raczej o wesołe przepędzanie czasu w miłém towarzystwie, aniżeli o załatwienie sprawy. Sprawa ta jednak jest powodem kolizyi, sprowadza walkę. Poeta, nie chcąc nadawać tragicznego zabarwienia i zważając na charakter walczących, sprowadza tylko spustoszenie gospodarstwa, ażeby potém dopiero wysnuć walkę prawdziwą w starciu się dwu naprawdę wrogich żywiołów, które potrącają już o trzeci, najwyższy, stopień stosunków. Towarzyskie sprawy roztoczone zostały szeroko, z całym epickim spokojem, jako obraz zwykłych, powszednich stosunków, wypełniających lata całe; gdy tymczasem sprawa polityczna stosunkowo mało zajmuje miejsca w poemacie, jako obraz silnie natężonego uczucia, które w najwyższém napięciu długo trwać nie może, musi się zdecydować w tym lub owym kierunku, ażeby przejść następnie w fazę spokojniejszą i łagodniejszą, ażeby znowu z interesami powszedniemi się skojarzyć. Ta najwyższa sprawa połączona jest z wielkiemi powszechnodziejowemi wypadkami za czasów Napoleona; co nadaje historyi zaścianka litewskiego szersze, ogólniejsze znaczenie.

Przedmiotowość atoli, panująca w sposobie traktowania ludzi i stosunków, nie jest równoznaczna z bezosobowością, nie przemienia się w fotograficzność; uczucie bowiem silne, gorące, ale na wodzy trzymane przenika całość i nadaje jéj ten ciepły koloryt, który tak silnie na czytelnika oddziaływa. Twórca

poematu kocha kraj namiętnie a tęsknie, bo w nim najmilsze wspomnienia pozostawił, bo w nim serce zbolałe znaleźćby jedynie mogło ukojenie; kocha ludzi, których maluje, bo chociaż mają wady i nie są bez winy, jego to przecież rodacy, a ponieważ ukazują mu się w oddali czasu i przestrzeni, tém większe budzą spółczucie i miłość, bo są wolni od tych drażniących przywar, które w zetknięciu blizkiém i częstém utrudniają i mącą nasze stosunki.

W malowaniu przyrody Mickiewicz równie jest mistrzem, jak w przedstawianiu ludzi. Traktuje ją także realistycznie, bez tych naciąganych i dowolnych kombinacyj, jakie u romantyków przeważały, bez tego wmawiania w zjawiska natury, że one spółczują z usposobieniami ludzi lub też z nich urągają. Przyroda występuje w poemacie sama dla siebie, a ludzie dopiero odczuwają jéj powab lub grozę. Wspaniałe opisy łanów, lasów i stawów, wschodu i zachodu słońca, burzy i pogodnéj gwiaździstéj nocy, należą do arcydzieł malarstwa poetyckiego.

Zarysowałem tu zaledwie estetyczny szkielet utworu; nie może on nasunąć wyobrażenia o wielkich i wiecznotrwałych pięknościach jego, bo potrzebaby było przynajmniej w dłuższym wywodzie dać poznać tę śliczną karnacyą, jaka ten szkielet pokrywa, potrzebaby było wskazać mistrzowstwo języka i stylu, oraz mnóstwo oryginalnych, prawdziwych i zawsze z największym artyzmem a prawdą przeprowadzonych przenośni, ażeby choć cząstkę zalet wykonania, czytelnikom uprzytomnić. Poprzestając atoli na tém, co powiedziałem, i odsyłając do studyów specyalnych, a zwłaszcza do samego poematu, zakończę uwagą, że „Pan Tadeusz“ to najdoskonalszy wytwór geniuszu Mickiewicza i największe nasze arcydzieło poetyckie.

VIII.

Zarówno w ciągu pisania ostatnich pieśni „Pana Tadeusza“, jak i w czasie jego drukowania, żył Mickiewicz prawie wyłącznie z kilku znajomymi ziomkami, mianowicie ze Stefanem Witwickim, bardzo gorliwym katolikiem, z Antonim Goreckim, który wedle wyrażenia poety stał się wtedy świętym człowiekiem i przykładem budował wszystkich, z Bohdanem, z którym lubił prowadzić dysputy, ze Stefanem Zanem, (bratem Tomasza), z którym grywał w szachy. Całą zimę 1834 roku przechorował. Wyzdrowiawszy, pragnął zająć się jakąś prozaiczną pracą ciągłą „dla zajęcia myśli.“ Artykułów politycznych, jak w r. 1833, nie pisywał już; zniechęcił się wogóle do ówczesnych stosunków emigracyjnych, do ruchu czasopiśmienniczego, widząc, że dziennikarze rozprawiali tylko, a nie przypuszczali nawet możności czynu, gdy tymczasem według niego słowa powinny były natychmiast w czyn się zamieniać. Zamknąwszy więc drzwi od „hałasów Europy,“ szukał ciszy i spokoju i zamarzył o szczęściu domowém.

Marzenie to bardzo rychło stało się rzeczywistością, bo w niespełna miesiąc po powzięciu zamiaru, dnia 22 lipca 1834 roku, przy świadku Ignacym Domejce i wobec małéj garstki znajomych, wziął ślub z Celiną Szymanowską, która straciła była matkę i na zaproszenie poety zjechała do Paryża, gdzie mieszkali jéj krewni, Wołowscy.

We dwa tygodnie potém pisał do brata swego Franciszka: „Szukałem pociechy w domowém szczęściu, póki można żyć w domu. Chociaż oboje nie mamy majątku, póki żyjąc, będziemy mieli kawał chleba. O przyszłości wiesz, że mało myślę, i wcale mi to nie truje szczęścia, że nie wiem jak długo to szczęście potrwa. Celina jest żoną, jakiéj szukałem; śmiała na wszystkie przygody, przestająca na małém, zawsze

wesoła. Mieszkamy teraz na własném gospodarstwie. Jeśliby cię los rzucił na ziemię francuską, znajdziesz u nas kochającą ciebie rodzinę, mały pokoik, polski barszcz i kaszę.“ Donosząc zaś Odyńcowi o swém ożenieniu, podaje następne szczegóły: „Rozwodzić się nad teraźniejszém szczęściem jeszcze zawcześnie; tyle ci tylko powiem, że od trzech tygodni nie byłem ani razu w kwaśnym humorze, a często czułem się wesoły i pusty, jakim oddawna nie byłem. Celina też powiada, że jest zupełnie szczęśliwą, i cieszy się jak dziecko. Trzy tygodnie szczęśliwe!... dobre i to na świecie... Musisz też wiedzieć i o naszém gospodarstwie. Mieszkamy daleko od środka miasta, w zaciszy, jak na wsi. Mamy tylko trzy pokoje, własne meble, wkrótce mieć będziemy fortepiano. Od rana Celina robi kawę, potém nibyto gospodaruje, kręci się, świegoce i śmieje się aż do wieczora. Po nudach pierwszych wizyt, rzadko gdzie wychodzimy. Wieczorem dawna kompania, Domejko i parę innych osób czasem zagląda do nas. Ale jeszcze moi znajomi niezupełnie przywykli do mojego nowego *mebla*, trochę żenowani. Powoli jednak wrócę do dawnego trybu życia i zacznę coś robić; bo przez cały ten czas próżnowałem i używałem tylko życia.“

Po krótkiéj dobie wesołości i nawet „pustoty,“ o któréj w liście do Odyńca wspomina Mickiewicz, zapadł on znowu w rozmyślania religijno-moralne, opanowywujące jego umysł coraz silniej. Wczytywał się w dzieła mistyków: Tomasza z Kempis, Jakóba Boehmego, Anioła Szlązaka, a szczególniéj Saint-Martin'a, teozofa francuskiego z końca zeszłego stulecia. Z ich to dzieł wybierał i tłumaczył te „Zdania i uwagi,“ które w r. 1836 drukiem ogłosił. Do studyowania ich zachęcał swoich przyjaciół i wielbicieli, nakłaniając do starania się o osiągnięcie doskonałości duchowéj. Co parę lat temu drukiem jako ogólną wskazówkę dla „pielgrzymów“ podawał, teraz szczegółowo w listach prywatnych rozwijał, starając się mianowi-

cie młodych i zapalonych wojaków przejąć myślą poprawy moralnéj. Od Mickiewicza-to odbierał późniejszy wielce żarliwy, ale i wielce jednostronny kapłan, Hieronim Kajsiewicz, w owe czasy zapalony demokrata i czciciel poety, przestrogi pełne namaszczenia religijnego.

Poznanie tych uwag da najlepsze pojęcie o nastroju naszego poety w téj dobie. „Nie nazywajcie mnie proszę nauczycielem—pisał on do Kajsiewicza i jego towarzysza;—jestto tytuł straszny i ciężki na moje barki. Serce wasze potrzebuje kochać i szuka doskonałości, więc ubieracie w doskonałości bliźnich waszych, złocąc ich i zdobiąc promieniami. Strzeżcież się tego; zachowajcie złoto i blask Bogu i Kościołowi, a dla bliźnich miejcie tylko zawsze dla wszystkich suknię miłosierdzia, aby obszyć ich nagość; uszyjcie i dla mnie tę suknię; nic więcéj od was nie żądam. Napisano jest: nie nazywajcie się ani Pawłowi, ani Apellowi, ale Chrystusowi. Nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądźcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz; dziś dobrze robić, jutro źle... Jeżeli które słowo z ust moich przyjęło się na sercu waszém, to słowo nie było moje, ale tylko przechowane; poznacie po tém słowo prawdy, że pada cicho i leży długo, a potém wschodzi powoli; owocem jego jest miłość i zgoda. Goethe powiedział: was ist am heiligsten? das was die Menschen verbindet. Przeciwnie, słowo fałszu, słowo ludzkie wypada z hukiem jak kula, a zostawia zaraz po sobie ranę lub śmierć... Podaję wam sposób na rozeznanie dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych. Kiedy powezmę jaką myśl religijną lub polityczną, dochodzę, czy w tym dniu, kiedy ją powziąłem, jestem zgodny z sobą, czy nie zrobiłem czego złego, czy mową lub myślą bardzo nie zgrzeszyłem. Jeżeli rachunki sumienia źle stoją, pewnie wtenczas i w głowie zamęt. Sumienie jest to żołądek duszy. Nie myślcie, że słowo prawdy uwolni was od tentacyi, od walki; owszem, im żołnierz czuj-

niejszy i tęższy, tém częściéj wódz go posyła na niebezpieczeństwa; hultajów i tchórzów zostawia w obozie, ale oni prędzej od mężnych giną. Ciężką-to jest walką życie! Doświadczycie sami rzeczy dziwnéj: rozkosze i przyjemności, które uciekają od nas, kiedy gonimy za niemi, skoro zaczniemy wyrzekać się ich, zaczną gonić za nami... Ludzie sławni u ludzi, są-to ludzie gardzący sławą i ludźmi, ale skuszeni nakoniec od świata. Im kto wyższy, tém łatwiej i niżej spaść może... Piszę to wam, bo wiem waszę miłość ludzi, ojczyzny, wolności; lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczną światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnętrzna. Kraj i człowiek, wewnątrz bezwładny, upada. Ludzie wewnętrzni czysto jako sternik wśród burzy rzucają się do rudla: patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skiną, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednéj fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje. Tylko nie myślcie, że to pisząc, mam siebie na widoku; piszę o ludziach, których nam potrzeba, których, żebyśmy mieli, toby łódka nasza nie zatonęła.“

Radząc innym, sam też poeta usiłował przybliżyć się do ideału doskonałości moralnéj, coraz bardziej i coraz ściślej jednocząc ją z formami kościelnemi. Dnia 19 grudnia 1834 roku, po spowiedzi i komunii, przystąpił do zawiązującego się w Paryżu stowarzyszenia pod nazwą „Braci Zjednoczonych,“ które miało na celu ćwiczenie się w pobożności i pobudzanie do niéj innych. Oprócz Mickiewicza, pierwotnymi założycielami tego bractwa, z którego wyrosło później zgromadzenie o.o. zmartwychwstańców, byli: Antoni Gorecki, Stefan Witwicki, Cezary Plater, Bohdan i Józef Zalescy; niebawem przyłączyli się do nich: Ignacy Domejko i Bohdan Jański, najgorętszy entuzyasta patryotyczno-religijny. Czytanie, pisanie lub

tłumaczenie książek treści religijno-mistycznéj, było jedném z programowych zajęć „Braci Zjednoczonych.“ I Mickiewicz wraz z innymi podjął się naturalnie uskutecznienia tego projektu, przyjaciołom nasuwał różne temata, poddawał książki do tłumaczenia, sam zaś miał przełożyć ulubione sobie dzieła, przypisywane uczniowi ś. Pawła, Dyonizemu Areopagicie.

Zamiaru jednak tego nie dokonał; potrzeba bowiem było naprzód myśleć o pracach, któreby mogły być spieniężone, gdyż dochód z rozprzedaży poezyj był i nieregularny i niewystarczający. Mickiewicz pamiętał, że ma żonę i że może mieć dzieci, że powinien dbać o zapewnienie znośnego bytu tworzącéj się rodzinie i nie sądził, ażeby mu wolno było poświęcić jéj przyszłość, dla celów propagandy religijnéj. Owszem utrzymywał, że każdy działać powinien w raz obranym zakresie: księża powinni apostołować, świeccy wykonywać przepisy religii i spełniać obowiązki swego zawodu. Nie stał się on wtenczas jeszcze fanatykiem prozelityzmu: zachęcał tylko duchownych, ażeby korzystali ze sposobności zebrania bogatego żniwa duchowego w różnych stronach Europy a nawet Afryki, ale sam się od tego rodzaju pracy usuwał w tém przekonaniu, że to nie jego sfera działania. Potrzeby tymczasem życia codziennego rosły; przyszłość ze swą niepewnością posępne myśli nasuwać zaczęła. Należało zająć się pracą, któraby doraźnie większy dochód zabezpieczyć mogła.

Początkowo zwrócił się poeta do rodzaju roboty, która ani jego usposobieniu, ani nawet uzdolnieniu nie odpowiadała. Zamierzył skreślić krótką historyą Polski. Rzecz ta zaprzątała go dosyć długo; rozpoczął ją w roku 1835, lecz szła mu oporem, gdyż, jak powiadał, musiał wielu rzeczy z gruntu nanowo się uczyć. A miał taki umysł, że nie zdołał nigdy napisać tego, czego na pamięć nie umiał; ta właściwość, przy pisaniu poezyj nietylko nie uciążliwa, ale nawet bardzo naturalna, w tworzeniu prozaicznem narażała go na

mnóstwo kłopotów. Przypuszczał nieraz, że wdał się w niesw**o**je, narzekał, że historyą strasznie u nas sfałszowano. Tak jeszcze w połowie 1838 roku biedził się z tém ciężkiém zadaniem, przerabiał różne rozdziały swego dziełka, czekając szczęśliwszego czasu i natchnienia, a myślał o niéj nawet później jeszcze; koniec końców historya ta nie została przez wieszcza naszego dokończona i wyszła z druku dopiero w r. 1868, pod napisem: „Pierwsze wieki historyi polskiéj.“ Tu, oprócz wstępu ogólnego, mieszczą się dzieje kraju naszego, doprowadzone do roku 1194.

Tymczasem znany mecenas literatury, Edward hr. Raczyński, zachwycony „Panem Tadeuszem,“ z którego codzień po obiedzie jakby na wety po kilkaset wierszy zwykł był odczytywać, dowiedziawszy się, że Mickiewicz pisze historyą polską, natarczywemi listami naglił go, żeby pracę przyśpieszył i jemu zachował pierwszeństwo nakładu. Ucieszył się też wielce, gdy go poeta zawiadomił, że zamierza niektóre epoki dziejów ojczystych wierszem opisać. Zamiary te, w chwilowém podbudzeniu tworzone, nie przyszły do skutku, ale Raczyński nie zrażał się i zasilał szczupłą kasę Mickiewicza przesyłkami pieniężnemi, które miały być zaliczką na projektowane prace.

I te zasiłki jednak nie wystarczały. Smutne położenie finansowe zmuszało poetę do szukania za pośrednictwem malarza Wojciecha Stattlera, znajomego z Rzymu, stosunków z panem Bochenkiem, który mu przed laty proponował korzystny jakiś interes literacki; ale i te próby spełzły na niczém. Wypadało więc chwycić się innego środka do zapewnienia bytu rodzinie. We wrześniu 1835 r. przyszła na świat córka, któréj imię Maryi nadano (dzisiaj pani Gorecka), szczególna sędziwego Niemcewicza, piszącego na cześć jéj wiersze, pieszczoszka. Córeczka ta sprawiała ojcu wielką uciechę, bo „miał komedyą domową, zawsze nową i zabawną.“ Poeta zajmował się nią i bawił wielce, do tego stopnia, że kiedy ją zaczęto w pieluchach

sadzać na ziemi, kładł się obok niéj, aby patrząc na niego, nauczyła się pełzać. Do trzech lat przeszło nie chciała inaczej zasnąć, jak na ręku ojca, który długiemi godzinami nosić ją musiał po pokoju, gdyż nie pozwalała mu wyjść nigdzie wieczorem. To też pełen serdecznéj prostoty ojciec do wybiegów uciekać się był zmuszony, gdy się chciał od „swego tyrana“ uwolnić. A więc kiedy miał wyjść wieczorem, a podejrzliwe oczki Maryni zamknąć się nie chciały, zapowiadał, że ją bierze ze sobą do znajomych. Ubierano ją zatém w kapelusik i płaszczyk, a ojciec, wynosząc swoję ulubienicę do drugiego ciemnego pokoju, opowiadał, że schodzą po schodach, że przebywają ulice, dopóki ukołysana, nie zasnęła na jego ręku. Podobno nawet napisał wiersz, opiewający nieporównane wdzięki i przymioty téj córki, ale potém pomyślawszy, że kiedyś mogłaby z tego powodu urość w dumę, biorąc hiperbole za prawdę, podarł go i spalił.

Ta wszakże „komedya domowa“ nie mogła trwać ciągle. Bieda nieraz doskwierała poetycznemu małżeństwu. Trzeba było zrobić jakiś krok stanowczy, któryby zabezpieczając przynajmniéj teraźniejszość, uchronił od dokuczliwych kłopotów codziennych. Na taki krok Mickiewicz się zdecydował. Postanowił pisać po francusku — „dla chleba“, jak sam się wyrażał. Z wprawy salonowéj, z dawniejszéj, petersburskiéj próby, kiedy „Historyą przyszłości“ kreślił, wreszcie z kilkoletniego pobytu we Francyi, zmuszającego do posługiwania się językiem francuskim, nabył takiéj znajomości i łatwości we władaniu nim, że mógł sobie rokować powodzenie. Wielu cudzoziemców zarabiało wtenczas piórem w Paryżu pokaźne sumy; dlaczegóżby i on nie miał ich pozyskać. Zrazu pisywał krótkie artykuły do czasopisma „Revue des Etats du Nord,“ które pomieściło rozprawkę Mickiewicza o malarstwie religijném w Niemczech, oraz powiastkę p. n. „Tydzień miodowy sierżanta“; potém zaczął przygotowywać rzecz obszerniejszą, mającą pewne podobieństwo do

wspomnianéj „Historyi przyszłości:“ w r. 1837 podał swoje do dziennika „Le Globe“ wspomnienie o Aleksandrze Puszkinie, który tego właśnie roku zginął w pojedynku; nakoniec zwrócił się do twórczości dramatycznéj, która najwięcej wtedy w Paryżu popłacała. W ciągu roku 1837 wygotował pięcioaktowy dramat prozą p. n. „Les Confédérés de Bar,“ a gdy ten przez literatów francuskich, którym go dał do oceny, został pochwalony, zaczął pisać drugi p. n. „Jacques Jasiński ou les deux Pologne.“ Pierwszy swój dramat oddał do teatru Porte-St-Martin i liczył na przedstawienie, jak na wielki los loteryjny; niestety! losu nie wygrał: czy to ze względu na stosunki polityczne, czy też na mały interes, jaki dla Francuzów przedstawiały dzieje Polski z wieku XVIII, utwór naszego poety został uznany za nieprzydatny na scenę. Dla nas to niepowodzenie spowodowało zatratę trzech aktów dramatu, bo Mickiewicz mało się troszczył o dzieło odrzucone; dla samego autora był to cios bolesny, bo odbierał mu nadzieję doraźnego w większéj ilości zarobku. Potrzeby rosły; samo jedzenie obliczał poeta na 150 franków miesięcznie. W połowie roku 1838 urodził mu się syn, Władysław. Mickiewicz pisał wtedy do serdecznego przyjaciela swego Ignacego Domejki te słowa głęboko przejmujące, ponieważ wypłynęły z pod pióra człowieka, który niełatwo się dawał pognębić troskom: „Ja zdaję się być zdrowy, wszakże niedobrze się mam na umyśle. Czuję się ciągle rozstrojony i drażliwy. Różne smutki, o których byłoby długo pisać, głębiej mi wyrdzawiły duszę, niż się sam spodziewałem. Nie wiem, czy to się skończy jaką chorobą, czy się przeważy; jeżeli nie wylezę jak wąż ze staréj skóry. To pewna, że jeślibym mógł znowu wewnątrz całkiem wyzdrowieć, skorzystałbym wielce z przeszłych smutków.“

Korzyści z tych smutków wykazały się istotnie i to niebawem. Energia rosła u Mickiewicza wraz z potrzebami. Niepowodzenie zagrzewało go do walki z trudnościami i przeszkodami. Niedarmo pisał raz

do przyjaciela: „Jestem z tych ludzi, którzy nie mogą znieść dobrego powodzenia i skoro trzy dni używają szczęścia, zaraz brykają. Owóż pono dlatego Opatrzność zawsze mię trzyma krótko, a niekiedy tak krótko, że ledwo tchu staje w piersiach.“ Wtedy właśnie przyszła nań taka chwila. Wszystkie dotychczasowe usiłowania, podjęte celem osiągnięcia jakiegoś dochodu, rozbiły się o różne szkopuły: pisanie historyi nie szło, spółpracownictwo w pismach francuskich urywało się, tworzenie dramatów, wskutek nieprzyjęcia pierwszego na scenę, zostało zatamowane, natchnienie do utworów oryginalnych w języku polskim nie zjawiało się już od lat kilku. Wówczas-to okazała się istotna moc duszy naszego poety, niedająca się ocenić zwykłą miarą powszednich stosunków, lecz zrozumiała dla każdego, kto ma pojęcie o naturze gienialnéj. I mierne talenty skarżą się na ciężar i przykrości zawodu nauczycielskiego; w smutne przekleństwo przeszło przekonanie o jego cierniach. Cóż dopiero mówić o usposobieniu płomiennem, nieprzywykłém do pracy systematycznéj, gdy mu wypadnie zaprządz się do taczki obowiązku codziennego, obrachowanego na godziny i zmuszającego do powtarzania pewnych słów jednostajnie, wytrwale, dopóki słuchający ich nie zrozumie. Pegaz w jarzmie jest dobrym symbolem takiego stosunku. A jednak poeta nasz miał dość siły i hartu woli, ażeby dla dobra rodziny symbol ten własném życiem rzeczywistością uczynić.

IX.

Dowiedziawszy się, że w znanéj sobie z parokrotnych przejazdów Lozannie wakuje posada literatury łacińskiéj, postanowił Mickiewicz zużytkować swoję wiedzę filologiczną, któréj nabył w Wilnie pod przewodnictwem sławnego Grodka i któréj sam następnie był nauczycielem w Kownie. Wprawdzie upłynęło od tego czasu lat piętnaście; wprawdzie poeta nasz w ciągu tego okresu nie miał sposobności odświe-

żyć swoich nabytków dawniejszych w téj gałęzi nauki; ponieważ jednak samę rzecz znał gruntownie, sądził, że dopełnienie braków, spowodowanych jéj długoletniém zaniedbaniem, przyjdzie mu z łatwością i umożliwi sumienne spełnianie przyjętych obowiązków. Z tą myślą wybrał się do Szwajcaryi w połowie października 1838 r., ażeby się na miejscu rozpatrzyć w położeniu. Znalazł tu kilku znajomych z r. 1830, wpływowych uczonych i literatów, którzy go bardzo serdecznie powitali, starając się ułatwić radami i wskazówkami usunięcie trudności, jakieby się nastręczyć mogły, ze względu na charakter emigracyjny Mickiewicza i na wyznawaną przezeń religią katolicką, gdy akademia lozańska była protestancką. Miał wszelkie widoki otrzymania pomyślnéj odpowiedzi na uczynione podanie, w którém swe kwalifikacye przedstawiał, a zarazem oznajmiał gotowość złożenia wymaganych egzaminów, gdy nagle nadeszła z Paryża wiadomość, że żona jego dostała obłąkania.

Cios był straszny, a zmuszał do zaniechania starań o katedrę i śpieszenia do Paryża. Tu przebył kilka miesięcy pełnych niepewności i trwogi, a zarazem i biedy materyalnéj. Niczém zająć się, nic czytać, a czytając nic rozumieć nie mógł. Żony, zostającéj w domu zdrowia w Vanvres, przez długi czas nie odwiedzał, ażeby nie zrobić zbyt silnego wrażenia na umyśle osłabionym, ale pisywał do niéj bardzo często listy, dowodzące, jaka tkliwość, połączona z energią i stanowczością, była w jego duszy. Dopiero w początkach maja 1839 roku przyszła Celina Mickiewiczowa do zupełnéj przytomności i dopiero wtedy mógł nasz poeta znowu pomyśleć o swojém, jak mówił, „bakałarstwie.“

Zabrawszy żonę i dzieci, ruszył Mickiewicz w końcu czerwca napowrót do Szwajcaryi. Zaszły tu były wprawdzie zmiany polityczne, dość często wówczas przytrafiające się; ale i wśród nowych osób, które do steru rządu w Lozannie się dostały, znaleźli

się znajomi Mickiewicza. Posada w Lozannie szczęściem zajęta jeszcze nie była; poeta nasz był pewnym, że ją otrzyma. Przygotowywał się więc do wykładów, sprowadzał książki nowsze, dotyczące historyi literatury rzymskiéj i miar wierszowych; przypominał sobie lekcye Grodka i rozczulał się, uprzytomniając sobie w pamięci czasy studyów akademickich. Nakoniec 1 października dostał nominacyą na profesora tymczasowego, z pensyą roczną 2700 franków, z obowiązkiem wykładania 6 godzin tygodniowo w gimnazyum, a 2 godzin w akademii; egzamin i złożenie rozprawy odroczone zostały na koniec roku szkolnego. Wskutek podania Mickiewicza, przedstawiającego uciążliwość wielką odbywania 8 godzin, zmniejszono liczbę lekcyj gimnazyalnych do 4 na tydzień.

Rozpoczęły się wykłady. Śladów tego, co i jak robił nasz profesor na stanowisku nauczyciela gimnazyum, nie posiadamy wcale; rzecz to jednak małéj wagi; lekcye gimnazyalne, z natury swojéj wszędzie i zawsze mniejwięcej jednakowe, nie mogły dawać pola Mickiewiczowi do uwydatnienia swego gieniuszu. Inaczej rzecz się ma z prelekcyami akademickiemi, wykładanemi wobec młodzieży dojrzałéj, a poświęconemi dziejom literatury rzymskiéj. Tu można i potrzeba było rozwinąć pewną samodzielność poglądu, zainteresować słuchaczów do przedmiotu i stać na wyżynach nauki, która ciągłemu ulegała rozwojowi. Z prelekcyj tych szczupła tylko doszła nas cząstka; pierwszą i ostatnią mamy w całości, z któréjś środkowéj tylko urywek. Mówione były po francusku. Mickiewicz gotował się do nich bardzo pilnie, robił notatki i wyciągi, ale nie spisywał całości, gdyż nie czytał ich z katedry, tylko wygłaszał z pamięci. Miały zatém charakter przygotowanych improwizacyj; ugrupowanie materyału obranego w nich ulegało przemianom w ciągu mówienia, z powodu nagle nieraz, błyskawicznie pojawiających się myśli w duszy mówcy. Posiadały więc urok dla młodzieży niepospolity, naprzód

jak każda żywa mowa, w któréj się czuje tętno całego organizmu mówcy, nie zaś martwy ślad jego wyobrażeń, powtóre jako ruch myśli, rozwijającéj się wobec słuchaczów, nie zaś jako stężała w systematyczną, chłodną bryłę masa wywodów i zdań, które się już dawno od umysłu twórcy swego oddzieliły. Mickiewicz potrafił oryginalnemi zestawieniami i porównaniami, wskazaniem trwałéj żywotności niektórych pomysłów, spotykanych u pisarzów rzymskich, obudzić w słuchaczach zajęcie dla dziejów literatury łacińskiéj, która bywała zazwyczaj rutynicznie, oschle, wyłącznie erudycyjnie traktowana.

A nietylko młodzież była zachwycona wykładami naszego profesora; zwierzchność akademicka okazywała mu także swoje zadowolenie, zwłaszcza od chwili, gdy znakomita autorka francuska, Georges Sand, w artykule pomieszczonym w grudniowym z r. 1839 zeszycie głośnéj już wtedy „Revue des deux mondes“, zestawiwszy twórczość Mickiewicza z twórczością Goethego i Byrona, całemu światu cywilizowanemu dała poznać, jak wysoki był polot poetycki wieszcza polskiego. Mamy wymowne tego świadectwo w odezwie zarządu akademii lozańskiéj do rady wychowania publicznego, z dnia 15 lutego 1840 roku, gdzie czytamy wielce pochlebne dla profesora wyrazy uznania: „Ukazanie się jednego z pierwszych gieniuszów poetyckich naszego czasu na jednéj z katedr akademii lozańskiéj, blask jego sławy europejskiéj, zlewający się na instytucye nasze, jest wypadkiem zbyt ważnym, zbyt zaszczytnym, ażeby go nie powitać radośnie. Od pierwszych odczytów Mickiewicza, słuchacze ujrzeli w nim wielki talent do krytyki literackiéj, niezawsze będący wynikiem talentu poetyckiego, ale podtrzymywany, natchniony i rozszerzany przezeń co do obszaru ogarnianych poglądów. Znajomość życia wewnętrznego Rzymian, w związku ze sztuką i literaturą; znajomość ducha mowy łacińskiéj oraz ducha poetów i mówców, którym służyła za narzędzie; za-

dziwiająca biegłość w przenikaniu ich charakteru indywidualnego, połączona ze zbadaniem ich utworów; szczęśliwe zestawienia starożytnéj literatury rzymskiéj z różnemi literaturami nowemi; talent słowa w języku obcym; nakoniec interes nowości, nadany przedmiotowi napozór wyczerpanemu i natchnienia duszy poetycznéj, ożywiające dary natury i wyniki pracy:—oto w oczach słuchaczów Mickiewicza przyczyny rosnącego powodzenia wykładów, które zniewalają sobie młodzież, ściągają coraz więcej słuchaczów i zachwycają coraz bardziej tych, co mogą najlepiej o nich sądzić.“ Nie poprzestano jednak na słowach tylko; czynem stwierdzono, że Mickiewicz był nadzwyczaj pożądanym na katedrze. Rada stanu, korzystając z praw wyjątkowych, mianowała poetę naszego, bez egzaminów poprzednich, profesorem „zwyczajnym“ literatury łacińskiéj, z pensyą 3000 franków szwajcarskich, wyrównywających 4000 franków francuskich; była-to płaca, dawana jedynie bardzo odznaczającym się profesorom, których na katedrze zatrzymać chciano koniecznie.

Mickiewicz widział już byt rodziny zapewniony. Ale, jakby dlatego, żeby go wśród ciągłéj walki pozostawić, zbieg okoliczności nastręczył mu nowe zawikłania. W tymże samym czasie, gdy Lozanna tak przywiązać go chciała do siebie, Paryż starał się go pociągnąć widokiem wyższego i bardziej wpływowego stanowiska. Ówczesny minister oświecenia we Francyi, Wiktor Cousin, głośny myśliciel, szczepiący w swoim kraju znajomość filozofii niemieckiéj, przejęty ważnością, jakiéj wtedy nabierać zaczęła sprawa słowiańska, z powodu znaczenia wielkomocarstwowego Rosyi za cesarza Mikołaja, powziął myśl, niewątpliwie pod wpływem uwag księcia Adama Czartoryskiego, ustanowienia w stolicy świata ucywilizowanego katedry języków i literatur słowiańskich, pierwszéj w całéj Europie. Z tą myślą była połączona ściśle druga: powołania na tę katedrę naszego poety, jako najsławniejszego

ze wszystkich słowiańskich i stosunkowo najlepiej Europie znanego. Zwrócono się do Mickiewicza z propozycyą i naleganiem. Książę Czartoryski i krewni poety usilnie nastawali na to, ażeby propozycyą przyjął, wystawiając doniosłość katedry w Paryżu i ze względów cywilizacyjnych wogóle, i ze względów narodowych; Stefan Witwicki odradzał. Poeta musiał stoczyć walkę wewnętrzną. Posada w Lozannie była pewną; do przedmiotu wykładanego już się Mickiewicz wdrożył; prostota i serdeczność Szwajcarów, a wszczególności tych, co stali na czele rządu zarówno akademii jak kantonu, przemawiała silnie do jego serca; w warunkach codziennych życia miał to co lubił: spokój, widoki pięknéj natury, stosunki towarzyskie niewyszukane. Paryża zaś nie cierpiał jak piekła; gwar, wymagania wielkoświatowe, powietrze duszące i niezdrowe, konieczność podjęcia nowéj a mozolnéj pracy przygotowawczéj, zanim się uzdolni do wykładu literatur słowiańskich, które znał częściowo tylko, obawa niepowodzenia, były to pobudki do przyjęcia propozycyi zniechęcające. Ale znowuż myśl, że katedrę, mogącą wywierać wielki wpływ na umysły ogółu wykształconego, a może i rządu francuskiego, zajmie jakaś osobistość narodowości polskiéj nieprzyjazna, która szkodzić jéj będzie, była bodźcem bardzo silnym dla Mickiewicza, żeby względy spokoju i dobrobytu osobistego złożyć w ofierze sprawie ogólniejszéj. Długo wahał się z przesłaniem odpowiedzi stanowczéj, ale nareszcie przeważyła uwaga na możliwy pożytek dla sprawy narodowéj. Dodać też potrzeba, że i miłość ojcowska wywarła pewien wpływ na postanowienie Mickiewicza; lękał się, żeby córka jego przez pobyt w Szwajcaryi nie nabyła szpetnego a pospolitego tam wola.

Ponieważ wieści o powołaniu poety do Paryża zaniepokoiły zarząd akademii lozańskiéj, starano się wszelkiemi sposobami przechylić na stronę swego zakładu decyzyą Mickiewicza, wpływano za pośrednictwem prasy i prywatnie, d. 26 czerwca 1840 urządzo-

no uroczystą instalacyą naszego wieszcza na profesora zwyczajnego i przemawiano do niego słowami niemal błagalnemi: „Od kilku miesięcy — powiedział rektor Monnard w swéj mowie zwróconéj do Mickiewicza — pragnienie zatrzymania ciebie i niepokój utraty rozwinęły w głębi dusz naszych cały dramat nadziei i obaw. Nie wiedziałeś o nim może, chyba że go poznałeś po gotowości, z jaką akademia zażądała powołania pana, po światłym pośpiechu, z jakim rada stanu zwróciła się do pana, używając wszelkich środków, jakie tylko prawo przewiduje i na jakie pozwala, wreszcie po téj radości, z jaką młodzież ucząca się przyjęła wiadomość o tym podwójnym fakcie, uwieńczonym wkrótce skutkiem pomyślnym—przyjęciem posady przez pana... Zatrzymaj na naszéj ziemi, szczęśliwéj skutkiem wolności, swój namiot podróżny, smagany burzą; niech rodzina twoja znajdzie pod niebem kantonu Vaud spokój i szczęście. Bądź bratem naszym.“ Mickiewicz w odpowiedzi wyraził swoję wdzięczność i przywiązanie do szlachetnych Szwajcarów, ale zarazem dodał, że on nie od samego siebie zależy, że jeśli się zdarza, iż los nieprzeparty całe plemiona ludzkie przenosi w dalekie od ulubionéj im ziemi strony, tém bardziéj człowiek pojedynczy znaleźć się może w wyjątkowém położeniu, które mu nie pozwala iść za życzeniem własném. Przygotowywał tym sposobem życzliwych sobie przedstawicieli akademii i młodzież do możliwego w przyszłości rozstania się. W sierpniu przesłał Cousinowi na jego list naglący odpowiedź, stanowczo przyjmując ofiarowaną sobie posadę; potém odbył wycieczkę po Szwajcaryi, a wróciwszy z niéj, zrzekł się katedry w Lozannie i doniósł radzie stanu o przyjęciu katedry w Paryżu, motywując krok swój tém, że uważał sobie za obowiązek przyjąć stanowisko, ofiarowane przez rząd narodu przyjaznego Polakom, które rodacy jego uważają za pożyteczne w interesie sprawy narodowéj. W pierwszych dniach października opuścił Szwajcaryą.

Pobyt w Lozannie należał do stosunkowo dość szczęśliwych lat w życiu naszego poety; sam on powiada, że wspominałby go „jak raj“, gdyby nie parokrotna choroba żony i dzieci. Naturalnie, smutków w nim nie brakowało; sama zamiana swobodnego dotychczas rozporządzania czasem i natchnieniem na ciężki obowiązek profesora, nie mogła się przyczyniać do budzenia wesołego nastroju. To też w tych kilku pięknych pieśniach, które powstały w Lozannie („Nad wodą wielką i czystą,“ „Polały się łzy me,“ „Gdy tu mój trup,“ „Do samotności,“ „Te rozkwitłe świeżo drzewa,“ „Kochanek duchów“), brzmi cicha ale głęboka i przejmująca nuta melancholii, jakiéj nigdy przedtém w utworach Mickiewicza nie było; atoli równocześnie powstał także wiersz, niezbyt piękny pod względem formy, lecz podniosły treścią, wskazujący nam, że w poczuciu obowiązku i w miłości szukał poeta pokrzepienia, otuchy i ukojenia w cierpieniach i zawodach, zasadę miłości stawiając jako najpotężniejszy czynnik wszelkiego dobra. Ze spełnienia obowiązku ojca rodziny spływał nań spokój i stosunkowe przynajmniej zadowolenie, które mu pozwalały Lozannę „jak raj“ wspominać.

Zdawało się, że przejazd do Paryża będzie tylko zmianą miejsca i zewnętrznych wogóle okoliczności, ale nie wpłynie zasadniczo na dalsze życie poety.

Stało się jednak inaczej, chociaż nie natychmiast.

Różne formalności urzędowe, z instalacyą cudzoziemca na posadzie nowéj w kolegium francuskiém związane, oraz potrzeba przygotowania kursu literatur słowiańskich, do którego nie miał żadnych przed sobą wzorów Mickiewicz, nie dozwoliły rozpocząć wykładów zaraz po przybyciu do Paryża. Dopiero dnia 22 grudnia 1840 r. odbyła się pierwsza lekcya, przy ogromnym napływie słuchaczów, pomiędzy którymi znajdowali się i najznakomitsi przedstawiciele literatury francuskiéj. Lekcya ta wywołała ogólne za-

dowolenie; rozpisywały się o niéj dzienniki francuskie z wielkiemi pochwałami, a rodacy w dzień urodzin i imienin Mickiewicza wydali na cześć jego wilią na 60 mniej więcej osób, nazajutrz zaś Eustachy Januszkiewicz, znany księgarz-wydawca, urządził składkową wieczerzę, również z zamiarem złożenia hołdu poecie-profesorowi. Na téj wieczerzy 25 grudnia znakomity poeta Juliusz Słowacki przemową swą poetycką pobudził w Mickiewiczu natchnienie i wywołał improwizacyą o powołaniu i zadaniu wieszcza narodowego, wypowiedzianą z taką siłą wzruszającą, iż wszyscy rozrzewnieni i rozgorączkowani padli na kolana przed mistrzem uczucia i słowa, którego twarz w owéj chwili była „jak anielska“, spokojna, piękna, jasna... Po drugiéj lekcyi, Januszkiewicz wyprawił w dzień Nowego roku 1841 drugą ucztę składkową, na któréj Juliusz Słowacki wręczył mu piękny, rzeźbiony puhar. Mickiewicz improwizował i teraz; mówił o przyszłości kraju, lepszéj niż teraźniejszość. Ale ta improwizacya nie wywarła już takiego wrażenia jak pierwsza; znaleźli się przeciwnicy zapaleni wyrażeń użytych na określenie formy przyszłości Polski; uczucie zgody i miłości, skupiające biesiadników poprzednio, prysło. Było to jakby hasłem przykrości, które czekały Mickiewicza ze strony spółrodaków.

Wykłady szły swoim trybem. Mickiewicz wypowiadał je z pamięci, tak samo jak w Lozannie; charakter ich był też podobny do lozańskich; nie odznaczały się one ani erudycyą, ani systematycznością, nie wyczerpywały przedmiotu, ale obfitowały w genialne rzuty myśli, rozświetlające wielkie wypadki dziejowe i tłumaczące cudzoziemcom właściwości narodów słowiańskich, zarówno w ich życiu, jak w twórczości poetyckiéj. Profesorowi brakło nieraz potrzebnych książek, a to powodowało nierównomierny sposób traktowania różnych literatur i różnych epok; nie wszystkie też piśmiennictwa słowiańskie były mu równie dobrze znane, a ztąd niezawsze mógł podać trafną charakterystykę wszystkich ważniejszych objawów literackich; ale te braki, które zresztą dla większości słuchających wcale brakami nie były, wynagradzał świetnym wykładem tych rzeczy, które znał dokładnie, oraz ogólnemi poglądami i zestawieniami losów słowiańszczyzny z losami Europy. W 41 lekcyach pierwszego kursu wyłożył dzieje piśmiennictw słowiańskich, aż do połowy wieku XVII.

Słuchacze Francuzi byli w zupełności zadowoleni zarówno treścią jak i formą wykładów świetnego improwizatora; Polacy natomiast robili im przeróżne, częstokroć całkiem nieuzasadnione zarzuty, zarówno prywatnie, jak w czasopismach emigracyjnych i poznańskich. Nie było dostatecznéj harmonii pomiędzy wychodźcami, którzy uważali katedrę literatury słowiańskiéj za jeden ze środków popierania sprawy narodowéj, a Mickiewiczem, który z obowiązku uwzględniania twórczości wszystkich Słowian wywiązywać się musiał. Już dowodów uznania takich, jak w owym 25 dniu grudnia, profesor od rodaków nie otrzymał, a Juliusz Słowacki w „Beniowskim“ rzucił pełne goryczy wyzwanie „dawnemu bogu“ litewskiemu, utrzymując, że w nim „pęknięcie serca znać.“

Do tych goryczy publicznych przyłączyły się smutki domowe. Żona Mickiewicza po raz drugi w dawniejszą zapadła chorobę i znowu do zakładu w Vanvres odesłaną być musiała.

Wtedy-to pojawił się u poety naszego człowiek, który mu się jako zwiastun nowéj ery religijnéj przedstawił, żonę jego uzdrowił i w wir mistycznych rojeń i działalności za sobą go pociągnął. Był to rówieśnik Mickiewicza, równie Litwin jak on, marzyciel religijny, Andrzej Towiański.

X.

Jak widzieliśmy, w nastroju duchowym Mickiewicza od drugiego pobytu w Rzymie skłonność do misty-

cyzmu wzrastała ciągle, a jakkolwiek albo twórczość poetycka jak w „Panu Tadeuszu,“ albo też konieczność zajęcia się losem rodziny, jak w usiłowaniach przeróżnych, dążących do zapewnienia sobie stałego utrzymania, hamowały w nim wyraźniejsze jéj objawy; to przecież nurtowała ona w sercu poety głęboko i przy nadarzonéj sposobności wybuchała gwałtownie. W formach swoich skłonność ta nie odstępowała od katolicyzmu; z każdym nawet rokiem silniej się z nim łączyła; ale jak u wszystkich prawie mistyków, tak i u Mickiewicza nie krążyła ona w dziedzinie dogmatów, lecz w sferze praktyki, i to na tle patryotyczném. Marzenie o udoskonaleniu ludzi, o ich reformie wewnętrznéj, o ich przetworzeniu, a dalej, jako wynik téj przemiany, zastosowanie ścisłych zasad moralności do polityki, do wszelkich stosunków łączących z sobą narody, a więc i polepszenie doli własnego, było główną myślą, zajmującą Mickiewicza, czy to kiedy pisał III część „Dziadów,“ czy „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa,“ czy rady dla Kajsiewicza, czy kiedy łączył się z przyjaciołmi w związek „Braci Zjednoczonych“ i zamierzał tłumaczyć dzieła przejęte dążnością religijno-moralną. W przyprowadzeniu marzenia tego do skutku nie liczył nic na rozum ludzi, tylko na ich uczucie i wiarę, bo za rękojmię prawdziwości myśli i natchnień uważał nie rozum rozbiorczy, posługujący się doświadczeniem, porównywaniem i wnioskowaniem, ale intuicyą, którą poczytywał za władzę w człowieku najwyższą, nieomylną, dającą człowiekowi wprost i bezpośrednio pewność prawdy. Doznając nieraz w życiu widzeń nadzwyczaj wyraźnych i dokładnych, jakie stwarzała jego bogata, plastyczna fantazya, przepowiadając niekiedy ważne wypadki, Mickiewicz wierzył silnie w możność natchnień, czy wprost od Boga, czy od tych duchów dobrych lub złych, które, jak Konrada w III części „Dziadów“, ciągle otaczają człowieka i na każdą myśl jego czekają.

Towiański potrafił oddziałać na ten mistyczny nastrój naszego poety. Nie mógł on pociągnąć Mickiewicza ani nauką, gdyż wykształcenie jego było zaledwie średnie, ani rozległością myśli, gdyż nie rozwinął żadnego oryginalnego poglądu, powtarzając jedynie dawne wyobrażenia o przechodzeniu dusz, o kolumnach duchów dobrych i złych, które prowadzą ludzkość wśród ustawicznéj z sobą walki i dodając do nich kult Napoleona, jako męża opatrznościowego — wpłynął jedynie na jego wyobraźnię i uczucie, gdyż wystąpił z nadzwyczajną pewnością siebie jako posłaniec boży, zwiastujący nową epokę w rozwoju chrześciaństwa i w urządzeniu stosunków międzynarodowych, zapowiadający rychły powrót wychodźców do kraju, spełniający niejako to, co Mickiewicz za najważniejszą sprawę ludzi wogóle, a narodu swego w szczególności poczytywał, to jest przemianę wewnętrznéj, moralnéj natury ludzkiéj. Pojawienie się ze słowami tak pełnemi otuchy w chwili nadzwyczajnego przygnębienia Mickiewicza, uleczenie żony, wyjawienie pewnych w życiu jego tajemnic, które, jak sądził poeta, nikomu nie mogły być znane, umiejętność zachowania postawy nacechowanéj godnością i prostotą, wzrok magnetyzujący, przemawianie słowami tajemniczemi a wypływającemi z duszy silnie w sobie skupionéj i monomanią opanowanéj: to były okoliczności zewnętrzne, dopomagające do utwierdzenia Mickiewicza w wierze o prawdzie posłannictwa Towiańskiego, posłannictwa, którego treść moralna — przetworzenie dusz ludzkich i szczęście ich w dziedzinie indywidualnéj i narodowéj — tak była zgodna z własną jego od lat wielu dążnością. Łatwo więc zrozumieć wyrażenie naszego poety, że wiara jego w słowa mistrza Andrzeja była wynikiem całego jego życia, wszystkich usposobień i prac duchowych; sam bowiem żywiąc przekonanie, że ludzi odrodzić można słowem bożém, nie potrzebował zbyt wielu dowodów, że To-

wiański odrodzenia tego dokonać zdoła, gdy z taką ufnością w swe posłannictwo występuje.

Uwierzywszy zaś w to posłannictwo, Mickiewicz stał się najgorliwszym apostołem mistrza, który właśnie potrzebował kogoś w świecie znanego, ażeby za jego pośrednictwem marzenia swoje urzeczywistnić, sam bowiem do propagandy czynnéj wśród liczniejszych zebrań nie był uzdolniony, umiejąc jedynie w ścisłém, poufném kółku wpływ wywierać. Upojony radością, że zjawił się człowiek, którego, jak się poecie zdawało, on sam w III części „Dziadów“ przepowiedział, gorliwie jął zyskiwać wyznawców wśród emigracyi, zwoływać zewsząd przyjaciół, ażeby porzuciwszy swe zajęcia, przybywali do Paryża i stali się pomocnikami w sprawie pogodzenia emigracyi, spełnienia najdroższych jéj nadziei. Dnia 27 września 1841 roku odbyło się pierwsze publiczne wystąpienie Towiańskiego w kościele Notre Dame, dokąd Polacy wezwani zostali drukowanemi ogłoszeniami. Przyjąwszy komunią wobec zebranych, przemówił mistrz jako przysłany od Boga dla oznajmienia braciom, iż wkrótce wszystkie cierpienia narodu i wszystkie cierpienia ludzkości ustaną pod panowaniem nowéj epoki chrześciańskiéj, będącéj zastosowaniem nauk ewangielii do wielkich spraw państwa i społeczeństwa. Wrażenie wywarte tą mową było bardzo słabe; zwolenników nowego apostoła liczono zaledwie na jednostki, pomimo całego zapału, z jakim starał się o nich Mickiewicz. Towiański raz jeszcze sprobował publicznego wystąpienia w kościele ś. Seweryna, ale gdy to nawet ciekawych nie ściągnęło, a policya paryska zwróciła już nań swe oko, zaniechał zebrań gromadnych i poprzestał na konferencyach prywatnych w domu Mickiewicza, na których potępiwszy, jak i nasz poeta, rozumowanie, pragnął jedynie wpływać uczuciem, obudzić w wyznawcach bezwarunkową wiarę w swe słowa i ćwiczyć ich w wydobywaniu z siebie „czystego tonu“, czyli zupełnego poddania się du-

chowi bożemu, mającemu spłynąć na każdego, kto z głęboką ufnością i miłością a zaparciem się egoizmu będzie się oń starał i kogo naturalnie łaska boża poświęci.

Potrzeba było gieniuszu Mickiewicza, ażeby skłonić pewną cząstkę wychodźców do uwierzenia w potrzebę takich ćwiczeń pobożnych, a co ważniejsza, do utrzymania ich przez znaczny przeciąg czasu wśród wysokiego nastroju duchowego, zwłaszcza że pierwotne obietnice o rychłym powrocie do kraju coraz bardziej w mglistą dal się usuwały. Często też uginał się pod brzemieniem tego zadania i wołał do mistrza o pomoc, ale ten, jako marzyciel o chłodnym temperamencie, wcale nie odczuwając targań wewnętrznych tak potężnego i ognistego ducha, jakim był nasz poeta, pocieszał go mdłemi i niejasnemi ogólnikami, pobudzając tylko ciągle do robienia nieokreślonych w swéj istocie wysiłków duchowych.

Na odczytach w kolegium francuskiém Mickiewicz podczas drugiego kursu nie występował jeszcze wyraźnie z propagandą nowéj epoki w rozwinięciu ewangielii, ale przygotowywał umysły do jéj przyjęcia, przez systematyczne wskazywanie w dziejach i literaturze Słowian, szczególniej zaś Polski i Rosyi, wysokiego znaczenia zapału i ducha ofiary, oraz przez potępianie materyalizmu i rozumu samolubnego. W maju 1842 r., korzystając ze sposobności, że mówił o poezyi legionistów, podnosił nader doniosłe znaczenie Napoleona, jako zwiastuna nowéj epoki, która ma być „tém względem czasów naszych, czém było chrześciaństwo względem pogaństwa,“ a w któréj naród polski stanie na czele. Niebawem w czerwcu dał nazwę temu nowemu dążeniu, mianował je mesyanizmem, biorąc ten wyraz z dzieł filozofa-matematyka Hoene-Wrońskiego, oraz zapowiedział, że z Francyi wyjdzie siła wstrząsająca posadami staréj Europy.

Podczas wakacyj r. 1842 musiał Mickiewicz staczać walki z księżmi polskimi, dawniej jego wielbi-

cielami, których on ku pobożności i udoskonaleniu nawracał. Hieronim Kajsiewicz, świeżo właśnie wyświęcony, został teraz jednym z najzaciętszych przeciwników dążeń mesyanicznych poety; starcie się między nim a Mickiewiczem było ostre i niewymownie przykre. Naprożno towiańczycy, chcąc dać dowód, że z kościołem nie zrywają, przystępowali do spowiedzi i komunii; księża wrogo przeciw nim występowali. Dopiero gdy łagodny i zacny arcybiskup paryski Affre, po widzeniu się z Mickiewiczem, który w słowach fanatycznego uniesienia pełnych wykazywał mu zamarcie ducha poświęcenia w duchowieństwie—radził księżom polskim wyrozumiałość i cierpliwość—zaniechali na czas jakiś gwałtownych wystąpień.

Mickiewicz zaś, jakby w zachowaniu się arcybiskupa widział ciche zgodzenie się na rozpowszechnianie nowéj nauki, zaczął ją wykładać na lekcyach literatury słowiańskiéj w trzecim kursie, dopatrując idei mesyanicznéj w „Nieboskiéj komedyi“ Krasińskiego, w „Duchu od stepu“ Zaleskiego i w paru innych utworach poezyi polskiéj. Starał się przytém pozyskać dla téj idei swoich towarzyszów - profesorów w kolegium francuskiém, mianowicie zaś Micheleta i Quineta, którzy ze swego uczuciowo-poetycznego nastroju najbardziej zdawali się usposobieni do wzięcia udziału w sprawie, mającéj odrodzenie ludzkości na widoku. Łudził się Mickiewicz, że ich pozyska. Wistocie obaj ci profesorowie kochali Mickiewicza jako człowieka, wielbili jako poetę pełnego zapału; dopóki mówił o przeżyciu się form starego kościoła i jezuityzmu, nie mieli nic przeciwko temu; gdy wielbił Francyą, jako kraj zdolny do czynów bohaterskich i będący świecznikiem Europy, radowali się szczerze; ale od tego częściowego uznania dla poglądów naszego wieszcza daleko było do wiary w ich całość, a témbardziej do wiary w posłannictwo Towiańskiego. Trochę lepiej wiodło się ze spółziomkami. Na jedném z posiedzeń Towarzystwa historyczno-literackiego, założonego na

emigracyi, którego Mickiewicz był prezesem, zdoła, zjednać dla mesyanizmu 44 wyznawców; zpomiędzy poetów przyłączyli się do towiańczyków Juliusz Słowacki i Seweryn Goszczyński. Na tych jednak zdobyczach zatrzymało się powodzenie mesyanizmu. Wszelkie próby przemówienia do przekonania tak wybitnéj na wychodztwie osobistości, jak Adam książę Czartoryski, rozbiły się o ścisły jego katolicyzm; a w łonie Towarzystwa historyczno-literackiego powstawały niechęci względem prezesa, który gromił członków za ducha partyi,—niechęci, które niebawem miały się w wyraźną opozycyą zamienić.

Stało się to w roku 1844. Mickiewicz wówczas zamienił swój kurs w kolegium francuskiém na wykład mesyanizmu, rozbierał ciemne i mętne pisemko Towiańskiego „Biesiada,“ podawał je za najwznioślejszy utwór współczesnéj literatury polskiéj, a wreszcie 19 marca wezwał na lekcyi obecnych towiańczyków, ażeby zaświadczyli istnienie nowego objawienia, ażeby wypowiedzieli wyraźnie, iż znają i uznają mistrza. Wezwani złożyli to świadectwo. Tak dokonało się publiczne ujawnienie, wobec mnóstwa słuchaczy, faktu, że profesor kolegium francuskiego, ostro krytykujący kościół urzędowy i politykę urzędową, jest apostołem nauki Towiańskiego, którego rząd francuski przed dwoma laty z Francyi wydalił. Zwróciło to uwagę ministeryum oświecenia, które gdy Mickiewicz na lekcyi z 28 maja wzniósł toast na cześć Napoleona, zaproponowało mu, ażeby się do dymisyi podał, albo zażądał dłuższego urlopu, na co zgodzić się musiał. Z drugiéj strony Polacy-katolicy ostro teraz i publicznie, w druku, wystąpili przeciwko Mickiewiczowi, jako szerzycielowi nauki przeciwnéj dogmatom kościoła. Towarzystwo historyczno-literackie w znacznéj swéj części oświadczyło się przeciw swemu prezesowi, tak, iż Mickiewicz musiał zrzec się urzędu.

Tym sposobem już od drugiéj połowy r. 1844 apostoł mesyanizmu nie posiadał środków publicznego

rozszerzania nowéj nauki, a więc usilniej jeszcze starać się musiał o pozyskanie jakiegoś potężnego sprzymierzeńca, któryby znaczeniem i wpływem swoim mógł istotnie dać ciało mesyanicznym marzeniom. Już dawniej zwracano się w tym celu do Rotszylda, teraz ponowiono odezwę, ale zdaje się, że ona zamierzonego skutku nie odniosła. Równocześnie prawie mistrz Andrzej ułożył pismo do cesarza Mikołaja, w którém wzywał go, ażeby uznał nowe objawienie. Mickiewicz poparł na zgromadzeniu towiańczyków myśl wysłania tego pisma. Nastąpiło zamieszanie. Niektórzy członkowie, pod wodzą Juliusza Słowackiego, oderwali się od koła, któremu Mickiewicz przewodniczył; inni osłabli w swéj względem niego ufności. Towiański winę niepowodzenia tego kroku złożył na Mickiewicza. Dla usprawiedliwienia się musiał nasz poeta w drugiéj połowie r. 1845 pojechać do Szwajcaryi, gdzie go studenci lozańscy gorąco powitali. Mistrz jednak nie przypuścił go do oglądania swego oblicza i porozumiewał się z nim za pośrednictwem swéj rodziny. Stosunki naprężały się; Towiański z goryczą mówił, że wola boża odparta została przez brata Adama. Tak przeszedł ciężki i dla narodu naszego i dla Mickiewicza rok 1846. Towiański całkowicie już zaniechał pierwotnego motywu wystąpienia swego i zaprzestał mówić o powrocie wychodztwa do kraju; zawarł się natomiast w całkiem ogólnéj dziedzinie udoskonalenia moralnego. Mickiewicz nie mógł się wyrzec tak łatwo nadziei, zapomocą któréj pozyskał niewątpliwie znaczniejszą część wyznawców; ochłódł też w swéj ufności względem mistrza.

W pamiętnym liście z 12 maja 1847 roku pisał te słowa, w których brzmiał utajony ton bolesnego zawodu: „Trudno nam wrócić do tego zaufania, do téj szczerości, z jakąśmy się zeszli przed laty; a bez niéj niema płomienia, niema czynu. I nie wrócimy tam, aż każdy z nas poczuje, co przewinił, wewnątrz siebie

to odwoła i ducha braciom przyniesie wolnego od sądów, od wyroków i podejrzeń.“

Towiański i Mickiewicz rozeszli się odtąd, lubo nie rozstali. Towiański pogrążał się w marzeniach, zadowolony hołdami szczupłego kółka; Mickiewicz, zawsze dążący do czynu, nie zaniedbał żadnéj okoliczności, która zdawała się do urzeczywistnienia idei odrodzenia narodu i ludzkości prowadzić.

Gdy we Włoszech r. 1848 rozpoczęły się ruchy narodowe, Mickiewicz 21 stycznia pośpieszył do Rzymu, ażeby u papieża Piusa IX, który początki rządów swoich zbawiennemi reformami zaznaczył, uzyskać posłuchanie i nakłonić go do wzięcia inicyatywy w odrodzeniu stosunków politycznych i rozpłomienieniu dusz ideą miłości i poświęcenia. Gwałtowny ton mowy Mickiewicza zraził łagodnego papieża; o uznaniu nauki nie mogło być mowy; co do idei zaś politycznych, nie myślał ich Pius IX rozbierać, a tém mniej pójść za niemi. Chłodne to zachowanie się papieża uwydatniło się szczególniej podczas drugiego posłuchania, w którém kilka razy prosił poetę o zniżenie głosu.

Nie osiągnąwszy jednego celu, zajął się Mickiewicz innym.

Jak tylko wybuchła w Paryżu rewolucya w lutym, powziął myśl wskrzeszenia dawnych legionów polskich i zwrócił się z nią do możnych panów, ale ci z lękiem od współudziału się usunęli. Wówczss, nie porzucając samego zamiaru, postanowił uskutecznić go choćby na drobną skalę, powołując młodzież, bawiącą w Rzymie na studyach artystycznych. Tu odezwał się odgłos w sercach. Zebrała się garstka 14 ochotników, z którymi 10 kwietnia opuścił Rzym i morzem pojechał do Liwurna, ztąd koleją żelazną do Empoli, a następnie piechotą do Florencyi, gdzie oprócz entuzyastycznego przyjęcia, znalazł także zasiłek pieniężny. Dnia 8 maja przybył ten zarodek przyszłego legionu do Medyolanu i tu w przeciągu miesiąca przetworzył się

na zastęp, który pod dowództwem Mikołaja Kamieńskiego mógł wyjść do boju z wojskami austryackiemi, dostawszy rozkaz zajęcia części pogranicza od Tyrolu.

Wówczas Mickiewicz, doprowadziwszy do skutku choć w téj formie tylko myśl swoję, odjechał do Paryża, ażeby usilném staraniem zwiększyć liczbę ochotników i utworzyć drugą legią. Przy pomocy pieniężnéj Ksawerego Branickiego zdołał pod koniec lipca i w początkach sierpnia wysłać do Włoch 4 oddziały, liczące po sto lub po kilkadziesiąt ludzi, pod dowództwem Michała Chodźki, Maurycego Haukego, J. Klukowskiego i innych.

Oprócz spraw legionowych, miał wówczas Mickiewicz na myśli powrót na katedrę w kolegium francuskiém, ale rząd rzeczypospolitéj nie dozwolił na to. Z Krakowa zaproponowano mu objęcie katedry historyi literatury polskiéj; poeta nasz zgodził się, ale nie można było marzyć o zatwierdzeniu go na posadzie przez rząd austryacki, przeciwko któremu tworzył legiony.

Wynik głosowania powszechnego we Francyi z dnia 10 grudnia, powołujący na prezydenta rzeczypospolitéj Ludwika Napoleona, elektryzująco podziałał na Mickiewicza. Czcząc bohatera wieku, miał nasz poeta i dla jego rodziny serdeczne uznanie, był z nią w stosunkach przed rokiem 1848 i wówczas już przepowiedział jéj dostanie się do rządu. Teraz sądził, że Ludwik Napoleon spełni jego nadzieje odrodzenia Europy. Chcąc w tym kierunku współdziałać, założył w połowie marca 1849 r. dziennik polityczny p. t. „La Tribune des peuples“ (Trybuna ludów), poświęcony sprawie wolności i solidarności wszystkich narodów, a szczególniéj tych, które swą niezależność utraciły. Sam wiele pisał do dziennika tego, nie wiążąc się z żadném stronnictwem francuskiém, ale powstając gwałtownie przeciw konserwatystom i legitymistom, a słowami uznania darząc rewolucyonistów i socyalistów. Wyznanie jego wiary politycznéj z owego czasu można scharakteryzować jako socyalizm mistyczny, mający na widoku przedewszystkiém i głównie poprawę wewnętrzną człowieka, kwestye zaś materyalnego bytu usuwający z pierwszego planu. Ze szczególnym naciskiem dążył do tego, ażeby lud, nie zważając na arystokracyą i wyższą hierarchią, wybierał swoich przedstawicieli zpośród ludzi ściśle złączonych z życiem wiejskiém.

„Trybuna“ istniała niedługo. Z dniem 16 października 1849 opuścił ją Mickiewicz, przestał zajmować się gorączkowo sprawami politycznemi i zamknął się w obrębie życia domowego, otoczony szczupłém kółkiem wiernych mu towiańczyków. Nadzieje obudzone ruchem r. 1848 rozwiewać się zaczęły; siła rządowa wzrastała; Napoleon z prezydenta został cesarzem Francyi.

Mickiewicz, wzamian za katedrę w kolegium francuskiém, którą nominalnie zajmował dotychczas, otrzymał 30 października 1852 roku posadę bibliotekarza biblioteki arsenału, z mieszkaniem i 2000 franków pensyi, i był nią zadowolony, przywykłszy podczas propagandy mesyanicznéj do znoszenia nietylko niedostatku, ale nawet nędzy.

Ożywił się znowu podczas wojny krymskiéj; w maju 1854 napisał notę o położeniu Rygi, jako podstawy działań wojennych na brzegach morza Baltyckiego; po wysadzeniu Bomarsundu w powietrze przez wojska sprzymierzonych 17 sierpnia tegoż roku, wyśpiewał odę łacińską na cześć Ludwika Napoleona. Utraciwszy 5 marca 1855 roku żonę, stłumił boleść, zajmując się jeszcze gorliwiej sprawami ogólnemi. Wypracował memoryał o utworzeniu legionu polskiego na Wschodzie, a następnie wyrobiwszy sobie u rządu francuskiego zasiłek, 11 września opuścił Paryż, by się udać do Konstantynopola, przyjrzeć się pułkom kozaków otomańskich, formowanym przez Michała Czajkowskiego, i wziąć udział czynny w wojnie.

W pierwszych dniach października wybrał się do Burgas, gdzie te pułki się znajdowały, żył tu życiem obozowém, które polubił, i roił o utworzeniu legionu z Izraelitów.

Z wycieczki téj powróciwszy do Konstantynopola, zajmował się wprowadzeniem w czyn swego planu; miał nawet dobre pod tym względem nadzieje; lecz niebawem nagle się rozchorował. Dnia 26 listopada o godzinie dziewiątéj wieczorem, z zupełną przytomnością umysłu, ze wspomnieniem pułku kozaków, w którym wolałby być, jak mówił, pisarzem, niż kanclerzem instytutu francuskiego, rozstał się z tym światem. Ciało zabalsamowane przewieziono 30 grudnia uroczyście, przy licznym zbiegu ludzi najrozmaitszéj narodowości, na parostatek, który zawiózł zwłoki do Francyi. Dnia 21 stycznia 1856 złożono je na cmentarzu w Montmorency, obok zwłok żony.

Takie były dzieje największego gieniuszu poetyckiego, jaki wydała Polska. Jako człowiek odznaczał się on nieskazitelnym, podniosłym i hartownym charakterem; jako obywatel kochał kraj namiętnie i zawsze interes ogółu przenosił nad sprawy osobiste i rodzinne; jako poeta najlepiej odczuł i wyśpiewał naturę ziemi naszéj, nasze usposobienia, poglądy, przekonania, uczucia, cierpienia. Nie to, co przemijające i zmienne, ale to, co wiecznotrwałe, co ma żywotne swe korzenie w gruncie narodowym i ludzkim, co budzi i budzić będzie na wieki przyśpieszone bicie serca, stanowiło przedmiot jego natchnień. On stworzył nowożytną naszę literaturę, powołując całe szeregi piszących do pracy w nadanym przez siebie kierunku; on nas wobec świata ucywilizowanego najdostojniej w zakresie twórczości poetyckiéj zalecił; on kochał i cierpiał za miliony i dlatego miliony nietylko uwielbieniem, lecz miłością ku niemu płoną.

Warszawa, 19 lutego 1888 r.

Piotr Chmielowski.

BALADY I ROMANSE.

PIERWIOSNEK. *)

(Primula veris).

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek, pierwiosnek,
Błysnął ze złotych obsłonek.

JA.

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie!
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnéj rosy perełka.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka:
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

*) Ponieważ czas napisania balad i romansów w niektórych jedynie szczegółach jest niewątpliwy, umieszczamy je więc, aż do „Dudarza“ włącznie, w takim porządku, w jakim podał je sam poeta w r. 1822.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podłéj trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni liliowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz zkąd-że ufności tyle?
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
Mię, wiosny młodéj aniołka;
Przyjaźń ma blasku niewiele
I cień lubi, jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek?
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą—ach! łzę tylko...

ROMANTYCZNOŚĆ.

Me thinks i see...
— Where?
In my mind's eyes.
Shakespeare.

Zdaje mi się, że widzę... Gdzie?
Przed oczami mojéj duszy.

Słuchaj, dzieweczko!
— Ona nie słucha.
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie niema żywego ducha;
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
— Ona nie słucha.

To jak martwa opoka
Nie zwróci w stronę oka,
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje,
Coś niby chwyta, coś niby trzyma,
Rozpłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty, Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku!
Czasem usłyszy macocha!

„Niech sobie słyszy—już niema ciebie!
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach, to on! lica twoje! oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały jak chusta,
Zimny—jakie zimne dłonie!
Tutaj połóż, tu na łonie,
Przyciśnij mnie—do ust usta!

„Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata!

„Źle mnie w złych ludzi tłumie,
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię—nikt nie rozumie;
Widzę—oni nie widzą.

„Śród dnia przyjdź kiedy... To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku!
Jeszcze wcześnie, jeszcze wcześnie!

„Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś! ach! stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa!“

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada...
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze!—krzyczy prostota,
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swéj Karusi,
On ją kochał za żywota!“

I ja to słyszę i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze.
„Słuchaj, dzieweczko!—krzyknie śród zgiełku
Starzec i na lud zawoła:
Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła.

„Duchy karczemnéj tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni,
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni.“

„Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
A gawiedź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!“

ŚWITEŹ.

(Do Michała Wereszczaki).

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiéj stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twéj stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina;

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiéjś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi,
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drżę cały, kiedy bają o tém starce
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar, jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałośne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w blizkiém robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółny i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiém dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyna;
Dano więc na mszę w niejednym kościele
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się; pławki nadół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie zcicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy.
Powiem-że, jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści;
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty zuchwały i twoja gromada
Wrazbyście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie,

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje téj cudnéj topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świteź i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury,
Przez żyzne wskróś okolice
Widać ztąd było nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz, niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężném wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległéj granicy,
Do ojca mego napisze:
Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Śpiesz, zwołaj twe towarzysze!

„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młódź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec,
Lecz Tuhan stanie, i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: Ja-ż własnych mieszkańców
Dla obcéj zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świteź nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?“

„Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła!
Bóg nas obroni; dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.

„Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi: póki męże zagranicą,
Ja bronię żony i córy.

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni
I zewsząd straszny wrzask: ura!

„Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! zginńmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecą bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!...
Broniłam, lecz próżny opór:
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

„Gotowa zbrodnia.—Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy?
Panie, zawołam, nad Pany!

„Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u Ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!

„Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
„Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi niema podemną!

„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi.
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawém kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
List ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnéj obrazy,
Jéj barwę mają po zgonie;
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

„Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.

„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa c a r y.“

To mówiąc, pani zwolna się oddala;
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcéj nie słychać o niéj.

ŚWITEZIANKA.

Jakiż to chłopiec piękny i młody,
Jaka to obok dziewica,
Brzegami sinéj Świtezi wody
Idą przy świetle księżyca?

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jéj kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest téj dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

Każdą noc prawie, o jednéj porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

Zkąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie;
Gdzie uszła? nikt jéj nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.

„Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice?
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

„Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora;
Zawsze mam czekać twojego przyścia
Na dzikich brzegach jeziora?

„Zawszeż po kniejach, jak sarna płocha,
Jak upiór, błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba, ze mną!

„Chateczka moja ztąd niedaleka,
Pośrodku gęstéj leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny.“

„Stój, stój—odpowie—hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu—lisie zamiary.

„Więcej się waszéj obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały;
Możebym prośby przyjęła twoje,
Ale czy będziesz mnie stały?“

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżyca blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada,
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!“

To mówiąc, dziewka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie
I, pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączym wybiegom nie sprostał;
Znikła, jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grzązka,
Cisza wokoło, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałązka

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnemi strzela oczyma;
Wtém wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jéj twarz, jak róży bladéj zawoje,
Skropione jutrzenki łezką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody!
Zanuci czule dziewica,
Poco wokoło Świtezi wody
Błądzisz przy świetle księżyca?

„Poco żałujesz dzikiéj wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje?

„Daj się namówić czułym wyrazem:
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie! tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale,

„Czy zechcesz niby jaskółka chybka
Oblicze tylko wód muskać,
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać,

A na noc w łożu srebrnéj topieli,
Pod namiotami zwierciadeł,
Na miękkiéj wodnych lilijek bieli,
Śród boskich usnąć widziadeł.“

Wtém z zasłon błysną piersi łabędzie;
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie
I „Do mnie!—woła—pójdź do mnie!“

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć, i nie chce;
Wtém modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka mu stopy załechce.

I tak go łechce i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliwa.

Zapomniał strzelec o swéj dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży,
Niesie go wodne przestworze;
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniém igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swéj ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni
I skoczne okręgi toczy.

Wtém wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku,
Poznaje strzelec dziewczynę zblizka,
Ach, to dziewczyna z pod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!

„Nie tobie igrać przez srebrne tonie,
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

„A dusza przy tém świadomém drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;
Wiecznie piekielne cierpiąc zarzewie,
Nie ma czém zgasić gorąca.“

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni;
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni:
Jest to z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrném pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? Strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

Płużyny, 12 sierpnia 1821 r.

RYBKA.

(Ze śpiewu gminnego).

Od dworu, z pod lasa, z wioski
Smutna wybiega dziewica;
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka,
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:

„O wy! co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje, Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiéj przygodzie
Głosu zdradzonéj kochanki.

„Kochałam pana tak szczerze!
On mię przysięgał zaślubić;
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

„Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi,
Urągać się z mych boleści!

„Dla opuszczonéj kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię, Świtezianki;
Lecz moje dziecię—ach, dziecię!“

To mówiąc, rzewnie zapłacze,
Rączkami oczy zasłoni,
I z brzegu do wody skacze,
I w bystréj nurza się toni.

Wtém z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce;
Zjeżdżają goście weseli,
Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu,
Płacz dziecięcia słychać w lesie;
Wierny sługa wyszedł z lasu
I dziecię na ręku niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoza, gęsto spleciona,
Wzdłuż wykręconéj zatoki
Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Płacze i woła: „Niestety!
Ach któż da piersi dzieciątku?
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?“

„Tu jestem, w rzece u spodu,
Cichy mu głos odpowiada,
Tutaj drżę cała od chłodu,
A żwir mnie oczki wyjada.

„Przez żwir, przez ostre kamuszki,
Fale mnie gwałtowne niosą;
Pokarm mój: koralki, muszki,
A zapijam zimną rosą.“

Lecz sługa, jak na początku,
Tak wszystko woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku?
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?

Wtém się coś zlekka potrąci
Śród kryształowéj przezroczy,
Woda się zlekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy.

I jak skałka płaskim bokiem,
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciórka.

Wtém rybią łuskę odwinie,
Spojrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczne;
Rybią ma pletwę do pasa,
Płynie pod chrósty nadrzeczne.

I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli.
„Luli, woła, mój maleńki,
Luli, mój maleńki, luli.“

Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi,
I znowu ściska swe ciało
I główkę nadobną zwęzi.

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Plusła, i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora:
Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjść tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę,
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał zdaleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem;
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę,
Ale i dzień już przeminął
I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie,
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się zlekka ku wodzie
I śledzi oczyma zdala.

Przebóg, cudy, czy moc piekła?
Uderza go widok nowy:
Gdzie pierwej rzeczułka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu;
Ani pani, ani pana
Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina, i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił:

„Krysiu, o Krysiu!“ zawoła:
Echo mu „Krysiu“ odpowie;
Lecz próżno patrzy dokoła,
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głazy,
Otrze pot na licu zbladłem
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciątko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem
I odmawiając pacierze,
Wraca do domu z pośpiechem.

POWRÓT TATY.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie, wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.

„Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.“

Słysząc to dziatki, biegą wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek;
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potém: w imię Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potém: Ojcze nasz, i Zdrowaś, i Wierzę,
Dziesięcioro i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litanią do Najświętszéj Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem:
„Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!“

Wtém słychać turkot. Wozy jadą drogą
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
„Tato, ach, tato nasz jedzie!“

Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata:
„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

„Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot—rodzynki w koszyku.“
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!—kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“
Idzie... aż zbójcy obskoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniósł dłonie:

„Ach! bierzcie wozy, ach, bierzcie dostatek.
Tylko puszczajcie nas zdrowo;
Nie róbcie małych sierotami dziatek
I młodéj małżonki wdową!“

Nie słucha zgraja. Ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie; a drugi
„Pieniędzy!“ krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém: „Stójcie, stójcie!“ krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi.“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.

„Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja, i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca,
Zasiadaliśmy na czaty.

„Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty:
Modlą się dziatki do Boga;
Słucham: z początku porwał mię śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.

„Słucham: ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojéj żony
Jest synek taki maleńki.

„Kupcze! jedź w miasto; ja do lasu muszę.
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moję duszę
Zmówcie też czasem paciórek.“

KURHANEK MARYLI.

(Myśl ze śpiewu litewskiego).

CUDZY CZŁOWIEK.

Tam u Niemnowéj odnogi,
Tam u zielonéj rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon, jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,

Głowę ukwieconą w kwiaty,
A na niéj czeremchy drzewo,
A od niéj idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie, dziewczyno,
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA.

W całéj wsi pytaj się, bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w téj chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawéj stronie te śladki,
Ubite nogą pastuszka,
To jest drożyna jéj matki,
A ztąd przychodzi jéj drużka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stos łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo... idzie kochanek;
Patrz, matka idzie z domu;
Patrz w lewo—przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka
I płaczą.

JAŚ.

Marylo! o téj porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,

Jeszcześmy się nie ścisnęli.
Marylo! zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek.
Czy ty przespałaś ranek,
Czyś na mnie zagniewana?
Ach, Marylo kochana!
Gdzież się ty dotąd kryjesz?

Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka;
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurhanek.
Nie ujrzysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!

Dawniej, kiedy spać szedłem, tém słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Marylę,
I dawniej spałem mile!

Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;
Może zamknę na wieki!

Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy.
Teraz się ojciec biedzi,
A ja ni ludziom, ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzodę wyduszą wilki!
Niemasz, niemasz Marylki!

Daje mi ojciec chaty,
Daje mi sprzęt bogaty,

Bym wziął w dom gospodynię,
Namawiali mię swaty.
Niemasz, niemasz Maryli!
Swaty nie namówili:
Nie mogę, nie, nie mogę!
Wiem, ojcze, co uczynię,
Pójdę w daleką drogę,
Więcej mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali.
Nie będę już na świecie!
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.
Niemasz, niemasz Maryli!

MATKA.

Czemuż nie wstałam zrana?
Już w polu pełno ludzi.
Nie masz cię, nie masz, kochana
Marylo! któż mię obudzi?!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało.
Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania,
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł z kosą bez śniadania.
Koś ty dzień cały, koś sobie,
Ja tutaj leżę na grobie.
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Niemasz, ach, niemasz komu!
Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.

U nas i wieczorynki,
Z całéj wsi chłopcy, dziewki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki,
Niemasz cię! w domu pustynie!
Każdy kto idzie, minie.
Zawiasy rdzewieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni;
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Niemasz, niemasz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA.

Tutaj, bywało, z ranku
Nad wodą sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mi mówisz o moim.
Już więcej z sobą nie będziem mówili!
Niemasz, niemasz Maryli!
Któż mnie zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?
Ach! gdy z tobą, kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę,
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele!

* * *

Słyszy to cudzy człowiek,
Wzdycha i łzy mu płyną;
Westchnął, otarł łzy z powiek
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ.

Posyłając im baladę „To lubię.“

Bije raz, dwa, trzy... już północna pora;
Głuche wokoło zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztora
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świeca w lichtarzu dopala się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno!—Nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze;
Ileż mi słodkich chwilek przypomina!
Przecz-to już znikło nazawsze?

Teraz ja szczęścia szukam—ot w téj księdze.
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę: aż tylko po ścienie
Biega cień własnéj postaci.

Ot lepiej pióro wezmę i śród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl plącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem czy skończę.

Może też pamięć o minionéj wiośnie
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli!

Kto pragnie pędzlem swe rozsławić imię,
Niech jéj maluje portrety;
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy.
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;
Choć jéj kto k o c h a m mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i l u b i ę.

Za to więc w Rucie, pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja, na dobranoc żegnając Marylę,
Taką straszyłem baladą.

Kowno, dnia 27 grudnia 1820 r.

TO LUBIĘ.

Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczułka i mostek.

Tuż stara cerkiew; w niéj puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnicą chróśniak malinowy,
A w tym chróśniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnéj godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
W pustéj zrąbnicy dzwonią same dzwony,
W chróstach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała,
Roztwiera gębę i wytrzeszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży—pragniesz go odegnać,
Aż orlém skrzydłem wilk macha;
Dość: „zgiń, przepadnij“ wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie, wrzeszcząc: cha, cha, cha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy
I każdy musiał kląć drogę:
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż, pomnę, nieraz Andrzej stary
Zaklinał, nieraz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje;
Próżno woźnica przynagla do biegu,
Hej! krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potém skoczą z całéj mocy,
Dyszel przy saméj pękł szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
T o l u b i ę, rzekłem, t o l u b i ę!

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica
Wypływa z blizkich wód toni;
Białe jéj szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę: Niech będzie Chrystus pochwalony!
„Na wieki wieków—odpowie.

„Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku
I pokój tobie, i dzięki.

„Widzisz przed sobą obraz grzesznéj duszy;
Wkrótce się niebem pochlubię,
Boś ty czyścowéj zbawił mię katuszy
Tém jedném słówkiem: T o l u b i ę.

„Dopóki gwiazdy zejdą i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje.

„Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty.
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty.

„Za życia pragnął sprawić mi wesele,
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
Posag wabił i uroda.

„Mnóstwo ich marnéj pochlebiało dumie
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

„Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapały.

„Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze,
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacze.

„Ja pójdę!“—mówił ze łzami.—„Idź sobie!“
Poszedł i umarł z miłości.
Tu, nad rzeczułką, w tym zielonym grobie,
Złożone jego są kości.

„Odtąd mi życie stało się nielube,
Późne uczułam wyrzuty,
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.

„Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty,
Przyleciał Józio, w straszliwéj postawie,
Jak potępieniec ognisty.

„Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębów,
W czyścowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów
Takie słyszałam wyroki:

—„Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na rozkosz, nie na boleści.

„Ty, jakbyś w piersiach miała serce z głazu,
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

„Za taką srogość długie, długie lata
Dręcz się w czyścowéj zagubie,
Póki mąż jaki z tamecznego świata
Nie powie na cię choć: l u b i ę.

„Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał, nieszczęśliwy;
Proś-że ty teraz, nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy.“

„Rzekł. Mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie,
W dzień męczą, na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie.

„I w cerkwi albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszydła.

„Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;
A każdy naklnie, nafuka, nałaje;
Tyś pierwszy wyrzekł: t o l u b i ę!

„Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość z pod ciemnych wskażę chmur,
Ach! i ty poznasz Marylę... lecz ona...“
Wtém, na nieszczęście, zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną;
Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóż stoi na łące.
Siadam, powoli strach mija;
Proszę za dusze w czyścu bolejące
Zmówić trzy Zdrowaś Marya.

PANI TWARDOWSKA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha, cha, chi chi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok—i gdańskiéj wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtém, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno... „Co u licha!
Pocoś tu, kumie, zawitał?“

Diablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznogcie.

„A, Twardowski? witam bracie!“
To mówiąc, bieży obcesem,
„Cóż-to? czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

„Wszak ze mną na Łyséj-górze
Robił o duszę zapisy,
Cyrograf na byczéj skórze
Podpisałeś ty i bisy

„Miały słuchać twego rymu:
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma R z y m się nazywa,
Kładę areszt na waszeci.“

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum,
Diabeł za kontusz ułapił:
„A gdzie jest nobile verbum?“

Co tu począć? Kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

„Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

„Skręć mi przytém biczyk z piasku,
Żebym miał czém konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

„Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale.“

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potém bicz z piasku utoczy
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No! wygrałeś, panie bisie,
Lecz druga rzecz nieskończona;
Trzeba skąpać się w téj misie,
A to jest woda święcona.“

Diabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije,
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potém jak z procy,
Otrząsł się, dbrum, parsknął raźnie:
„Teraz jużeś w naszéj mocy,
Najgorętszą-m odbył łaźnię.“

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska.
Patrzaj, oto jest kobiéta,
Moja żoneczka, Twardowska.

„Ja na rok u belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie,
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

„Przysiąż jéj miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic,
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.“

Diabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki;
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blizko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha tak czmycha.

TUKAJ,

ALBO PRÓBY PRZYJAŹNI.

(We czterech częściach).

I.

„Ja umieram.—Ja nie płaczę.
I wy chciejcie ulżyć sobie;
Prędzej, później legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rozpacze.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;

Zamki me stały otworem
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię!
Wielkie nic! Wielkość, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Gdy za mądrości widziadłem
Goniąc, zbiegam kraje cudze;
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadłem.
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imię!
Wielkie nic! Rozum, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Strzegłem ustaw świętéj wiary
W ducha i serca prostocie,
Hojnie nagradzałem cnocie,
Kościołom niosłem ofary.
O pobożności! człowieku! *)
Święta wiaro, święte imię!
Święte nic! Cnoto, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Twórco, jakże igrasz srodze!
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż, że mi dasz wierne sługi?
Czémże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi,
Śmierć truje ślubów słodycze.
I tylu przyjaciół liczę...
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!“

*) Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych baladach (P. poety).

Tak na domowników ręku
Tukaj, pośród skarg i jęku,
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.

Wtém grom łamie szczyty dachu,
Zadrżały zamkowe ściany.
Jakowyś starzec nieznany
Wlatuje na środek gmachu.
Siwy włos okrył mu skronie,
Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie.
„Tukaju!“ Porwał z pościeli
I wraz za sobą iść każe.
Już wierzchnie sale minęli,
Minęli wały i straże.
Idą—ciemno, deszczyk kropi,
A srebrzysta twarz miesiąca
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinie,
Hnilicy ciemnéj ostępy,
Kołdyczewa *) nurty sinie,
Gdzie puszcza zarosła wkoło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Źwirami nasute czoło
Wynosi góra Żarnowa.
Tam szli.—Starzec klął na grobie.

*) Nazwisko jeziora (P. p.)

Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniósł wgórę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
„Tukaju, patrz, oto ścieżka!
Za ścieżką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Polel mieszka;
Mędrzec mędrca wspomódz pragnie.
Znana twa nauka, cnota,
Znam, że Bóg węzły lubemi
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.
Ale rzucaj przestrach płony,
Mych sposobów uznaj dzielność;
Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy ziemskiemu oku
Śmiem do niéj pokazać drogę;
Lecz, podług ustaw wyroku,
Dwom tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,
Człowieka doznanéj wiary,
Któremubyś w każdéj probie
Tak zaufał, jak sam sobie.
Trafisz—nieśmiertelność czeka;
Chybisz—śmierć i wieczne kary! ‘
—„Starcze! twe zjawienia wieszcze
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz.“—„Powiadam ci jeszcze:
Wybierz drugiego człowieka,
Radź się twéj głowy i serca,
Idzie o ciało i duszę!
Wierny albo przeniewierca,

Nieśmiertelność lub katusze!...
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze?..."

Tukaj nic nie odpowiada,
Bo któż zgadnie myśli cudze?
Bo zbyt częsta w sługach zdrada.
—„Może kochance lub żonie?"
—„Tak—" wtém uciął, patrzy smutnie;
—„Tak"—rzecze i znowu utnie.
Myśli, sam się z sobą biedzi,
—„Tak jest, kochance... tak, żonie!"
I wierzy, i strach nań pada,
I wątpi, i wstydem płonie;
Myśli, sam się z sobą biedzi,
Umyślił, już w odpowiedzi,
Już... i nic nie odpowiada.
—„Umrzyj więc! ty śmiałeś żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim!
Ty nie masz ufności w nikim,
Wartoż dłużej świat oglądać?"
On myśli.—„Nikogoż z wiela?
Sługi, żony, przyjaciela!..."
On myśli. — Tu, w mgnieniu oka,
Czerni się niebios sklepienie,
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka,
I doliny i jezioro.
Śród gromów, świstu i szczęku,
Czy to zły duch, czy moc boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręku.

Głos tylko zagrzmiał zdaleka:
„Nie masz drugiego człowieka,
Któremubyś, w każdéj probie,
Tak zaufał, jak sam sobie."

II.

„Ja mam, ja mam przyjaciela!"
Konający Tukaj woła.
Wraz uchodzi bladość z czoła,
Iskrą zdrowia oko strzela;
Tukaj, wydarty mogile,
Wstaje, dziwią się doktory;
Wstaje, chodzi o swéj sile,
Jakby nigdy nie był chory.
A wtém, na poduszce z boku,
Ujrzy z woléj skóry karty,
Gdzie tajemnice wyroku
Przeklęte spisały czarty.
Tukaj z ciekawością chwyta,
Siada, podparł się i czyta:

„Kiedy miesiąc na młodziku,
Idź za górę do gaiku,
Znajdziesz kamień, z pod kamienia
Białego urwij korzenia.
Kiedy będziesz blizki śmierci,
Każ ciało posiec na ćwierci,
W wodzie zgotować korzonki,
Pocięte namaścić członki.
Znowu się duch z ciałem zrośnie,
W młodocianéj wstaniesz wiośnie

I możesz, skutkiem tych leków,
Umierać, wstawać wiek wieków.“

Dalej tam były przestrogi:
Jak siekać głowę, jak nogi;
W jakiéj wodzie smażyć trunek,
Po jakiéj brać zioła szczypcie;
Ale na końcu, w post-skrypcie,
Taki dodano warunek:

„Jeśli użyty ktoś drugi
Do namaszczalnéj posługi,
Zwiedzion przez nasze fortele,
Innemu pokaże ziele,
Lub w oznaczonéj godzinie
Twego ciała nie namaści:
Wtenczas skutek zioła zginie,
Wtenczas piekło czeka waści.
Jeśli na to się ośmielisz,
Dla znaku, że zaszła zgoda,
Nasz poseł Mefistofelisz
Do wymiany traktat poda.
Ostrzegliśmy o fortelach,
Strzeż się; potém próżny kweres.
Dan w Erebie, w szabas rano.
Własną ręką podpisano:
Tak ma stać się. Lucyferes,
A za zgodność: Hadramelach.“

Tukaj trochę się zagniewał,
Warunku się nie spodziewał.
Brodę na ręku podpiera,

Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spojrzał z ukosa;
Tabaczki dwa razy zażył,
To na ziemię spuszcza oczy,
To po stolowaniu toczy.
Wziął pergamin, w ręku zważył,
Znowu nań zezem poziera,
Znowu czytał i odczytał,
Znowu zważył, znowu zmierzył,
Kułakiem o stół uderzył,
Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
Ręce nad czoło zakłada...
Skoczył raptem i w zapędzie
Machnął ręką: „Niech tak będzie!“
Znowu umilkł, znowu siada,
Znowu myśli, znowu wstaje,
Znowu chodzi, znowu siada.
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z diabłami rzecz nielada.

Myśli: albo wieczne życie,
Albo wiecznie diabłu dusza.
Nic nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi.
Tukaj oddala się z tłumu
I do pracowni rozumu
Zamknąwszy się, jeden siedzi.
I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stempel przyjęcia zyska,
W surowéj uwagi kleszcze

Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygle;
Tam jednę myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka;
Sieka, topi nakształt wosku,
Aż wycisnął ekstrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł, po długim namyśle:
„Jakieżkolwiek te fortele,
O których słyszałem zgóry,
Czy ich niewiele, czy wiele,
Trojakiéj będą natury.
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły, albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo, krótszemi słowy,
Będzie sylogizm takowy:
Trojaka do zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie
Twardéj nie ulegnie próbie,
Takiemu już można będzie
Ufać, jak samemu sobie.“

Tukaj, kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu,
Ale idzie bez pośpiechu.
Już ciemno, pisać niewcześnie,
W atramencie jakieś pleśnie,

Dwie świece musiał zapalać
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolało w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włosek
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznogciu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: niech tak będzie
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blizko,
Głową i piórem kołysał
I nic więcej nie napisał,
Tylko do pierwszéj litery
Dodał małe kropki... cztery.

Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada;
Niechaj z tego nikt nie szydzi,
Bo z diabłami rzecz nielada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska b w słowie będzie
Zaczęła brzęczeć i szumieć,
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podrasta,
Jak na drożdżach kawał ciasta.
Dolna litery połowa
Wykurcza się w brzuch i żebra,
U zwierzchniéj wypukła głowa,
Nakształt ogromnego cebra.
Szyjka jak u osy wązka,

Nosek orła, bródka kozła,
A z jednéj go strony końska,
Z drugiéj kurza łapka wiozła;
Pogląda okiem wołowem,
Skrzydła nakształt młyńskich wioseł,
Był to diabeł, jedném słowem,
Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
Czy żegnać, czy prosić siedzieć,
Kiedy przyskoczył zuchwalec,
Porwał za maleńki palec,
Zasadził nożyk pod skórką
I umoczył we krwi piórko,
Piórko wścibił, ścisnął w ręku,
Ręką wodzi pomaleńku,
Gdy już U, K, A, J minął,
Zrobiło się całkiem T u k a j.
Diabeł świsnął, czmychnął, zginął,
Teraz-że z nim ładu szukaj! *)

LILIE.

(Z pieśni gminnéj).

Zbrodnia to niesłychana:
Pani zabija pana,
Zabiwszy, grzebie w gaju,
Na łączce, przy ruczaju,

*) W pierwszém wydaniu, z r. 1822, znajduje się dopisek: „Dalsze balady o Tukaju w następnych tomikach.“ Ale Mickiewicz nigdy dalszego ciągu nie napisał. Tukaja dokończył A. E Odyniec.

Grób liliją zasiewa,
Zasiewając, tak śpiewa:
„Rośnij, kwiecie, wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko.“

Potém cała skrwawiona,
Męża zbójczyni żona,
Bieży przez łąki, przez knieje
I górą, i dołem, i górą.
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro.
Wrona gdzieniegdzie kracze
I puhają puhacze.

Bieży wdół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika:
Stuk stuk, stuk stuk.

„Kto tam?“ Spadła zapora,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani, nakształt upiora,
Z krzykiem do chatki leci.
„Ha! ha!“—zsiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta;
„Ha, mąż! ha, trup!“

„Niewiasto! Pan Bóg z tobą!
Co ciebie tutaj niesie

Wieczorną słotną dobą?
Co robisz sama w lesie?“

—„Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany,
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Niemasz go z bojowiska,
Ja młoda śród młodzieży,
A droga cnoty ślizka!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojéj głowie!
Król srogie głosi kary,
Powrócili mężowie.

„Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze! wyznałam szczerze.
Ty głoś świętemi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach, pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła.“

—„Niewiasto!—rzecze stary,
Więc ci nie żal rozboju,
Ale tylko strach kary?
Idź-że sobie w pokoju,

Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica;
Bo takie sądy boże,
Iż co ty robisz skrycie,
Mąż tylko wydać może,
A mąż twój stracił życie.“

Pani, z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży nocą do domu,
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą.
Mamo—wołają—mamo!
A gdzie został nasz tato?“
„Nieboszczyk? co? wasz tato?“
— Nie wie co mówić na to—
„Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.“

Czekają wieczór dzieci,
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały,
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,
Nigdy snu na źrenicy.
Bo często w nocnéj porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.

„Dzieci—woła—to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!“

Noc przeszła, zasnąć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu.

„Idź, Hanko, przez dziedziniec,
Słyszę tentent na moście
I kurzy się gościniec,
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?“

—„Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!

—„A witajże! czy zdrowa?
Witajże nam, bratowa!
Gdzie brat?“—„Nieboszczyk brat
Już pożegnał ten świat.“

—„Kiedy?“—„Dawno, rok minął,
Umarł, na wojnie zginął.“
—„To kłamstwo, bądź spokojna,
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy,
Ujrzysz go na twe oczy.“

Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła.
Oczy przewraca w słup,
Z trwogą dokoła rzuca,
„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?“
Powoli się ocuca,
Mdlała niby z radości
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie?
Kiedy przedemną stanie?“

—„Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć,
Nas przyjąć z rycerzami
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,
Poślemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.“

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi;
Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać daléj.

Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużéj,
Czekajcie trochę jeszcze.“

Czekają. Przeszła zima,
Brata niéma i niéma.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą daléj.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda.
Że chcą jechać udają,
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.

Do smaku im gospoda
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niéj gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zdjęci trwogą;
Żyć bez niéj żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie, na jedno zdani,
Idą razem do pani.

„Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.

Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojéj szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata.“

To rzekli i stanęli.
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten to ów okiem strzeli,
Ten to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie,
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu,
Bieży wdół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
Całą mu rzecz wykłada,
Pyta się, co za rada?

—„Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojéj ręki oba,
Ten i ten się podoba,
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki
I wioski, i dostatki.
Dostatek się zmitręża,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!

Nie dla mnie już zamężcie!
Boża nademną kara,
Ściga mię nocna mara.
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się: widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa...
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp i już nad łożem,
Skrwawionym sięga nożem
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mnie, i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mi w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zamężcie!“

—„Córko!—rzecze jéj stary,
Niemasz zbrodni bez kary;
Lecz jeśli szczera skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.“

—„Co, co? jak, jak? mój ojcze!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zabojcze
Na wieki dzieli nas!
Ach znam, żem warta kary

I zniosę wszelkie kary,
Byle się pozbyć mary,
Zrzekę się mego zbioru
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj, mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabojcze
Na wieki dzieli nas!“

Starzec westchnął głęboko
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie:
—„Idź za mąż, póki pora,
Nie lękaj się upiora.
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.

—„Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?“
—„Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechaj-że z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą,
Niech każdy weźmie kwiecie
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać, czyj jaki,
I pójdzie w kościół boży,
I na ołtarzu złoży:

Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.“

Pani, z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swéj układa,
Nigdy w żadnéj potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu,
Nic nie mówiąc nikomu,
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży, i staje,
I staje, i myśli, i słucha,
Zda się, że ją ktoś goni
I że coś szepce do niéj.
Wokoło ciemność głucha;
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!“

I staje, i myśli, i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży,
Włos się na głowie jeży,
Wtył obejrzeć się lęka,
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!“

Lecz zbliża się niedziela,
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegają dwaj młodzi.

Pani, śród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi śród kościoła
I bierze pierwszy wianek,
Obnosi go dokoła:
„Oto w wieńcu lilije,
Ach, czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?“

Wybiega starszy brat.
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie:
—„Tyś moja, mój to kwiat!
Między lilii kręgi
Uplotłem wstążek zwój,
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!“

—„Kłamstwo!— drugi zawoła,
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okażę grób i zdrój:
To mój, to mój, to mój!“

Kłócą się źli młodzieńce,
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza.
Wszczyna się srogi bój,
Szarpią do siebie wieńce:
„To mój, to mój, to mój!“

Wtém drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świece zgasły;
Wchodzi osoba w bieli,
Znany chód, znana zbroja.
Staje... wszyscy zadrżeli...
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem:
„Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie.
Mnie, księże, stułą wiąż!
Zła żono, biada tobie,
To ja, twój mąż, twój mąż!
Źli bracia! biada obu!
Z mego rwaliście grobu,
Zawieście krwawy bój.
To ja, twój mąż, wasz brat,
Wy moi, wieniec mój!
Dalej na tamten świat!“

Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Sklep trzeszczy, głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niéj rosną lilije,
A rosną tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

DUDARZ.

(Myśl z pieśni gminnéj).

Jakiż to dziadek, jak gołąb siwy,
Z siwą aż do pasa brodą?
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszéj niwy.

Starzec na lirze brząka i nuci;
Chłopcy dmą w dudeczki z piórek.
Zawołam starca, niech się zawróci
I przyjdzie pod ten pagórek.

„Zawróć się, starcze, tu na igrzysko,
Tu się po siewbie weselim;
Co nam dał Pan Bóg, tém się podzielim,
I do wsi na noc ztąd blizko.“

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nizko
I usiadł sobie pod miedzą;
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmią piszczałki, biją bębenki,
Płoną stosy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

„Witaj, dudarzu! witamy radzi,
W wesołéj przychodzisz dobie;
Pewnie zdaleka Pan Bóg prowadzi?
Pogrzej się i spocznij sobie.“

Wiodą gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku:
„Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szklaneczkę miodku?

„Widzim i lirę, widzim piszczałki,
Zagraj co nam samotrzeci;
Napełnim za to tłomok, kobiałki
I będziem wdzięczni waszeci.“

—„No, stójcież cicho—rzekł do gromadki,
Cicho — powtarza — w dłoń klaska.
Jeżeli chcecie, zagram wam, dziatki.
A cóż wam zagrać?“—„Co łaska!“

Wziął w ręce lirę i szklankę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
Od wioseczki do wioseczki,
Z borku do borku, z smugów na smugi,
Śpiewając moje piosneczki.

„Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
Ale nikt mię nie rozumie;
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię
I idę daléj a daléj!

„Kto mię zrozumie, ten się użali
I w białe uderzy dłonie,
Uroni łezkę—i ja uronię,
Ale już nie pójdę daléj.“

A wtém grać przestał. Nim znowu zacznie,
Przelotem spojrzał po błoniu;
Lecz w jednę stronę spoziera bacznie,
Któż tam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec,
To uplecie, to rozplecie;
A obok przy niéj stoi młodzieniec
I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jéj widać czoła,
Ku ziemi spuszczone oko;
Nie była smutna ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkiem chwieje trawka zielona,
Choć wiatr przestanie oddychać,
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
Chociaż westchnienia nie słychać.

Wtém z piersi listek zżółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa;
Spojrzy nań, rzuci i zcicha szepnie,
Jakby się na listek gniewa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrenice;
Nagle na oczach łezki zaświecą
I róż wystąpił na lice.

A dudarz milczy, brząka powoli,
A wzrok utopił w pasterce,
Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
Zdał się przedzierać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Skinął na chłopców, ci do multanek,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach, jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec!

„Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łzy i rumieniec.
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?

„Jednemu oddajesz wieniec
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec.

„Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilii i tymianka.“ *)

*) Te tryolety wyjęte są z poezyj Tomasza Zana. (P. p.)

Na to szmer powstał, różne pogłoski
Pomiędzy ciżbą przytomną,
Tę piosnkę śpiewał ktoś z naszéj wioski,
Lecz kto i kiedy, nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę:
„Słuchajcie dzieci, zawoła,
Powiem od kogo mam tę piosenkę,
Może on był z tego sioła.

„Kiedym, wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przypłynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś z tych stron rodem.

„Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu;
Odbił się potém od swéj drużyny
I nie powrócił do domu.

„Często widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach albo u morza
Po nadbrzeżnym błądził piasku.

„Pośród skał nieraz, podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A łzy powierzając wodzie.

„Szedłem ku niemu; spozierał smutnie,
Ale odemnie nie stronił;
Ja-m, nic nie mówiąc, nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.

„Łzy mu się rzucą, lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.

„Poznaliśmy się lepiej nawzajem
I byliśmy przyjaciele.
On zawsze milczał swoim zwyczajem
I ja mówiłem niewiele.

„Potém, gdy troską strawiony długą
Już nie mógł rady dać sobie,
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Ja-m go pilnował w chorobie.

„Nędzny, w mych oczach gasnął powoli.
Raz mię przywołał do łoża:
„Czuję — rzekł—blizki koniec niedoli,
Niech się spełni wola boża.

„Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

„Kiedy mię skał tych dzikich zakątek
Ukrył przed gminu obliczem,
Odtąd już dla mnie świat ten był niczem,
Żyłem na świecie pamiątek.

„Ty, coś mi wiernym został do grobu,
Kończył, ściskając za ręce,
Nagrodzić tobie nie mam sposobu,
Wszakże to, co mam, poświęcę.

„Znasz piosnkę, którą-m po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem;
Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy
I wiesz, jakim śpiewać głosem.

„Mam jeszcze z bladych włosów zawiązkę
I zeschły cyprysu listek;
Naucz się piosnki, weź tę gałązkę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

„Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna
Tę, któréj już nie obaczę;
Może jéj piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze,

„Nagrodzi starca, do domu przyjmie,
Powiedz...“ Wtém oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszéj imię
Wpół-wymówione zostało.

„Silił się jeszcze i w samym skonie
Napróżno coś wyrzec żądał;
Wskazał ku sercu i ku téj stronie,
Na którą żyjąc poglądał.“

Tu przerwał dudarz i szukał okiem,
Dostając listek z papierka,
Lecz już nie była między natłokiem
Ta, któréj szukał, pasterka.

Zdaleka tylko poznał sukienkę,
Bo w chustce skryła twarz boską;
Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę,
Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja gdzie starzec siedział:
„Co to jest?“ wszyscy pytają.
On nic nie wiedział, może i wiedział,
Ale nie mówił przed zgrają.

UCIECZKA.

On wojuje—rok upłynął,
On nie wraca—może zginął.
Panno, szkoda młodych lat,
Od książęcia jedzie swat.

Książę ucztuje we dworze,
A panna płacze w komorze.

Jéj źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice;
Jéj lica, pełnia księżyca,
Dziś nikną jak księżyc w nowiu.
Biada wdziękom, biada zdrowiu!

Matka troszczy się i biedzi;
Książę dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie, szumnie, tłumnie.
„Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mnie do cmentarza,
A pościelą chyba w trumnie!
Ja umrę, gdy on nie żyje,
Ciebie, matko, żal zabije!“

Ksiądz w konfesyonale siedzi:
„Czas, o córko, do spowiedzi.“

Przyszła kuma, wiedźma stara:
„Wypędź księdza, wypędź klechę!
Bóg i wiara—sen i mara!
Kuma w biedzie ma pociechę,
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele,
A ty masz kochanka dary.
Przyszłam zrobić możne czary.

„Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewéj ręki krwi usącz;
A na węża będziem kląć,
W dwie obrączki będziem dąć:
Musi przyjść i ciebie wziąć.“

Panna grzeszy—jeździec śpieszy;
Klęto ducha—klątwy słucha;
Już odemknął zimny gmach:
Panno! panno! czy nie strach?

Ucichł, usnął dzwon zamkowy;
Panna czuwa. Na zegarze
Bije północ: milczą straże,
Panna słyszy dźwięk podkowy...
Brytan, jakby głosu nie miał,
Zawył zcicha i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich

I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich.
Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka.
Wtém koń zarżał, jękła sowa,
Zegar wybił. „Bywaj zdrowa!
Koń mój zarżał, koń mój czeka;
Albo wstawaj, na koń siądź
I na wieki moją bądź!“

Miesiąc świeci; jeździec leci
Po zaroślach i po krzach:
Panno, panno, czy nie strach?

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem; głucho w lesie.
Tu i owdzie wystraszona
W suchéj jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze źrenice
Migają się jako świéce.

„W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Miesiąc nadół schodzi z chmur,
A nim zejdzie miesiąc z chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,
Dziesięć rzek i dziewięć gór.
Za godzinę pieje kur.“

„Gdzie mnie wieziesz?“—„Gdzie? Do domu!
Dom mój na górze Mendoga;

W dzień otwarta wszystkim droga,
W nocy jeździm pokryjomu.“
—„Czy masz zamek?“—„Tak jest, zamek
I zamczysty, choć bez klamek...“

—„Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiedzę na łęku.“
—„Moja luba, siodła imaj
Prawą ręką... Co masz w ręku?
Czy to worek do roboty?“
—„Nie, to jest Ołtarzyk złoty...“

—„Nie czas wstrzymać! Pogoń bieży,
Słyszysz pogoń? tętnią błonia;
Tuż przed koniem przepaść leży;
Rzucaj książkę, puszczam konia!...“

Koń, jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

Lecą bagnem przez manowiec.
Pusto wkoło. Błędny ognik
Tuż przed nimi, jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje: gdzie przeleci,
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

—„Mój kochanku, co za droga!
Tu nie znać śladu człowieka.“
—„Dobra droga, kiedy trwoga;
Krzywo jedzie, kto ucieka!

Śladów nie masz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości.
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.

„W cwał, mój koniu, koniu, w cwał!
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon;
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór;
Za godzinę drugi kur!“

—„Mój kochanku, wstrzymaj wodze!
Koń się lęka, bokiem sadzi,
Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi.“
—„Moja luba, jakie sznurki,
Jakie wiszą tam kieszonki?“
—„Mój kochanku, to paciórki,
To szkaplerze i koronki!...“

—„Sznur przeklęty! Sznur znienacka
Rumakowi miga w oczy!
Patrz, jak zadrżał, bokiem skoczy...
Moja luba, rzuć te cacka!“

Koń, jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.
—„Co to za cmentarz, mój miły?“
—„To mur, co mych zamków strzeże.“

—„A te krzyże, te mogiły?“
—„To nie krzyże, to są wieże.
Mur przeskoczym, przejdziem progi,
Tu na wieki koniec drogi.

„Stój, mój koniu, koniu, stój!
Przebyłeś, nim zapiał kur,
Tyle rzek, i skał, i gór,
A tuś zadrżał, koniu mój?
Wiem ja, koniu, czego drżysz:
Mnie i tobie boli krzyż.“

—„Czegoś stanął, mój kochanku?
Zimna rosa mię spłukała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drżę cała.“
—„Moja luba, przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę;
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może...

„Jaki masz tam ćwiek ze stali?“
—„To krzyżyk, co matka dała.“
—„Ten krzyżyk ostry jak strzała,
Twarz mi rani, skronie pali!
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!“

Krzyż na ziemię padł i zniknął.
Jeździec pannę wpoły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął;
Rumak ludzkim śmiechem ryknął;

Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.
Nim ksiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jedźcem i panną.

Na cmentarzu cisza była.
Stoją krzyże, głazy leżą;
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

Ksiądz nad grobem długo stał
I mszę za dwie dusze miał.

Około 1820.

RENEGAT.

(Balada turecka).

I.

Co się niedawno stało w Iranie,
Opowiem światu całemu:
Na kaszemirskim usiadł dywanie
Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
Pląsają branki Kirgisa;
U tych w źrenicach szafir niebieski,
U tamtych cienie Eblisa.

Basza nie widzi, basza nie słucha;
Turban zawiesił nad okiem,
Drzemie i dymy ciągnąc z cybucha,
Okrył się wonnym obłokiem.

Wtém u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
Rozstąpiły się sług rzędy;
Nieznaną brankę wiódł Kyzlar-aga,
Skłonił się i rzekł: „Efendy!

„Którego jasność takiéj jest mocy
Między gwiazdami dywanu,
Jak śród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldeboranu!

„Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu!
Bom dobrych nowin tłumaczem:
Oto służebny wiatr z Lechistanu
Darzy cię nowym haraczem.

„Padyszach nie ma takiéj krzewiny
W sadzie rozkoszy w Stambule;
Ona jest rodem z zimnéj krainy,
Którą wspominasz tak czule.“

Tu gazę, co jéj wdzięki przygasza,
Odsłonił;—cały dwór klasnął;
Spojrzał raz na nią trzytulny basza,
Wypuścił cybuch i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu spada,
Biegą przebudzić—o dziwy!
Usta zsiniałe, twarz śmiercią blada,
Basza renegat nieżywy!

II.

„O dziwy! zgroza!—wołają janczary
I mędrce w prawie ćwiczeni,
Tę Nazaretkę, za okropne czary,
Zakopiem w stosie kamieni.

„Owoż to Hassan, ów renegat basza,
Sroższy nad lwa i tygrysa,
Co go nie tknęła żadna dziewa nasza,
Ni Dżurdżystanu hurysa;

„On, gdy hanowi na srebrny półmisek
Rzucił łeb księcia Iflaku,
Wdzięczny mu Hagan dziesięć odalisek
Z własnego przysłał orszaku.

„Wszystkiemi wzgardził! Teraz go zabija
Postać lękliwéj gazeli;
Jako motyla lada modra żmija
Promieniem oczu zastrzeli.

„Niechże tę żmiję bej na pastwę czerni
Z warownéj straży przywiedzie!
Już od godziny zebrali się wierni
I kady z miasta już jedzie...“

Przyjechał kady, zbierają kamienie;
Czekają—próżna nadzieja!
Bej nie przychodzi, odbite więzienie:
Ani dziewicy ni beja!...

1824.

CZATY.

Balada ukraińska.

Z ogrodowéj altany wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą.
Odchyliwszy zasłony, spojrzał w łoże swéj żony,
Pojrzał, zadrżał, nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi i rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca i duma.
Wzrok od łoża odwrócił, w tył wyloty zarzucił
I zawołał kozaka Nauma.

„Hej, kozaku, ty chamie! czemu w sadzie przy bramie
Niema nocą ni psa, ni pachołka?...
Weź mi torbę borsuczą i janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.“

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowém siedzeniu coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w bieliźnie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
I pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Klęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niéj: „Kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia,
Wojewoda już zgóry zapłacił?

„Ja, choć z takim zapałem tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko przedała na wieki!

„Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I z twych ustek różanych, i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodycze wysysał!

„Ja na wiernym koniku, przy księżyca promyku,
Biegę tutaj, przez chłody i słoty,
Bym cię witał westchnieniem i pożegnał życzeniem
Dobréj nocy i długiéj pieszczoty!...“

Ona jeszcze nie słucha; on jéj szepce do ucha
Nowe skargi, czy nowe zaklęcia;
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklęknęli za krzakiem
I dobyli z za pasa naboje;
I odcięli zębami i przybili sztęflami
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie! kozak powiada, jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić téj dziewki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię przecho-
I stoczyła się łza do panewki.“ [dził

„Ciszéj, plemię hajducze, ja cię płakać nauczę!
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;
Podsyp zapał, a żywo zczyść paznogciem krzesiwo,
Potém palnij w twój łeb, lub w tę dziewkę.

„Wyżej, w prawo, pomału, czekaj mego wystrzału:
Pierwej musi w łeb dostać pan młody.“
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił
I ugodził w sam łeb—wojewody.

Około 1820.

TRZECH BUDRYSÓW.

(Balada litewska).

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

„Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Po nad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony
I u kupców tam dziengi jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty;

Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełłem niech trzeci po za Niemen przeleci;
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I mnie ztamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki ko- [chanki,
Wesolutkie jak młode koteczki.
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki. *)

„Ztamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym czło- [wiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę,
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.“

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę.
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niéma i niéma;
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.

*) W Albumie Piotra Moszyńskiego znajduje się też i ballada Trzech Budrysów. Oprócz kilku drobnych odmian, czytamy tam następną, w wielu wydaniach opuszczoną strofę:

„Piersi twarde jak gruszki, a tak małe ich nóżki,
Że za trzewik dziewczynie swawolnéj
Często służy kwiat pewny, zwany trepkiem królewny,
Kwiat nie większy od lilii polnéj.“

„Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble!“
—„Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!“

Po śnieżystéj zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bursztynu?“
—„Nie, mój ojcze, to Laszka synowa.“

Po śnieżystéj zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele,
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

Około 1828.

OBJAŚNIENIA.

Str. 14. Świtezianka.

Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się ondiny czyli nimfy wodne, które gmin nazywa Świteziankami.

Str. 28. Kurhanek-pagórek.

Str. 34. To lubię.

Ta balada jest tłumaczeniem wiejskiéj pieśni. (Jakkolwiek zawiera opinie fałszywe i z nauką o czyścu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmieniać, aby tém wyraźniej zachować charakter gminny i dać poznać zabobonne mniemania ludu naszego. Najbłędniejsze zaś jest zakończenie téj pieśni, przez śpiewanie Anioł Pański). *)

*) Ustęp objęty (. . .) znajduje się w nocie do wydania wileńskiego z roku 1822.

Str. 74. Ucieczka.

Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześciańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali; Bürger ułożył z niéj sławną swoję Lenorę. Nie znając piosnki gminnéj niemieckiéj, nie można wiedzieć, o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą baladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci i te służyły mi za wzór stylu.

Str. 75. Ma kwiat paproć i car ziele.

Zioła używane do gusłów w Litwie.

Str. 76. Dom mój na górze Mendoga.

Góra Mendoga pod Nowogródkiem, obrócona na cmentarz; ztąd w tamtych okolicach Litwy: „pójść na Mendogową górę“ znaczy umrzeć.

Str. 81. Odsłonił;— cały dwór klasnął.

Wyrażenie europejskie. W duchu wschodnim należałoby powiedzieć: cały dwór włożył do ust otwartych milczenia palec podziwu.

Str. 85. A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

Ksiądz po staremu, zamiast: książę.

SONETY.

SONETY EROTYCZNE. *)

Quand' era in parte altr' uom da quel, ch'io sono.
Petrarcą

I.

PRZYPOMNIENIE.

Lauro! czyliż te piękne wieków naszych lata
Jeszcze się kiedy twojéj malują pamięci,
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata?

Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata,
Strumień, co z miłym szmerem po łące się kręci;
Tam nas często, wzajemne tłumaczących chęci,
Późnéj nocy miłośna osłoniła szata.

A księżyc, zpod bladego wyjrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękom twoim przydając uroku.

*) Sonet „Przypomnienie“ wyszedł po raz pierwszy z druku w r. 1822; sonet „Poezyo, gdzie cudny pędzel twojéj ręki“ napisany był prawdopodobnie w początkach r. 1827; wszystkie inne, zarówno erotyczne jak krymskie, wyszły z druku po raz pierwszy w r. 1826; czas ich napisania przypada w mniejszéj części na lata 1822 — 1824, w większéj na r. 1825 i początek 1826-go.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie!

II.

DO LAURY.

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznaném oku dawnéj znajomości pytał
I z twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał,
Jak z róży, któréj piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił;
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał;
Zdało się, że ją anioł po imieniu witał
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją!
Jeśli cię mém spojrzeniem, jeśli głosem wzruszę,
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę!
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę.

III.

Mówię z sobą, z drugimi plączę się w rozmowie;
Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę;
Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę. Gdy na łoże padnę,
W nadziei, że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie.

Zrywam się, biegę, składam na pamięć wyrazy,
Któremi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu,
Składane, zapomniane po milion razy.

Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję czemu,
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy,
Aby goreć nanowo—milczeć podawnemu.

IV.

Nieuczona twa postać, niewymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska,
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszeć zblizka,
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Wczoraj brzmiały i pieśni i głośna rozmowa;
Pytano się o twoich rówiennic nazwiska,
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska:
Ty weszłaś, każdy święte milczenie zachowa.

Tak śród uczty, gdy śpiewak do chóru wyzywał,
Gdy koła tańcujące wiły się po sali,
Nagle staną i zmilkną; każdy zapytywał,

Nikt nie wiedział dlaczego w zadumieniu stali.
„Ja wiem, rzecze poeta—anioł przelatywał.“
Uczcili wszyscy gościa; niewszyscy poznali.

V.

WIDZENIE SIĘ W GAJU.

„Tyżeś-to i tak późno?“—„Błędną miałem drogę
Śród lasów, przy niepewnym księżyca promyku.
Tęskniłaś? myślisz o mnie?“—„Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśleć o czém inném mogę!“

—„Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę.
Ty drżysz! czego?“—„Ja nie wiem. Błądząc po gaiku,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku;
Ach! musimy być winni, kiedy czujem trwogę!“

—„Spojrzyj mi w oczy, w czoło: nigdy z takiém czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmiele.
Przebóg! jesteśmy-ż winni, że siedzimy społem?

„Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele
I zabawiam się z tobą, mój ziemski aniele,
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem.“

VI.

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieje,
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszczam, a ona łzy leje.

Ja bronię się ponętom; ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los opłakany.
Nie wiemy sami, co się w sercach naszych dzieje.

Jest-że to ból lub rozkosz? Gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwycę płomienia...
Luba! czyż mogę temu dać imię cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą...
Luba! czyliż to mogę nazywać rozkoszą?

VII.

RANEK I WIECZÓR.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych wianku
A na zachodzie księżyc blade lice mroczy;
Róża za słońcem pączki rozwinione toczy,
Fijołek klęczy, zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie. Ukląkłem na ganku;
Ona, muskając sploty swych złotych warkoczy:
„Czemu—rzekła—tak rano smutne macie oczy,
I miesiąc, i fijołek, i ty, mój kochanku?“

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem.
Wraca księżyc—twarz jego pełna i rumiana,
Fijołek podniósł listki otrzeźwione mrokiem.

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i z weselszém okiem.
Znowu u nóg jéj klęczę—tak smutny jak zrana.

VIII.

DO NIEMNA.

Niemnie, domowa rzeko moja! Gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potém w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc z chlubą na cień swéj urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie;
Tu obraz jéj malowny w srebrnéj fali łonie
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody!

Niemnie, domowa rzeko! gdzież są tamte zdroje,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja? gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło... a czemuż nie przejdą łzy moje?

IX.

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

(Z Petrarki).

Błogosławiony rok ów, miesiąc i niedziela,
I dzień ów, i dnia cząstka, i owa godzina,
I chwila, i to miejsce, gdzie moja dziewczyna
Uczucia mi natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Zkąd amorek wygląda i łuczek napina;
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach! i dotąd strzela.

Błogosławię ci pierwsza piosnko nieuczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potém ojczysta powtarzała strona.

Błogosławię ci pióro, którém w czas daleki
Wsławiałem ją, i moja pierś błogosławiona,
W któréj Laura mieszkała i mieszka na wieki!

X.

(Z PETRARKI)

Senuccio i'vo'che sappi.

Chcecie wiedzieć co cierpię, rówiennicy moi?
Odmaluję najwierniej ile pióro zdoła.
Mary ja dotąd, pośród pamiątek kościoła,
Myślą gonię i duch mój o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, owdzie zamyślona stoi,
Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła,
Tu gniewna, tam posępna, tu znowu wesoła,
Tu swe lica w łagodność, tu w powagę stroi.

Tam piosenkę nuciła, tu mi dłoń ścisnęła,
Tu usiadła, tam naszéj rozmowy początek,
Ztąd biegła, tu na piasku imię moje kréśli,

Tam słówko powiedziała, tu zcicha westchnęła,
Tam się zarumieniła.—Ach, śród tych pamiątek
Wiecznie miota się serce i plączą się myśli!

XI.

STRZELEC.

Widziałem jak dzień cały, pośród letniéj spieki,
Błąkał się strzelec młody. Stanął nad strumieniem,
Długo poglądał wkoło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki.

„Chcę widzieć niewidziany.“ Wtém leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Dyany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem,
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał i oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma...

Odszedł nieco, jakoby swéj myśli zaniechał.
Wtém dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną broń trzyma,
Bierze na cel; mgła bliżej, lecz nikt nie nadjechał.

XII. *)

Poezyo! gdzie cudny pędzel twojéj ręki?
Gdy chcę malować, za cóż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak z za krat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?

Poezyo! gdzie twoje melodyjne dźwięki?
Śpiewam—ona mojego nie usłyszy pienia,

*) Z Albumu Piotra Moszyńskiego.

Jako słowik, król śpiewu, nie słyszy strumienia,
Który w podziemnéj głębi rozwodzi swe jęki.

Nietylko dźwięk i kolor—aniołowie myśli,
Lecz i pióro, roboczy niewolnik poety,
Na cudzéj ziemi nie zna praw dawnego pana

I zamiast pieśni, znaki niepojęte kréśli:
Muzyczne znaki pieśni... Lecz ta pieśń, niestety,
Nigdy jéj miłym głosem nie będzie śpiewana!

XIII.

REZYGNACYA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi;
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha—że kochał zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa rozkosz, co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłém sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją.

I serce ma podobne do dawnéj świątyni,
Spustoszałéj niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XIV.

DO ***.

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz? Zgubna twa prostota!
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie;
Uciekaj, nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Szczerość—jeszcze mi jedna pozostała cnota:
Wiedz, że niegodny ogień zapalasz w mém łonie;
Lecz umiem żyć samotny—i pocóż przy zgonie
Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię rozkosz, lecz zwodzić nadto jestem dumny.
Tyś dziecko; mnie namiętne przepaliły bole;
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole,

Moje, gdzie są przeszłości cmentarze i trumny.
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

XV.

Pierwszy raz jam niewolnik z mojéj rad niewoli;
Patrzę na ciebie—z czoła nie znika pogoda;
Myślę o tobie—z myśli nie znika swoboda;
Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.

Nieraz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
Nieraz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda,
Lecz wtenczas i rozkosznéj złorzeczyłem doli.

Nawet owę, gdy owę kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga
I żal teraz na samę imienia jéj wzmiankę!

Z tobą tylkom szczęśliwy, z tobą, moja droga!
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga.

XVI.

Luba! ja wzdycham; pamięć niebieskiéj pieszczoty
Trują mi okropnego rozmyślania chwile.
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może—boję się wyrzec—pustoszą zgryzoty?

Luba! i cożeś winna, że twych ocząt groty
Tak palące, że usta śmieją się tak mile?
Zbyt ufałaś méj cnocie, zbyt swéj własnéj sile
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze z sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze,
Nie będę mojéj żebrać przebaczenia zbrodni,
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

XVII.

DZIEŃDOBRY.

Dzieńdobry! Nie śmiem budzić. O, wdzięczny widoku!
Jéj duch napoły w rajskie wzleciał okolice,
Napoły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce napół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzieńdobry! Już westchnęła, błysnął promyk w oku.
Dzieńdobry! Już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice.
Dzieńdobry! Słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzieńdobry; lecz twe senne wdzięki
Odebrały mi śmiałość! Niech się wprzódy dowiem:
Złaskawém wstajesz sercem, z orzeźwioném zdrowiem?

Dzieńdobry! Nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść? Odchodzę: oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko—dzieńdobry ci powiem.

XVIII.

DOBRANOC.

Dobranoc! Już dziś więcej nie będziem bawili,
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy.
Dobranoc! Niech odpoczną po łzach twoje oczy;
Dobranoc! Niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc! Z każdéj ze mną przemówionéj chwili
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy;

Niechaj gra w twojém uchu, a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili.

Dobranoc! Obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica.—Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować... Dobranoc!... zapięta...

Dobranoc! Już uciekłaś i drzwi chcesz zatrzasnąć?
Dobranoc ci przez klamkę. Niestety! zamknięta!
Powtarzając dobranoc, nie dałbym ci zasnąć.

XIX.

DOBRYWIECZÓR.

Dobrywieczór! On dla mnie najsłodszém życzeniem.
Nigdy, czy to przed nocą dzieli nas zapora,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się, nie witam z takiém zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem.
Ty nawet, milczeć rada i płonić się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszém okiem, głośniejszém rozmawiasz westchnie-
[niem.

Niechaj dzieńdobry wschodzi tym, co społem żyją,
Objaśniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobranoc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z rozkoszy kielicha trosk osłodę piją;
A tym, co się kochają i swą miłość kryją,
Dobrywieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XX.

DO D. D.

Wizyta.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża; wpada galonowy;
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy;
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A jeśli niedość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, stygową zasłonić się tamą.

O, przeklęty nudziarzu! Ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz, co go czeka ostatnia katusza;
Ty pleciesz błahe dzieje wczorajszéj reduty...

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza:
Teraz odetchnę nieco, wstąpi we mnie dusza.
O bogi! Znowu siada, siedzi jak przykuty!

XXI.

DO WIZYTUJĄCYCH.

Pragniesz miłym być gościem? czytaj rady moje:
Niedość, wszedłszy, donosić, o czém wszyscy wiedzą,
Że dzisiaj tam walcują, ówdzie obiad jedzą,
Zboże tanie, deszcz pada, a w Grecji rozboje.

Jéśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą; jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach, a coś złego w oku;
Wiesz jak ich trzeba witać? „Bywaj zdrów, bądź zdro-
A kiedy ich masz znowu odwiedzić?—Po roku. [wa!“

XXII.

POŻEGNANIE.

Do D. D.

Odpychasz mię?—Czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał! Czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego! Czy że nie dam złota?
Lecz jam go wprzódy nie dał, a ciebie posiadał.

I niedarmo!—Choć skarbów przed tobą-m nie składał,
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota
Na wagę duszy mojéj, pokojem żywota.
Dlaczegoż mię odpychasz? Nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojem:
Pochwalnych wierszy chciałaś!—Marny pochwał dymie!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie,
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem,
I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe
[imię.

XXIII.

DANAIDY.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubéj gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, któréj złoto daję, prosi o piosenki;
Ta, któréj serce daję, żądała méj ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty.

Danaidy! Rzucałem w bezdeń waszéj chęci
Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę;
Dziś, z hojnego—jam skąpy, z czułego—szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę,
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko—prócz
[serca.

XXIV.

EKSKUZA.

Nuciłem o miłostkach w rówieników tłumie;
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:
Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzalsze wchodząc lata, przy starszym rozumie
Czemu serce płomykiem tak dziecinnym pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdéj nucił dumie?

Wielkomyślna przestroga! Wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna
Ledwiem zaczął przegrywać, aż cała drużyna

Rozpierzchła się, unosząc zadziwione słuchy.
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.
Taki wieszcz, jaki słuchacz. Lecz przyjdzie godzina...

OBJAŚNIENIA.

Str. 107 Alcejski chwytam bardon i strojem Ursyna...

Bardon, czyli lutnia alcejska, tak nazwana od sławnego liryka greckiego Alceusza, który urodzony w Mitylenie, żył około roku 604 przed Chrystusem. —Ursyn, przydomek JulianaNiemcewicza.

Str. 107. Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.

Leta, rzeka zapomnienia w Elizyum, z któréj piły dusze zmarłych, aby zapomnieć doznanych na ziemi cierpień; a kiedy po kilku wiekach w inne wracały ciała, znowu z niéj pić miały, aby wygluzować z pamięci tajemnice tamtego świata. (Mytologiczne)

SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.
Goethe.

TOWARZYSZOM PODRÓŻY KRYMSKIÉJ
AUTOR.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi, ni kurhanu...
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi;
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy!—Jak cicho!—Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż ślizką piersią dotyka się zioła...
W takiéj ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy.—Jedźmy! nikt nie woła...

II.

CISZA MORSKA.

Na wysokości Tarkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie;
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda,
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda
Zbudzi się, aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi, gdy wojnę skończono,
Drzemią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony;

O myśli! w twojéj głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi wpośród złych losów i namiętnéj burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niém szpony.

III.

ŻEGLUGA.

Szum większy, gęściej morskie snują się straszydła;
Majtek wbiegł na drabinę; gotujcie się, dzieci!

Wbiegł, rozciągnął się, zawisł w niewidzialnéj sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr! wiatr! Dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistéj zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale i wskróś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu,
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem,

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem, co to być ptakiem!

IV.

BURZA.

Zdarto żagle, ster prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnéj gromady, pomp złowieszcze jęki;
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki;
Słońce krwawo zachodzi, z niém reszta nadziei.

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą napół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół, żegnając się, pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy, kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma z kim się żegnać.

V.

WIDOK GÓR ZE STEPÓW KOZŁOWA.

PIELGRZYM I MIRZA.

PIELGRZYM.

Tam!... czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonéj chmury?
Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawany nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!
Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury
Tę latarnię zawiesił śród niebios obwodu?

MIRZA.

Tam?... Byłem; zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jéj gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda;
Minąłem grom drzemiący w kolebce z obłoków,
Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
To Czatyrdah!

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

BAKCZYSARAJ.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina!
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Skróś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia
I pisze Baltazara głoskami „RUINA.“

W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu; dotąd stoi cało
I perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało?
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie.
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało!

VII.

BAKCZYSARAJ W NOCY.

Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze;
Zawstydziło się licem rubinowém zorze,
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce;
Śród nich po szafirowym żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze,
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Dalej czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa,

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

VIII.

GRÓB POTOCKIÉJ.

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznemi sady,
Uwiędłaś, młoda różo! Bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady,
Dlaczegoż na téj drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady?

Polko! i ja dni skończę w samotnéj żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnéj ocuci,
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy blizką mogiłę i dla mnie zanuci.

IX.

MOGIŁY HAREMU.

Mirza do Pielgrzyma.

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allaha; tu perełki Wschodu
Z morza uciech i szczęścia porwała zamłodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona;
Nad niemi turban zimny błyszczy śród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów, i ledwie u spodu
Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

O wy, róże edeńskie! u czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liściami,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasz spojrzenie cudzoziemca plami...
Pozwalam mu, darujesz, o wielki Proroku!
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

BAJDARY.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną, jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem zmroku,
Jak w rozbitém zwierciedle, tak w mém spiekłém oku
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu niema. Skaczę w morskie łona;
Czarny, wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży;
Czekam, aż myśl, jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży.

XI.

AŁUSZTA W DZIEŃ.

Już góra z piersi mgliste otrząsa chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa,
Jak z różańca kalifów, rubin i granaty.

Łąka w kwiatach; nad łąką latające kwiaty,
Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldakimem z brylantów okryły niebiosa;
Dalej szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.

A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi;
W jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiéj krawędzi,
A na głębinie fala lekko się kołysa
I kąpią się w niéj floty i stada łabędzi.

XII.

AŁUSZTA W NOCY.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wolnieje posucha;
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów,
Rozbija się, rozlewa strumienie szkarłatów
I gaśnie. Błędny pielgrzym ogląda się, słucha.

Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,
Źródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów;
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i ciemnoty.
Wtém budzą mię rażące meteoru błyski,
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty!...

Nocy wschodnia! ty, nakształt wschodniéj odaliski,
Pieszczotami usypiasz, a kiedym snu blizki,
Ty iskrą oka znowu budzisz do pieszczoty.

XIII.

CZATYRDAH.

Mirza.

Drżąc, muślemin całuje stopy twéj opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór padyszachu!
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel, pilnujący edeńskiego gmachu;
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu,
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam, czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy,
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemie, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko, co mówi Bóg do przyrodzenia.

XIV.

PIELGRZYM.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice.
Dlaczegoż ztąd ucieka serce w okolice
Dalekie i—niestety!—jeszcze dalsze czasy?

Litwo! Piały mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki!—tak różna wabi mię ponęta!
Dlaczegoż roztargniony wzdycham bez ustanku
Do téj, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubéj dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jéj wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świeże me ślady, czyż o mnie pamięta?

XV.

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ W CZUFUT-KALE.

MIRZA I PIELGRZYM.

MIRZA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć nabok lica;
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.
Dzielny koń! Patrz, jak staje, głąb okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca

I zawisnął.—Tam nie patrz! Tam spadła źrenica,
Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza;
I ręką tam nie wskazuj; nie masz u rąk pierza:
I myśli tam nie puszczaj, bo myśl, jak kotwica

Z łodzi drobnéj ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu.

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem—com widział, opowiem—po śmierci,
Bo w żyjących jezyku niema na to głosu.

XVI.

GÓRA KIKINEIS.

MIRZA.

Spojrzyj w przepaść! Niebiosa leżące nadole,
To jest morze. Śród fali, zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Roztoczył kręgiem, szerszym niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole.
Ta wyspa żeglująca w otchłani—to chmura!
Z jéj piersi na pół swiata spada noc ponura.
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jéj czole?

To jest piorun.—Lecz stójmy! otchłanie pod nogą;
Musim wąwóz przesadzić w całym konia pędzie.
Ja skaczę; ty z gotowym biczem i ostrogą,

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie.
Jeśli tam pióro błyśnie, to mój kołpak będzie;
Jeżeli nie — już ludziom nie jechać tą drogą.

XVII.

RUINY ZAMKU W BAŁAKŁAWIE.

Te zamki połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach jak czaszki olbrzymie;
W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę. Szukam herbów śladu;
Jest i napis; tu może bohatera imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzémie,
Obwinione, jak robak, liściem winogradu.

Tu Grek dłutował w murach ateńskie ozdoby,
Ztąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza
I mekański przybylec nucił pieśń namaza.

Dziś sępy czarném skrzydłem oblatują groby,
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

XVIII.

AJUDAH.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się, buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale,

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie i napowrót zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce. o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody;
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twych skroni. *)

JASTRZĄB,

na wysokości Kikineis (do *).

Biedny jastrząb, śród niebios porwała go chmura,
W obcy zaniosła żywioł i dalekie strony;
Morską przesiąkły rosą, wichrami znużony,
Śród ludzi na tym maszcie roztoczył swe pióra.

Lecz go żadna bezbożna nie pochwyci ręka;
Bezpieczny, jakby siedział na leśnéj gałęzi.
On jest gościem, Giovanno—kto gościa uwięzi,
Jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka.

Wspomnij na moje, wspomnij na twe własne dzieje;
I tyś na życia morzu—widziałaś straszydła,
I mnie wicher odpędził, słota zlała skrzydła.

Pocóż te słowa miłe, te zdradne nadzieje?
Sama w niebezpieczeństwie, drugim stawisz sidła...

---

*) Załączamy tu w przypisku niezupełny sonet p. n. „Jastrząb,“ według rękopisu, który ze zbiorów Maurycego Wolffa ogłosił Z. L.

OBJAŚNIENIA.

Str. 109. Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które w czasie lata kwieciem okryte, nadają przyjemną rozmaitość płaszczyznom.

Str. 112. Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury.

Diwy, podług starożytnéj mytologii Persów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potém wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata, za górą Kaf.

Str. 112. Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!

Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

Str. 112. Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury.

Chylat, suknia honorowa, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

Str. 112. To Czatyrdah!

Najwyższa w pasmie gór krymskich na brzegu południowym; daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiéj chmury sinawego koloru.

Str. 113. Bakczysaraj.

W dolinie otoczonéj ze wszech stron górami, leży miasto Bakczysaraj, niegdyś stolica Girajów, chanów krymskich.

Str. 113. I pisze Baltazara głoskami „r u i n a.“

„Téjże godziny wyszły palce ręki człowieczéj, które pisały przeciwko świecznikowi na ścienie pałacu królewskiego, a król (Baltazar) widział część ręki, która pisała.“ Proroctwo Danielowe. V. 5, 25, 26, 27, 28.

Str. 113. Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce.

Mesdżid lub dżiami są to zwyczajne meczety. Zewnątrz, po rogach świątyni, wznoszą się cienkie, wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami — m e n a r e — zowią. Są one w połowie swéj wysokości otoczone galeryą, s z u r f e, z któréj m u e z z i n o w i e, czyli oznajmiciele, zwołują lud na modlitwę. To zwoływanie, wyśpiewane z galeryi, zowie się izanem. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach, daje się słyszeć izan ze wszystkich minaretów, a czysty i donośny głos muezzinów przyjemnie rozlega się w powietrzokręgu miast muzułmańskich, w których, z powodu nieużywania kołowych pojazdów, szczególniejsza cichość panuje. (Sękowski, Collectanea. T. I. str. 66).

Str. 114. Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa.

Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to Lucyper u Mahometanów.

Str. 114. Budzi się błyskawica i pędem Farysa.

Farys, rycerz u Arabów-Beduinów.

Str. 114. Grób Potockiéj.

Niedaleko pałacu chanów wznosi się mogiła, w guście wschodnim zbudowana, z okrągłą kopułą. Jest powieść między pospólstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerym Giraja dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanéj P o d r ó ż y p o K r y m i e, Murawiew-Apostoł, utrzymuje, że powieść ta jest bez zasady i że grobowiec kryje zwłoki jakiéjś Gruzinki. Nie wiemy, na czém opiera swoje mniemanie; bo zarzut, iż Tatarowie w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potockich uprowadzać nie mogli, nie jest dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, zkąd niemało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polsce liczne są familie szlacheckie imienia Potockich, i wspomniona branka niekoniecznie mogła należeć do znakomitego domu dziedziców Humania, który najazdom tatarskim lub rozruchom kozackim mniej był dostępnym. Z powieści gminnéj o grobowcu bakczysarajskim poeta rosyjski Aleksander Puszkin z właściwym sobie talentem napisał powieść: F o n t a n n a B a k c z y s a r a j s k a.

Str. 115. Mogiły haremu.

W rozkosznym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych, stoją grobowce z białego marmuru chanów i sułtanów, ich żon i krewnych. W poblizkich dwóch budowach leżą trumny zwalone bez ładu; były one niegdyś bogato wybite, dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu.

Str. 115. Nad niemi turban zimny błyszczy śród ogrodu.

Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawią kamienne zawoje, innego dla obu płci kształtu.

Str. 115. Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

Giaur znaczy niewierny. Tak Muzułmanie nazywają chrześcian.

Str. 116. Bajdary.

Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdża się na brzeg południowy Krymu.

Str. 116. Ałuszta w dzień.

Jedno z miejsc najrozkoszniejszych Krymu. Tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich, jeszcze zielonych.

Str. 116. Rannym szumi namazem niwa złotokłosa.

Namaz, modlitwa muzułmańska, którą odprawiają, siedząc i bijąc pokłony.

Str. 116. Jak z różańca kalifów rubin i granaty.

Muzułmanie używają w czasie modłów różańca, który u znakomitych osób z kosztownych bywa kamieni. Granatowe i morwowe drzewa, czerwieniejące się rozkosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

Str. 118. O minarecie świata! o gór padyszachu!

Padyszach, tytuł sułtana tureckiego.

Str. 118. Gabryel pilnujący edeńskiego gmachu.

Zostawiam imię Gabryela, jako powszechniej znajome; ale właściwym strażnikiem niebios podług mytologii wschodniéj jest Rameh — konstelacya Arcturus—jedna z dwóch wielkich gwiazd, zwanych es semekein.

Str. 119. Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice.

Salhir, rzeka w Krymie, wypływa z podnóża Czatyrdahu.

Str. 119. Droga nad przepaścią w Czufut-kale.

Miasteczko na wyniosłéj skale; domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych; ścieżka wiodąca na górę jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samém mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały; spojrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmiernéj.

Str. 119. Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.

Koń krymski w trudnych i niebezpiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności; nim krok postawi, trzymając na powietrzu nogę, szuka kamienia i probuje, czy bezpiecznie stąpać i ostać się może.

Str. 120. To jest morze. Śród fali zda się, że ptak-góra.

Ptak-góra, znajomy z Tysiąca Nocy. Jest to sławny w mytologii perskiéj, powielekroć od poetów wschodnich opisywany, ptak Simurg. „Wielki on — powiada Firdusi w Szah-Nameh—jak góra, a mocny jak twierdza; słonia unosi w szponach swoich,“ i dalej: „ujrzawszy rycerzy (Simurg) zerwał się jak chmura ze skały, na któréj mieszka i ciągnął przez powietrze jak huragan, rzucając cień na wojska jeźdźców.“ Obacz Hammera: Geschichte der Redekünste Persiens. Wien 1818. str. 65.

Str. 120. Ta wyspa żeglująca w otchłani—to chmura!

Z wierzchołka gór wzniesionych nad krainę obłoków, jeżeli spojrzymy na chmury płynące ponad mo-

rzem, zdaje się, że leżą na wodzie, w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem z Czatyrdahu.

Str. 121. Ruiny zamku w Bałakławie.

Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków, przychodniów z Miletu. Później Genueńczycy wznieśli na tém miejscu twierdzę Cembalo.

PIEŚNI MIŁOSNE I RELIGIJNE.

EROTYKI I ELEGIE.

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! Zkąd ta noc i słota?
Była jutrznia i cisza, gdym był blizki brzegu;
Dziś jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!
A więc porzucić korab' żywota?

Szczęśliwy, czyjéj przewodniczą łodzi
Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,
Ta puhar daje, ta odsłania lice,
Tamtéj widok oświeca, a téj nektar słodzi.

Szczęśliwy, saméj kto ślubował Cnocie!
Dopłynie, kędy sławy góruje opoka,
Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie;
Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
Dopłynie we krwi i w pocie.

A komu Piękność pokaże oblicze,
Potém śród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei z sobą mary unosząc zwodnicze,
Ach, jakaż później czczość w obszarach świata!
Już niedość krzepią i Cnoty słodycze.

Zamiast piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia,
Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jéj rączek, chwytać za ręce z kamienia
I długo śród takiego nie ustać zawodu.

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużej ćmieni, więcej kołatani...
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie.
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niéj wylecieć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie: tak na mnie świat woła...
Za cóż głos ten wewnętrznéj wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła
I raz rzucona, krąży po niezmiernéj głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła.

Któż to krzyknął od lądu? jakie słychać żale?
Wyż to, o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnéj skale
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?

Jeśli się rzucę, kędy rozpacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga!

Bo wam mniej widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru, co tu liny targa;
Grom, co tu bije, dla was tylko błyska!

I razem zemną, pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
Chcąc mnie sądzić, nie zemną trzeba być, lecz wemnie.
Ja płynę daléj — wy idźcie do domu.

17 kwietnia 1821 r.

DO MALARZA. [1])

Stwórco malownych twarzy, mocnom tobie winny,
Nad stwórcę żywych więcej tyś dla mnie uczynny.
Szczęście, wzięte z mych ramion ukazem wyroku,
Ty na wieki mojemu zapewniłeś oku.
Ztąd, chociaż zdawna wszelkim uczeniom się wstrętny,
Twojego chciałbym kunsztu stać się umiejętny.
Kiedy kłótnicy trąbią adwokatom w uszy,
Za doktorem biegają trupy z resztą duszy;
Kto szczery Akadema, hołdownik Minerwie,
Żmudzkich łbów obuczaniem rychło pierś oberwie,
A mędrzec arcytworów napisawszy wiązkę,
Dym pochwał ma za napój, wawrzyn na zakąskę...
Tobie twarzyczki piękne zawsze są dokoła,
Piękny świat tylko ciebie do posługi woła,

[1]) Z autografu Adama Mickiewicza, znajdującego się w muzeum Raperswylskiém; pierwszy raz drukowany w „Wędrowcu“ r. 1881.

Okiem na jasne tylko kierujesz oczęta
I dłoń pięknych ciałeczek robieniem zajęta...
Malarzu czarodzieju! Od ciebie pożyczę
Odkradzione od mojéj Maryi oblicze.
Wiecznie je cisnąć będę na serce uprzejme,
Z liców jéj nigdy oczu i myśli nie zdejmę,
Unosząc się nadzieją, że tych rysów władza
Do reszty spsuje rozum, który mi zawadza,
I jak uczucia moje o niéj nie zapomną,
Tak ją wzrok, dłoń i piersi osądzą przytomną.

1822

DO M....

Precz z moich oczu!—posłucham odrazu!
Precz z mego serca!—i serce posłucha;
Precz z méj pamięci!—Posłucham rozkazu,
Lecz pamięć będzie na rozkazy głucha! [1])

Jak cień, tém dłuższy, gdy padnie zdaleka,
Tém szerzej koło żałobne roztoczy,
Tak moja postać im dalej ucieka,
Tém grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdém miejscu i o każdéj dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,

[1]) Poprawkę tę, zamiast zwykłego tekstu: „Nie, tego rozkazu moja i twoja pamięć nie posłucha," wzięto z *Biblioteki Polskiéj* 1826. r. (t II), gdzie ją bezimienny korespondent pomieścił, na zasadzie autografu poety.

Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę méj duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnéj komorze
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o téj porze
Śpiewałam jemu tę samę piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia,
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział,
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam zemną siedział.

Czy książkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje,
Złożywszy książkę, z westchnieniem głębokiem
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje...

A jeśli autor, po zawiłéj probie
Parę miłośną naostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył?...

Wtém błyskawica nocna zamigoce,
Sucha w ogrodzie zaszeleści grusza
I puszczyk z jękiem w okno załopoce;
Pomyślisz sobie: że to moja dusza.

Tak w każdém miejscu i o każdéj dobie,
Gdziem z tobą płakał, gdziem się z tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę méj duszy zostawił.

1822.

DO MARYI P(UTTKAMEROWÉJ).

(Ofiarując jéj drugi tomik poezyj).

Maryo, siostro moja!—Nie krewnym łańcuchem,
Aleśmy pobratani umysłem i duchem.
Gdy mi dziwactwo losu i twój wyrok wzbrania
Równie święte a milsze powtarzać nazwania,
Choć inném spojrzyj okiem w przeminione lata
I pamiątki kochanka przyjmij z ręki brata...

1823.

W SZTAMBUCHU MARYLI.

Nessun maggior dolore che ricordarsi del tempo felice nella miseria.

Bolesne mię dni błogich wspomnienie spotyka,
Chociaż mię dziś Marya w swój imionnik przymie;
Bo gdym do swego Maryą wpisał imionnika,
Wpisałem tylko jéj imię.

1824 r. 22 października.

NOWY ROK.

(MYŚL Z JEAN PAULA RICHTERA).

Skonał rok stary; z jego popiołów wykwita
Feniks nowy; już skrzydła roztacza na niebie;
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita.
Czegoż w tym nowym roku żądać mam dla siebie?

Może chwilek wesołych?—Znam te błyskawice.
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia, aż nasze źrenice
Grubszą niżeli pierwiej zasępią się nocą.

Może kochania?—Znam tę gorączkę młodości.
W Platońskie wznosi sfery, przed rajskie obrazy,
Aż silnych i wesołych strąci w ból i mdłości,
Zsiódmego nieba w stepy, między zimne głazy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam.
Marzyłem boską różę; blizki jéj zerwania,
Zbudziłem się; sen zniknął, róży nie posiadam,
Kolce w piersiach zostały.—Nie żądam kochania!

Może przyjaźni?—Któżby nie pragnął przyjaźni?
Z bogiń, które na ziemi umie młodość tworzyć,
Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni
Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć.

O przyjaciele, jakże jesteście szczęśliwi,
Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc społem!
Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem.

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłośnie,
Lub je żądło owadów jadowitych drażni,
Jakże każda gałązka dręczy się nieznośnie
Za siebie i za drugie!—Nie żądam przyjaźni!

I czegóż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowéj pościeli,
Zkądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, z którego nic mię nie obudzi,
Marzyć, jak-em przemarzył moje młode lata:
Kochać świat, sprzyjać światu —zdaleka od ludzi...

Wilno 1823|4.

MAJTEK.

(W imionniku Ludwiki z Pągowskich Kostrowickiéj).

„Słuchaj o majtku, nieszczęsny zbiegu,
Jakżeś nas prędko porzucił!
Od ojczystego odbijasz brzegu,
Ażebyś wiecej nie wrócił.

„Przecież wkopana w ziemię źrenica
Ku nam strzeliła wesoło;
Uśmiech, gość rzadki, zstąpił na lica,
Dawna pogoda na czoło.

„Każdy się krząta, pragnie odwlekać;
Tyś jeden skoczył z pośpiechem;
Możnaż z ojczyzny śpiesznie uciekać,
Uciekać—jeszcze z uśmiechem?“

„Słuchaj, rzekł majtek, jam od lat wiela
Widział i kraj ten i ludzi,
A com ja widział, nigdy wesela
W sercu rodaka nie wzbudzi.

Widziałem mężną cnotę w ucisku,
W głowach pospólstwa ciemnotę,
W głowach rozumnych widoki zysku,
A w sercach niewiast pustotę.

Ja, co mię własne szczęście nie nęci,
Com uniesioną z powodzi
Resztę mych myśli, uczuć i chęci,
Ojczystéj powierzył łodzi,

Mógłżem kosztować powabów życia,
Gdy, skoro wicher zawieje,
W ostatniéj łódce, blizkiéj rozbicia,
Ostatnie-m widział nadzieje?“

. . . . . .

1824.

W IMIONNIKU SALOMEI BECU.

Minęły chwile, szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiej było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągłe leją słoty,
Trudno wynaleźć na ojczystéj błoni,

Trudno wynaleźć, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznéj dłoni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę!
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z téj wiary,
Iż był ten listek w przyjacielskiéj ręce,
Że to ostatnie są dary.

Wilno, 1824.

W IMIONNIKU
LUDWIKI MACKIEWICZÓWNY. *

Nieznajoméj, dalekiéj, nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: „Witam cię!—Bądź zdrowa na wieki!“

Tak wędrowiec, zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnéj drodze przyczynić wesela;
A kiedy nie ma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela.
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jéj stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie.

W IMIONNIKU H. HOŁOWIŃSKIÉJ. **

Błądzącym wśród ciasnego dni naszych przestworza,
Życie jest wązką ścieżką, łączącą dwa morza:

* Napisany na prośbę jéj narzeczonego, L. Chodźki, 22 października 1824 r., na dwa dni przed wyjazdem poety z Litwy.

** Z autografu wydrukowano ten wiersz najpierw w Gazecie Codziennéj, 1860, n. 102.

Wszyscy z przeszłości mglistéj w przyszłość lecim mro-
Jedni najprościej dążą i najrychlej spoczną; [czną.
Drugich na stronę wiodą łudzące widoki,
Płony, ogrójce wdzięków i sławy opoki.
Szczęśliwi, jeśli goniąc mary wyobraźni,
Przed końcem drogi znajdziem świątynię przyjaźni!

1825.

ŻEGLARZ.
(W IMIONNIKU Z. *)

Ilekroć ujrzysz, jak zhukana fala
Po głębiach barkę przerzuca tułaczą,
Niech się anielskie serce nie użala
Nad płynącego trwogą i rozpaczą!
Tę barkę wicher odbił od okrętu,
Na którym żeglarz swe nadzieje złożył;
Jeżeli wszystko jest pastwą odmętu,
Czegóżby płakał? o coby się trwożył?
Lepiej mu, pośród żywiołów bezrządu,
Walczyć co chwila z nowemi przygody,
Niż gdyby wybrnął i z cichego lądu
Patrzył na morze i liczył swe szkody.

Odessa, 1825 kwiet. 14.

---

*) Tytuł, datę i parę drobnych poprawek wzięliśmy z autografu, będącego w posiadaniu W. K-go. Dla kogo pisany był wiersz, nie wiemy; literę Z. podaje wydanie warszawskie z r. 1858.

W IMIONNIKU KAROLINY RZEWUSKIÉJ.

Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
Spotykamy się z sobą jak dwie różne łodzie.
Twoja, barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorem wiatry chwyta, nurt piersią roztrąca;
Moja, na woli burzy i morskich straszydeł,
Wyrzucona bez steru, ledwo z resztą skrzydeł.
Gdy jéj owad tajemny nawskróś piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszły, kompas ciskam w morze.
Rozminiem się! I kiedyż w jednę pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.

ZALOTY. *

Póki córeczki opiewałem wdzięki,
Mamunia słucha, stryj czyta;
Lecz skorom westchnął do serca i ręki:
Ja słucham, cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach,
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku! Jednę tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga —u potomności!

* Z albumu p. Moszyńskiego.

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałowa!
Czy kochać mogę?—dowiodę.
Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
Pójdź w wieczór na mą gospodę.

DWA SŁOWA. *

Gdy sam na sam z tobą siedzę,
Nie mam czasu o nic pytać:
Patrzę w oczy, ustek śledzę,
Chciałbym wszystkie myśli czytać
Wprzód, nim w oczętach zaświecą;
Chciałbym wszystkie słówka chwytać
Wprzód, nim od ustek odlecą.

I nie potrzeba tłumaczyć,
Co chcę słyszeć, co zobaczyć:
Rzecz nietrudna i nienowa,
Moja luba! te dwa słowa:
„Kocham ciebie! kocham ciebie!“

Innego nie chcę widoku,
Kiedy z tobą będę w niebie;
Tylko niech te dwa wyrazy,
Napisane w twojém oku,
Odbite po tysiąc razy,
Widzę wszędzie wkoło siebie.

I innéj muzyki w niebie
Nie chcę od wschodu jutrzenki

* Z Albumu P. Moszyńskiego.

Słyszeć do zachodu słońca:
„Kocham ciebie! kocham ciebie!“
Dość mi téj jednéj piosenki
Z warjacyami bez końca.

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę;
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nieraz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blizko méj pamięci,
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wylewać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję, jak w te zajdę progi
I wchodząc sobie zadaję pytanie:
Co mię tu wiodło, miłość, czy kochanie?

Dla twego zdrowia życiabym nie skąpił;
Po twą spokojność do piekłabym zstąpił;

Choć śmiałéj żądzy niema w sercu mojem,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakoś spokojność owionie;
Zda się, że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia sam się nie postrzegłem
Zkąd wziąłem myśli, jak na rymy wbiegłem,
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mnie natchnęło—przyjaźń czy kochanie?

DO D... D...

Moja pieszczotka gdy w wesołéj chwili
Pocznie szczebiotać, i kwilić, i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać!

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali
I pocznie mocniej jagody różować,

Perłowe ząbki błysną śród korali...
Ach! wtenczas śmielej w oczęta poglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować!

Odessa, 1825.

ROZMOWA.

Kochanko moja! na co nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które nim słuch twój i serce doścignę,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

Kocham, ach! kocham, po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać
I, jak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremném użyciem,
Teraz je z twemi chcę stopić ustami
I chcę rozmawiać tylko serca biciem,
I westchnieniami, i całowaniami.
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata.

Odessa, 1825.

SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet, nie chciej mnie zasmucić,
I rozstając się, nie mów o rozstaniu!

Przed smutném jutrem, niech jeszcze z wieczora
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka;
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę; powieki
Zamykać nie chcę; gdy mię śmierć zamroczy,
Niechaj rozkosznie usypiam na wieki,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu
I zstąpisz z niebios, aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twém łonie białem,
Znowu mię ramię kochane otoczy;
Zbudzę się, myśląc, że chwilkę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa, 1825.

W IMIONNIKU *.

Błogo temu, kto w twojéj pamięci utonie,
Jak ten koral, lub owa jagoda perłowa,
Co ją woda baltycka w swém przeczystém łonie
Pod lazurową barwą na wieki przechowa.

Lecz ja, jak drobny kamyk, ni krasą korali,
Ni wdziękiem perłowego dochodzący blasku,
Chciałbym choć jednę chwilkę poigrać w téj fali,
Nim zapomniany legnę w niepamięci piasku...

W IMIONNIKU **.

Ku różnym stronom ściągnęliśmy dłonie,
W różnych mieszkały światach nasze myśli,
Oczy ku różnéj wyglądały stronie,
Jakże, o luba, ku sobieśmy przyśli?

Jak gwiazdy różne wielkością i kształtem,
Do przeciwnego wyrzucone biegu,
Kiedy je niebo jednostajnym gwałtem
Wiecznie odtrąca od każdego brzegu,

Wieczni wygnańcy z powszechnego świata,
Jest-że to dla nich szkodą czy korzyścią,
Że wstręt ku wszystkim znowu je pobrata
I że się muszą kochać... nienawiścią?...

DO D. D.

Elegia.

Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy,
Na dzień cały!—Nie, takiéj nie życzę katuszy!
Gdyby godzinę tylko—szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas, co to jest cierpienie!
Myśli me na torturach, w uczuciach mych burza:
To mi gniew serce miota i czoło zachmurza,
To mię smutek w ponure zadumanie wtrąca,
To nagle oczy zaćmi żalu łza gorąca.
Ty albo od mych gniewów uciekasz ze wstrętem,
Albo lękasz się nudy z żałośnym natrętem.

Ty mię nie znasz! Namiętność zaćmiła me lice,
Ale spojrzyj w głąb duszy! Tam znajdziesz skarbnice
Czułości, poświęcenia, łagodnéj dobroci
I wyobraźni, która ziemską dolę złoci.
Dziś ich nie możesz dojrzeć.. Wszak i na dnie fali,
Kiedy ją wicher zmiesza, kiedy piorun pali,
Czyż widać kraśne konchy, perłowe jagody?
Nim mię osądzisz, czekaj słońca i pogody!
O, gdybym zyskał pewność, że jestem kochany,
Gdybym z serca na chwilę wygnał bojaźń zmiany,
Którą mię straszy nieraz doświadczana zdrada!
O, niech będę szczęśliwym, będziesz zemnie rada!

Jak duch, przez dzielnéj wróżki zaklęty wyrazy,
Żyłbym twoje wypełniać, zgadywać rozkazy,

A jeżeliby czasem duma rozdąsana
Kazała poddanemu udać humor pana,
Śmiej się luba! Choć duma przyznać się zabrania,
Sługą będę. Cóż miałbym do rozkazywania?
Abyś raczyła chwilą dłużej zemną bawić,
Podług méj woli suknię i włosy poprawić,
Abyś drobnych zatrudnień odbiegła domowych,
Słuchać starych oświadczeń i piosenek nowych?
Wszystkobyś niewielkiemi dokazała trudy,
Godziną cierpliwości, półgodziną nudy
Albo chwilką udania. Kiedy będę mniemać,
Że słuchasz rymów moich, ty mogłabyś drzemać;
Choć oczy twoje będą co innego znaczyć,
Ja chcę w nich dobro czytać, na lepsze tłumaczyć.
W twe ręce powierzywszy moję przyszłą dolę,
Na twém złożyłbym łonie mój rozum i wolę.
Pamiątki nawet serce głęboko zagrzebie,
Aby nigdy nic nie czuć oddzielnie od ciebie.
Wtenczasby dziki zapęd, co mną dotąd miota,
Wypadł z duszy, jak z łodzi miotanéj niecnota,
Który burzę sprowadza i bałwany pieni,
Płynęlibyśmy cicho po życia przestrzeni;
Chociażby los groźnemi falami powiewał,
Jak syrenabym nad nie wzbijał się i śpiewał.

1825.

GODZINA.

Elegia.

Przed godziną, źrenicy nie zdjąwszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy
I słuchem natężonym, pośród miejskich gwarów,
Rozpoznawałaś zdala łoskot mojéj stopy.
Dzień miał jednę godzinę, w któréj—wspomnieć miło,
Że nie u mnie jednego serce żywiej biło!
Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Iksyon wkoło niéj krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem;
Gdy minęła, dzień cały o niéj rozmyślałem,
Bawiąc się z mnóstwem drobnych, lecz miłych pamiątek:
Jakie było przyjęcie, rozmowy początek,
Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu,
Po niém niezgoda, po niéj milsza zgoda znowu.
Smuciłem się: ty z oczu powody wyśledzasz;
Przychodziłem z prośbami: ty jedne uprzedzasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam
I znowu jutro nie śmiem. Czasem gniewny wpadam:
Rozbrajasz mię uśmiechem, a gdym w gniewie przebrał,
Gniewałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał.
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma!
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy, i schnie, i oczu nie może nasycić.

Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
Od niéj milsze dni zaczął i na niéj zakończył.
Ona, w zbrukaném pasmie mojego żywota
Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota;
Jam się do niéj jak prządek skrzydlaty uczepił,
Snuł ją wkoło i w niéj się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samę nieba okolicę,
Godzina uderzyła.—Gdzież są jéj źrenice?
Gdzie myśli?—Ona teraz w czułéj pieści dłoni
Cudzą rękę, niewierna! i do cudzéj skroni
Usta ciśnie i łza jéj na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzéj piersi odpowiada.
Dziś możeby téj nowéj pary nie rozdzielił
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! O téjże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem; wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziecię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci.
Daruj. Ponęta szczęścia zawsze nazbyt silna;
Zbyt trudno się przekonać, że zawżdy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię;
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącéj dumie.

Lecz nadzieje dalekie! Dziś pogoda nęci
W polach, w niebie, na falach szukać niepamięci.
Czas przechadzki: dlaczegoż me odejście zwlekam?
Za każdém drzwi ruszeniem jéj posłańca czekam!
Niekiedy rąk jéj zdradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miejsca, stanąłem u progu:
Ach! była to godzina dawna;—moc nałogu.

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żałobę,
Zabłąkawszy się w myślach—niestety, błąd luby!
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swéj zguby,
Bieży i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił i zalał się łzami.

1825.

W DZIEŃ ODJAZDU. *

Cóż—choć miasto porzucę, choćby z oczu znikli
Mieszkańce, którzy do mnie sercem nie przywykli,
Mój wyjazd nie okryje nikogo żałobą,
I ja nie chcę łzy jednéj zostawić za sobą!

Zkąd mi tu żal niewczesny staje u podwojów?
Raz jeszcze do samotnych wracam się pokojów,
Jakbym czegoś zapomniał; wzrok mój obłąkany
Jeszcze wraca się żegnać przyjacielskie ściany.
One śród tylu ranków, śród nocy tak wielu,
Z cierpliwością słuchały mych westchnień bez celu.
Przy tém oknie częstokroć wieczór przesiedziałem,
Wyglądając, nie wiedząc czego wyglądałem.

Ustałem, gdy mię znudzi tożsamość widoków,
Budząc echa łoskotem mych samotnych kroków.
Znowu ode drzwi ku drzwiom błądzę bez zamiaru,
Liczę takt w takt żelazne stąpanie zegaru,
Lub szeptania robaczka, co gdzieś utajony
Zdaje się, że kołace do drzwi swojéj żony.

* Z Albumu P. Moszyńskiego.

Blizki ranek. Czekają woźnice natręty.
Jedźmy! Jak niewitany przestąpiłem progi,
Tak odjeżdżam: nikt dobréj nie życzy mi drogi.

Pamiętam, kiedy młody, z lubéj okolicy,
Od przyjaciół kochanych, od mojéj dziewicy,
Jechałem i patrzyłem, i pomiędzy drzewy
Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
Płakałem.—Miło płakać, póki wiek namiętny.
Stokroć boleśniej płacze starzec obojętny!
Młodemu lekko umrzeć. On, nie znając świata,
Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata;
Ale starzec, co z życia zdjął szatę obłudy,
Niewierzący w nadludzkie ani w ludzkie cudy,
Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie.
Jak po błoniu, kwitnącém kolorami tęczy,
Przelatuje samotnie mdły kwiatek pajęczy,
Zdmuchniony gdzieś daleko z uwiędłéj gałęzi,
Chociaż napotka różę i w majowéj więzi,
Pragnąc odpocząć, martwą zaplącze się dłonią...
Znowu go wichry zedrą i dalej pogonią:
Tak ja nieznane imię, cudzoziemskie lice
Nosiłem przez te ludne place i ulice,
I roje pięknych niewiast spotykałem codzień;
Chcą mię poznać—dlaczego?—że jestem przychodzień!
Dziatwa pędzi motyla, póki zdala świeci;
Złowi—spojrzy i ciska: niechaj dalej leci!
Lećmy! Szczęściem zostały pióra do powrotu,
Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!

Odessa, 25 października 1825.

DO IMIONNIKA APOLLONA SKALKOWSKIEGO *

Słychać, że pud suwnirów pobrałeś z Rusinek,
Które ci pozyskała czułość albo sztuka;
Niechże i przyjaźń kilka życzeń w upominek
Do sentymentalnego wpakuje sunduka.
Czy jedziesz w kraje lodów, czy na dworzec słońca,
Obyś zawsze tam jeździł, gdzie ci się podoba,
Oby na twym kompasie u jednego końca
Zawsze było życzenie—na drugim żałoba.

W Moskwie, 1826. Jun.

NA POKÓJ GRECKI,

W domu księżny Zeneidy Wołkońskiéj, w Moskwie.

Skróś ciemnoty wiedziony jéj gwiaździstym wzro-
Goniąc białą jéj szatę po szybach hebanu, [kiem,
Wszedłem.—Czy to kraina za Lety potokiem,
Czy miast wielka mumia, zwłoki Herkulanu?
Nie! Tu cały świat dawny, na Piękności słowo,
Odbudował się, chociaż nie ożył nanowo.
Z mozaiki świat cały, każdy jego szczątek
Jest odłamem dzieł sztuki, wielkości pamiątek.

Tu kamienia podróżna nie śmie trącić noga,
Z kamienia płaskorzeźbą wygląda twarz boga.

* Poprawkę w 3-im wierszu i dokładniejszą datę wzięliśmy z podobizny, ogłoszonéj roku 1882 w „Kłosach“ (n. 884).

Gniewny, zda się swojego pohańbienia wstydzić,
Depcących dawną wiarę ludzi nienawidzić
I napowrót w marmuru ukrywa się łonie,
Zkąd przed wieki snycerskie wyzwały go dłonie.

Wkoło pędzlem i dłutem strojne sarkofagi,
Co miały proch królewski bronić od zniewagi,
Dziś same na proch lecąc, potrzebują trumny.
Gdzieniegdzie ścięta głowa nieznanéj kolumny,
Skaleczona, odarta, podeptana w pyle,
Wala się, jako trupia czaszka na mogile.

Tam od starości ledwie na nogach się trzyma
Obelisk, ten przychodzień z kraju Mizraima.
Widzisz na nim te rysy dziwacznéj osnowy,
Te pisma zatraconéj dawnych sfinksów mowy?
To hjeroglif!—Pod jego zasłoną leżąca
Myśl głęboka w letargu śpi od lat tysiąca;
Jak mumia, zamknięta w balsamiczne łoże,
Cała nieskazitelna—zmartwychwstać nie może.

Nietylko sztuki twoje, znikomy człowieku,
Lecz martwą pierś żywiołów przetrawia ząb wieku!
Patrz na ów kamień drogi, zaniedbany w piasku:
Niegdyś był cudnéj barwy, słonecznego blasku;
Ileż wieków przeświecił, aż wylawszy z łona
Całą jasność, zamierzchnął jak gwiazda zgaszona.

Śród gruzów jeden cały stał obraz Saturna.
Tam jedna ryta z bronzu korynckiego urna,
W łonie jéj zwolna płomyk przebudza się blady,
Czy to zmartwychwstającéj geniusz Hellady?

Wzniósł głowę, błysnął okiem i na skrzydłach tęczy
Podlatując, raz jeszcze promieniami wieńczy
Skronie bogów, niebianek, drzemiących wokoło
I nimfy przewodniczki najpiękniejsze czoło.

O, niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią
Wiecznie snem marmurowym i bronzowym drzemią!
Ciebie tylko niech, piękna przewodniczko, zbudzi
Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi.
Swawolniku! Uciekłszy z Afrodyty łona,
Drzemiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona.

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje!...
Niestety! Przewodniczka chłodnym rzutem oka,
Jak laską Merkurego, uderza z wysoka
I duszę mą, lecącą w rozkoszy kraj błogi,
Wypędza bez litości za nadziei progi!

Cóż opowiem, wrócony do śmiertelnych kraju?
Ach, opowiem, że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą napoły tęskną, napoły radośną;
Słyszałem już tę rajską rozmowę wpół-głośną,
I widziałem te rajskie pół-światła, pół-cienia,
I doznałem, niestety! tylko pół-zbawienia...

Moskwa, 1827.

DO IMIONNIKA PANNY JAENISCH. *

Przed wichrami i szronem, gdy przelotne ptaki
Uciekając, rozstania nucą pieśń żałosną,
Nie wiń ich o niestałość! one z każdą wiosną
W jednę stronę jednemi powracają szlaki.
Słysząc głos ich, wygnańca wspomnij, przyjaciela!
Ilekroć mu po burzach nadzieja zaświeci,
Tyle razy duch jego na skrzydłach wesela
Znowu na północ, znowu ku tobie uleci.

1827 r., 10 septembra, w Moskwie.

DO MARYI SZYMANOWSKIÉJ.

Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu,
Tobie wieszcze, jak Gwebry indyjskiemu słońcu,
Chylą czoła wieńczone w nieśmiertelne liście
I arf tysiącem twoje opiewają przyście.
Zdziwisz się, kiedy nagle z cherubinów chóru
Wyrwie się jakiś odgłos nieznany i dziki,
Pomiędzy tryumfalne pieśni i okrzyki,
Jako wieśniak pośrodku królewskiego dworu;
Ale śmiały i wszystkich roztrącać gotowy,
Pójdzie prosto ku tobie i z duszą obejmie.
Królowo tonów! Ty go powitasz uprzejmie:
To twój dawny znajomy—to dźwięk polskiéj mowy.

Moskwa 1827, w listopadzie.

---

* Panna Karolina Jaenisch, przyjaciółka Mickiewicza w Moskwie.

NIEZNAJOMÉJ SIOSTRZE PRZYJACIÓŁKI MOJÉJ. *

Przyjaciele, wyrokiem smutnym rozłączeni,
Kiedy im wszystko stawi na ziemi przegrody,
Wybierają z pomiędzy niebieskich płomieni
Wspólną gwiazdę za wiecznéj powiernicę zgody,
I tą gwiazdą, jak krzyżmem świętego pierścienia,
Zaślubiają wzajemne przynajmniej wspomnienia.
Ale jest milsza gwiazda, która przyjaźń budzi
W sercach dwojga dalekich, nieznajomych ludzi;
Dopóki błyszczeć będzie na północném niebie,
Patrząc ku niéj, nam udziel choć cząstkę wejrzenia.
A kiedy nas opuści, by świecić dla ciebie,
Poszlę za nią ku tobie oczy i życzenia.
O! gdyby dozwoliły wyroki łaskawsze
Widzieć tę gwiazdę społem, i zblizka, i zawsze!

W Moskwie, dnia 1 Xbris 1827 r.

W IMIONNIKU CELINY SZYMANOWSKIÉJ.

Zaczyna się werbunek. Widzę zdala: goni
Ogromna ciżba pieszych, hułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów;
Chcą w albumie założyć obóz różnéj broni.
Stanie się! Będę wtenczas siwym bohaterem
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku
Jam w téj armii pierwszym był grenadyerem.

Petersburg, 1829.

---

* Dla Pauliny z Rybickich Maszewskiéj. Autograf w bibliotece ordynacyi Krasińskich.

D O . . . .

(Na Alpach w Splügen).

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiéj kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj, w tych podniebnych gó-
Spadający w otchłanie i niknący w chmurach, [rach
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody
I oczy przecierając z lejącéj się wody,
Szukam północnéj gwiazdy na zamgloném niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie...
Niewdzięczna! może dzisiaj, królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesołéj gromady;
Lub może się nowemi miłostkami bawisz,
Lub o naszych miłostkach śmiejąca się prawisz!
Powiedz, czyś ty szczęśliwsza, że ciebie poddani,
Niewolnicze schylając karki, zowią P a n i?
Że cię rozkosz usypia i wesołość budzi,
I że cię nawet żadna pamiątka nie nudzi?
Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybyś, moja miła,
Wiernego ci wygnańca przygody dzieliła?

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podróżne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie
I pod twą nóżkę z wody dostawał kamienie;

I przeszłaby twa nóżka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączęta;
Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą;
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojém ramieniu...

1829.

DO MEGO CICERONE W RZYMIE.

(W imionniku Henryki Ankwiczówny).

Mój Cicerone! Oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię
Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie...
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.

Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala; może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody
I nigdy o nim nic się nie dowiemy...

Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w księdze twojéj, śród włoskiéj krainy,
Za cały napis to imię wykréślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.

Czy drżącą ręką, po długiém dumaniu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale?
Czy go odchodząc, uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu?...

Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem;
Przez rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.

Ty umiesz przejrzeć nawet w serca z głazu;
Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu...
Ach—ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma!...

Rzym, 1830.

DO H(enryki Ankwiczówny).

WEZWANIE DO NEAPOLU.

(Naśladowanie z Goethego).

Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa;
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?
Znasz-li ten kraj?
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty zemną była!

Znasz-li ten gmach,
Gdzie wielkich sto podwoi,
Gdzie kolumn rząd
I tłum posągów stoi?

A wszystkie mnie
Witają twarzą białą:
Pielgrzymie nasz,
Ach, co się z tobą stało?
Znasz-li ten kraj?
Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty zemną była!

Znasz-li ten brzeg,
Gdzie po skalistych górach
Strudzony muł
Swéj drogi szuka w chmurach?
Gdzie w głębi jam
Płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał
W kaskadach grzmią potoki?
Znasz-li ten kraj?...
Ach, tu, o moja miła!
Tu byłby raj,
Gdybyś ty zemną była!

Neapol, 1830.

„NAD WODĄ WIELKĄ I T. D.“

Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki
I woda tonią przejrzystą
Odbiła twarze ich czarne.

Nad wodą wielką i czystą
Przebiegły czarne obłoki
I woda tonią przejrzystą
Odbiła kształty ich marne.

Nad wodą wielką i czystą
Błysnęło wzdłuż i grom ryknął
I woda tonią przejrzystą
Odbiła światło—głos zniknął.
A woda, jak dawniej, czysta,
Stoi wielka i przejrzysta.

Tę wodę widzę dokoła
I wszystko wiernie odbijam,
I dumne opoki czoła,
I błyskawice pomijam.

Skałom trzeba stać i grozić,
Obłokom deszcze przewozić,
Błyskawicom grzmieć i ginąć:
Mnie płynąć, płynąć—i płynąć!...

Lausanne, 1838.

„GDY TU MÓJ TRUP.“ *

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,
W oczy zagląda i głośno zagada,
Dusza wówczas daleka, ach daleka!
Błąka się i narzeka, ach narzeka!

* Wszystkie następne wiersze w tym oddziale ogłoszone były drukiem po raz pierwszy dopiero w r. 1861 lub 1880.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojéj,
I liczne mam serca mego rodzeństwo,
Piękniejszy kraj, niż ten, co w oczach stoi,
Rodzina milsza niż całe krewieństwo.

Tam wpośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę śród bujnéj i wonnéj trawy,
Tam pędzę za wróblami i muszkami.

Tam widzę, jako z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I pośród zbóż jak w toni wód się kąpa,
I ku nam z gór jak jutrzenka zaświeci...

DO SAMOTNOŚCI.

Samotności! do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów;
Z jakąż rozkoszą padam w jasno-czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów!

Nurzam się i wzbijam w myślach nad myślami,
Igram z niemi jak z falami,
Aż ostygły, znużony, złożę moje zwłoki
Choć na chwilę w sen głęboki.

Tyś mój żywioł; te jasnych wód szyby
Słodzą mi serce, zmysły zaciemniają mrokiem.

I za cóż znowu muszę, nakształt ptaka ryby,
Wyrywać się w powietrze, słońca szukać okiem?

I bez oddechu w górze, bez ciepła na dole,
Równie jestem wygnańcem—w oboim żywiole!

„POLAŁY SIĘ ŁZY ME I T. D.“

Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moję młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męzki, wiek klęski;
Polały się łzy me czyste, rzęsiste!...

„TE ROZKWITŁE ŚWIEŻO DRZEWA I T. D.“

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepcą, słowik śpiewa
I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoję
I wiosną się nie weselę?
Bo sieroce serce moje,
Z kimże wiosnę tę podzielę?

Przed mym domem, w pomrok szary.
Stają muzycy tułacze;
Słyszę śpiew i dźwięk gitary,
Odmykam okno i płaczę.

Zakochani to minstrele
Pod oknem kochanki nucą,
Mnie nie bawią, ale smucą,
Z kim się muzyką podzielę?

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu,
Opowiadać nie mam komu...
Zamknę powieść na mogile.

Założywszy ręce, siadam,
Na samotną patrząc świécę;
Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro smutne chwycę.

Piękne myśli, piękne słowa,
Czuję wiele, piszę wiele,
Ale dusza moja wdowa,
Z kimże piosnki te podzielę?

Rodzę myśli, rodzę słowa,
I czemuż się nie weselę?
Bo dusza moja jak wdowa,
Widzi tylko sierot wiele.

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i słota;
Nie przeminie żal pielgrzyma,
Bo on wdowiec i sierota.

„KOCHANEK DUCHÓW I T. D.“

Kochanek duchów, ileż was spotkałem,
Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało,
Ileż to rączek tonąc uściskałem,
A serce nigdy z sercem nie gadało.
Wydałem wiele serca, jak ze skrzyni
Młody rozrzutnik; lecz dłużnicy moi
Nic nie oddali. Któż dzisiaj obwini,
Że się rozrzutnik spostrzegł, że się boi
Zwierzać w niepewne i nieznane ręce?
Żegnam was, żegnam, nadobne dziewice!
Żegnam was, żegnam, o duchy młodzieńce!
Rozrzutnik młody, resztę skarbcu schwycę,
W ziemię zakopię—nie czas reszty tracić.
Już czuję starość. Mam żebrać w potrzebie?
Znalazłem tego, co zdoła zapłacić
Rzetelnie, z lichwą i na czas—On w niebie!...

SNUĆ MIŁOŚĆ.

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje,
Lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje,
Rozkładać ją jak złotą blachę, gdy się kuje,
Z ziarnka złotego siać ją, jak się zboże sieje,
Hodować ją, jak matka dziecko swe piastuje,
Puszczać ją w głąb, jak nurtuje
Źródło pod ziemią, wgórę wiać nią, jak wiatr wieje,
Po ziemi ją rozsypać, jak się zboże sieje,

Ludziom piastować, jako matka swych piastuje.
Ztąd będzie wyższa moc twa, jak moc przyrodzenia,
A potém będzie moc twa jako moc krzewienia,
Potém jak ludzi, potém jako moc aniołów,
A w końcu będzie jako moc stwórcy stworzenia.

Lausanne, 1839.

ODY I PIEŚNI RÓŻNE.

PRZEMOWY, ODY I PIEŚNI.

(JUŻ SIĘ Z POGODNYCH NIEBIOS OĆMA ZDARŁA SMUTNA). *

Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna.
Żeglarzu! ciągnij rudel, wiatrom podaj płótna,
Zmocnioną wczasem dłonią słone krajaj piany,
Otworem ci przestrzenne leżą oceany.
Niech umysłów nie chwieje burzliwość powodzi,
Towarzystwo nieliczne, kruchéj słabość łodzi;
Wszak nie miał barki z dębu, ni serca ze stali
Frygijczyk, co się pierwszy chytréj zwierzał fali,
A w zawody na złomném puściwszy się drewnie,
Choć nań piekła i nieba dąsały się gniewnie,
W własnych dzielnościach ufny, śmiałych żądań pełny,
Nieba i piekła zwalczył, złotéj dostał wełny.
Nas, kiedy w niższym stopniu śmiała chęć nie kładzie,
Gdy nowe tworzym gmachy na nowéj posadzie,
Gdy nasz trud równie wielki, cel równie szlachetny,
Weźmijmyż z bohaterów greckich przykład świetny.

* Wiersz ten wydrukowano z rękopisu po raz pierwszy w wydaniu paryskiém z r. 1869.

Im pierwszy raz ojczyste rzucającym gniazda,
Nie stała się okropną tak daleka jazda;
Nam po wejściu do szranków możnaż drżeć z obawy,
Gdy każdy trud zwalczony jest szczeblem do sławy?
Oni na wspólne dobro różne znieśli dary:
Ten siłę, ten wzrok ostry, ów dźwięki cytary.
My tak czyńmy, a wszystko torem pójdzie snadnym;
Wszak w niewielu brak darów, gorliwości w żadnym.
Wszyscy chciejmy dokonać, dokona kto może,
Bo się nierówną miarą dzielą łaski boże;
Lecz gdy ku wielkim sprawom pole się odkrywa,
Sama teraz nierówność mniej szkodzącą bywa.
Szczęśliwy, komu pierwsze wieńce się dostały,
Sam zyska chwałę, innych zachęci do chwały,
Lecz niech ztąd marnéj pychy blasków nie przywdziewa;
Wszakże owoc, nie liście, świadczą lepszość drzewa.
Więc nie z wzięcia przyklasków, nie z zaszczytnéj palmy,
Żeśmy pożyteczniejsi, z tego się pochwalmy.
Niech każdy, jak ów Greczyn, głosi dzielność swoję:
„Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję.“

Póki spiesząc do mety wytkniętéj u brzegu,
Żaden gromad bieżących nie wyprzedzi w biegu,
Póty na zawodników patrząjąc zdaleka,
Ktoby był wart nagrody, lud spokojnie czeka.
Lecz kiedy raz z biegących dobyłeś się tłoku,
Pod karą wiecznéj hańby nie cofajże kroku,
Żeby siły w ostatniéj wywarłszy potrzebie,
Tłumy, któreś przegonił, nie dognały ciebie.
Bo jeżeliś nad innych przymioty jaśniejszy,
Co innym zwiększa sławę, to tobie umniejszy.
Łamiąc męża szampierza na publicznym piasku,

Czyliż zwycięzca nierad z gminnego oklasku?
Przecież w oczach pół-boga, co łamał Centaury,
Nie miałyby ponęty zapaśnicze laury.
Tak, im kto wyżej stąpił, w większy trud się wprzęga
I tém się nawet zniża, że wyżej nie sięga.

Do was to mówię, których braćmi nazwać lubo.
Wy! przyszła towarzystwa podporo i chlubo,
Wy! którym była matką łaskawszą natura,
Im wyżej, tém usilniej wytężajcie pióra,
Ażby sławy podniebne dosięgłszy opoki,
Innych tam braterskiemi zachęcali wzroki;
Nam zaś, którzy w poziomym umieszczeni rzędzie,
Że waszym śladem idziem, i to chlubą będzie.
Gdzie Achil pozwał w szranki bogów polubieńce,
Wielkie miały wartości i dziesiąte wieńce.
Te weźmijmy, niech zawiść serc nam nie podbija,
Ni się czarnéj niechęci wkrada do nich żmija,
Wszakże własne żądanie do związku nas wiodło,
Wszak praca—nasze bóstwo, przyjaźń—nasze godło.
Oby kiedyś świat cały, zgodne wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.
Ale z takich początków wniósłby chyba tępy,
Że trzeba wszystkim wolne zrobić do nas wstępy,
Bo niedługo postoi gmach wolny od skazy,
Jeśli doń budowniczy kładł bez braku głazy.
I nam jeśli niemiło pracę podjąć marną,
Sprawmy, niechaj się tylko godni do nas garną.
Żeby tak pożyteczne dokonać zamysły,
Najpewniejszym sposobem będzie wybór ścisły.
Ów Samijczyk, w mądrościach natury ćwiczony,
Gdy prawdzie, długo nagiéj, narzucał zasłony

I tajne berło cnoty rozciągnął nad światem,
Nie każdemu swych uczniów dozwolił być bratem.
Tak uczynił i Orfej, naród głaszcząc dziki,
Tak się eleuzyńskie odbyły tajniki.
Nam, choć liczne pragnących stawią się orszaki,
Niejedna wszystkich żądza, zamiar niejednaki;
A gdy chytréj obłudy zdejmiemy z nich płaszcze,
Nie pod jedném się runem wilcze znajdą paszcze.
Ten się chciwością pędzi ślepą, dumą drugi,
Co w licznych towarzyszach chce mieć liczne sługi.
A niech się im wykrętne nie zdadzą manowce,
Srodzy wraz z przyjaciela będą prześladowce.
Inny, by krótką chętkę lub ciekawość sycić,
Za najtrudniejsze sprawy nie waha się chwycić;
Ale jak go dziecinna uwiodła łakotka,
Dziecinna zrazi trudność, którą pierwszą spotka.
Tacy gdy do nas wstępu nie znajdą przychodnie,
Gdy, jakeśmy działali, będziem działać zgodnie,
Gdy osobne urazy topiąc w niepamięci,
Każdy na wspólne dobro wszystkie zwróci chęci,
Zgodną przyszłość przeszłości zmierzając rachubą:
Będziemy wzorem innym, sobie samym chlubą.

14 września 1818.

ZIMA MIEJSKA.

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato
I przykre miastu jesienne potopy;
Już bruk, ziębiącą obleczony szatą,
Od stalnéj Fryzów nie krzesany stopy.

Więzieni słotą w domowéj katuszy,
Dziś na swobodne gdy wyjrzym powietrze,
Londyński pojazd turkotem nie głuszy,
Ani nas kręgi zbrojnemi rozetrze.

Witaj narodom miejskim poro błoga!
Już i Niemeńców i sąsiednich Lechów
Tu szuka ciżba, tysiącami mnoga,
Zbiegłych Dryadom i Faunom uśmiechów.

Tu wszystko czerstwi, weseli, zachwyca:
Czy ciągnę tchnienie, co się zimnem czyści,
Czy na niebieskie zmysł podniosę lica,
Czyli się śnieżnéj przypatruję kiści.

Jedna z nich pływa w niepewnym żywiole,
Druga, ciężarem sporsza, już osiadła;
Tą wiatr poleciał stwardniałe kryć role,
Albo pobielić Wilii zwierciadła.

Lecz kogo sioło dzisiejsze uwięzi,
Zmuszony widzieć łyse gór wiszary,
Grunt dziki, knieję nagiemi gałęzi
Niesilną zimne podźwignąć ciężary,

Taki, gdy smutna ciągnie się minuta,
Wreszcie zmieniony kraj porzuca z żalem
I dając chętnie Cererę za Pluta,
Pędzi wóz ku nam ciężarny metalem.

Tu go przyjmują gościnne podwoje,
Rzeźbą i farbą odziany przybytek,
Tutaj rolnicze przepomina znoje
W pieszczoném gronie czarownych charytek.

Na wsi, zaledwie czarna noc rozrzednie,
Każe wraz Ceres wczesny witać ranek;
Tu, chociaż słońce zajmie nieba średnie,
Pod atłasowym śpię cieniem firanek.

Lekkie nareszcie oblókłszy nankiny,
Modnéj młodzieży przywoływam koło;
Strojem poranne zbywamy godziny,
Albo rozmową bawim się wesołą.

Ten, w lśniący kryształ włożywszy oblicze,
Wschodnim balsamem złoty kędzior pieści;
Drugi stambulskie oddycha gorycze,
Lub pije z chińskich ziół ciągnione treści.

A gdy godzina dwunasta nadbieży,
Wraz do ślizkiego wstępuję powozu;
Sobol lub rosmak moje barki jeży
I suto zdobiąc, nie dopuszcza mrozu.

Na sali orszak przywitam wybrany,
Wszyscy siadają za biesiadnym stołem,
W kolej szlą pełne smaków porcelany
I sztucznym morzą apetyt żywiołem.

Pijemy węgrzyn mocny setném latem;
Wrą po kryształach koniaki i pącze;
Płeć piękna gasi pragnienie muszkatem,
Co dając rzeźwość, myśli nie zaplącze.

A gdy się trunkiem zaiskrzą źrenice,
Dowcipne, czułe wszystkim płyną słowa
I wdzięk niejeden zarumieni lice,
Niejedna wzrokiem zapala się głowa.

Nareszcie słońce zniżone zagasło,
Rozsiewa mroki dobroczynna zima;
Boginie dają do rozjazdu hasło,
Zagrzmiały schody i już gości niéma.

Którzy są z szczęściem poufali ślepem,
Pod twój znak idą, królu Faraonie,
Lub zręczni lekkim wykręcać oszczepem,
Pędzą po suknach wytoczone słonie.

A gdy noc ciemne rozepnie zasłony
I szklaném światłem błysną kamienice,
Młodzież, dzień kończąc wesoło spędzony,
Tysiączną sanią szlifuje ulice.

1818.

IMPROMPTU POWINSZOWANIA. *

Kiedy szlesz bilet bogatym,
Niechaj ma brzegi złocone;
Fircyka obdarz pstrokatym,
A różowym mądrą żonę.

Mogiłę albo gromnicę
Niechaj mają baby stare;
Zdrajca kraju szubienicę;
Kokiet—kupidynków parę.

* Z autografu wydr. 1880; oryginał nie ma żadnego tytułu.

Aniołeczek dla dewotki;
Pijakowi flasza spora;
Oszustom figlarne kotki,
A śmierć maluj dla doktora.

Na szmacie gazety wreście
Poszlij życzenia gadule;
Jurystom na manifeście,
A skąpemu na bibule.

Dla przyjaciół posyłaj na prostym papierze,
Byle szczerze.

1819.

PIEŚŃ FILARETÓW.

Hej! użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże! do niéj wesoło!
Niechaj obiega wkoło;
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

Po co tu obce mowy?
Polski pijemy miód;
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił,
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puhar staw;
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas;
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemią, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość!

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!...

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń.
To oko zamknie Feli,
To—filarecka dłoń.

1819.

TOASTY.

Coby było wśród zakresu,
Na który ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było? Zgadnąć łatwo:
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc, słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!

Lecz cóż po światła iskierce,
Gdy wszystko dokoła skrzepło?
Zimny świat i zimne serce,
Ciepła trzeba. Wiwat ciepło!

Pełnych światła i zapału
Często silny wiatr rozniesie,
By ciało zbliżyć ku ciału,
Jest magnes. Wiwat magnesie!

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki,
Przez magnesowaną styczność,
Wówczas z lejdejskiéj butelki
Palniem: Wiwat elektryczność!

Kowno, 1822.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha—to szkieletów ludy.
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz nadół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar, gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jéj wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali;
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali,
A wtém jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległém ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu,

Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się zamłodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!...
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałéj zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jedném „stań się“ z bożéj mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią.

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha,

Młodość go pocznie na swojém łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesądy światło ćmiące.
Witaj, jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!...

Około r. 1822.

DO ALEKSANDRA CHODŹKI

(Improwizacya).

Olesiu! Czémże tobie zapłacę,
Za twoje rymy odwdzięczę?
Ja duch mój wieszczy w obłędzie tracę,
Jakim cię kwiatem uwieńczę?

Ty, jako sokół nad piękną błonią,
Ujrzałeś orła w polocie;
Smutny cień skrzydła samotne ronią,
Lecz w oczach jego gwiazd krocie.

Tyle jest w ustach twoich łoskotu,
Tyle w twych oczach bystrości;
Tyś pojął tajnie orlego lotu,
Sam orzeł tobie zazdrości.

Orzeł z łabędziem raz już ostatni
Może swe pienia wywodzi;
Jeszcze go orszak otacza bratni,
Lecz straszna chwila nadchodzi..

Precz żal niemęzki, precz żal niewieści!
Zmienność ja nucę żałosną.
Bracia! słuchajcie dzikiéj powieści!
Zdarzenia same urosną.

Raz poszły w zakład powietrzne ptaki,
Który z nich w lotnym przegonie
Gdy się sprobują, obaczą jaki
Ma usiąść na ptaszym tronie?

Orzeł wyleciał; któż go doścignie,
Kto żagle takie ma pierza,
Kto kiedy orła w wiatrach wyścignie,
Gdzie orzeł znajdzie szermierza?

Lecz był kolibryk; on się rozczulił,
On królem ptaków chciał zostać;
On się pod orła skrzydło utulił,
Bo orła w locie nie dostać.

Orzeł wyleciał, lecz się zmordował
I spadł ku ziemi i zginął;
Kolibryk w jego skrzydle się schował,
Zkąd się ku niebu wywinął.

Orzeł upada, ty latać będziesz,
Adam gdy ginie, ty żyjesz;
Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
Jego się blaskiem okryjesz.

Tyś go zrozumiał, ty go wysławisz,
Ty piosnkę świętą zadzwonisz
I duszę jego światu objawisz,
I łezkę po nim uronisz.

Tak, godną łezkę nad nim uronić
Tobie zostało, mój bracie!
Tobie i piosnkę świętą zadzwonić
Po przyjaciela utracie...

1824. Wilno. Klasztor bazylianów.

CHÓR STRZELCÓW. *

(Podług muzyki z opery Webera: Wolny strzelec).

Śród opok i jarów,
I plonów i głogów,
Śród wrzasku ogarów,
I rusznic i rogów;
Na koniu, co w czwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot.

Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop!
Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop, hop! hop!

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.
Czy palnie na smugi,
Czy wgórę do chmur,

* Pierwodruk tego wiersza jest „w Gazecie Polskiéj“ 1827 r. n. 284. Ztamtąd wzięte są niektóre poprawki.

Tam krwi płyną strugi,
Ztąd leci grad piór.
Dalejże, dalejże i t. d.
Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?
Hej! lasy i niwy
Ozwijcie się w chór!
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.
Dalejże, dalejże i t. d.
Czyj dowcip gnał rojem
Latawców do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary ich skrzydeł?
Hej wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór!
Wystrzelił myśliwy,
Król wiatrów i chmur.
Dalejże, dalejże i t. d.

CZYN.

(Na nutę Beranżera: Jeunes enfants).

Hej, dalej w pląs!
Pokręcaj wąs!
Tak nasi mawiali przodkowie.
Poczciwie bij,
A tęgo pij.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Gdy młody Polak czynem się zbłaźni,
Dopóki krzyża nie dopnie,
Pnie się na świecie, jak w ruskiéj łaźni,
Na coraz wyższe i wyższe stopnie.
Lecz darmo czady pije,
Próżno ćwiczy pieczenie:
Jeżeli zbrukał sumienie,
Dalibóg, że skręci szyję.

Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o czyn!
Tak nasi mówili przodkowie.
Jeżeliś gracz,
Choć bieda, płacz,
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Tamten astronom od nocy do rana
Do gwiazd wyprawia połowy
I sadzi krzyże na brzuch, na pierś, na kolana,
Świeci się jak wóz Dawidowy.
Lecz wkrótce śmierć się zbliża,
A z nią piekielna męka,
Tego jednego krzyża
Belzebub się nie lęka.

Hej, dalej w pląs!
Pokręcaj wąs!
Tak nasi mówili przodkowie.
Tyś szlachty syn,
Nie dbaj o czyn.
Hej, pijmy za ich zdrowie!

Petersburg, 1829.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchéj puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona,
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,
Wódz był to wielkiéj mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdéj sławnego potrzebie,
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki;
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potém do niéj wszedł ksiądz z Panem Bogiem,
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swéj i cudzéj wylali,
Łzy ni jednéj—a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza,

Bo już.... był w téj okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza:
Na pastuszym tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas—dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiéj odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach, to była dziewica.

. . . . . .
. . . . . .

PIEŚŃ ŻOŁNIERZA.

Ja w téj izbie spać nie mogę;
Inną izbę daj, sąsiedzie!
Bo ztąd okna są na drogę,
Tędy często poczta jedzie;

A gdy w nocy trąbka dzwoni,
Tak mi mocno serce skacze,
Myślę, że trąbią do koni,
I potém aż do dnia płaczę.

Oczy zamknę: to się marzy
Nasze konie, chorągiewki,
Ognie nocne, krzyki straży
I wiarusów naszych śpiewki.

Ocykam się i w ocknieniu
Słyszę głos mego kaprala;
On mię klaszcze po ramieniu:
„Wstawaj! jedźwa . . . . .!“

Wstaję: aż ja w pruskiéj ziemi!...
Jak tam, lepiej leżeć w błocie,
W chłodzie, głodzie i na słocie...
Ale w Polsce, między swemi,

Jużbym téj nocy nie zasnął,
A czekałbym na kaprala,
Żeby znowu w ramię klasnął:
„Wstawaj! pójdźwa . . . . .!“

WIZYTA PANA FRANCISZKA GRZYMAŁY.

Exegi monumentum.

Świeci się pomnik mój nad szklany Puław dach,
Przetrwa Kościuszki grób i Paców w Wilnie gmach,
Ni go łotr Wirtemberg bombami mocen zbić,
Ni podły Austryak niemiecką sztuką zryć.
Bo od Ponarskich gór i bliźnich Kowna wód,
Szerzę się sławą mą aż za Prypeci bród;
Mnie w Nowogródku, mnie w Mińsku czytuje młodź
I nie leniwa jest przepisać wielekroć.
W folwarkach łaskę mam u ochmistrzyni cór,
A w braku lepszych pism, czyta mnie nawet dwór.
Ztąd mimo carskich groźb, na złość strażnikom ceł,
Przemyca w Litwę żyd tomiki moich dzieł.

Paryż, 1833.

UŁAMEK Z IMPROWIZACYI. *

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
A jeśli na tym prądzie iskra boża błyśnie,
Nie wynik-to rozumu, ani płód marzenia,
Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia;
Niém widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem rządzę,
Niém silny, grzechy nasze i przyszłość osądzę.

. . . . . .

Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga,
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

Paryż, 1840.

AD NAPOLEONEM III. CAESAREM AUGUSTUM ODE IN BOMERSUNDUM CAPTUM.

Qualis fugacem quum Amphitryonius
Cacum insequutus, belluae in occiput
Rupes ruens, fumosque et ignes
Guttur in horrisonum retundens.

Auguste Caesar, te auspice, Gallicus
Ursam Bootae victor adordiens,
Spelaea lustrat, caedibus tot
Innumerabilibusque furtis

* W tym kształcie ogłoszono ten urywek dopiero w wydaniu lwowskiém z r. 1885, w IV tomie.

Obscena; quo nunc advolant undique
Gentes latronis funere sospites,
Svecusque, Fennique et Polonus,
Quisque suas sibi res petundo;

Rati tuum illum, Romulea manu,
Dirum superbis Caesarem avunculum,
Auguste, jam per te, secundo
Cum imperio miseris reduci.

1854.

POEZYE RELIGIJNO-GNOMICZNE.

POEŻYE RELIGIJNO-GNOMICZNE.

HYMN

Na dzień Zwiastowania N. P. Maryi.

Pokłon przeczystéj Rodzicy!
Nad niebiosa twoje skronie,
Gwiazdami twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.

Ninie dzień tobie uświęcamy wierni
Śród twego błyśnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto, śród nieméj bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twéj chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród twego błyśnij kościoła
I spuść anielskie wejrzenie!
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmię piersią, jaką Cheruby
Zagrzmią światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją.
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją.

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon Dziewica.
Jak ranek z morskiéj kąpieli
I jutrznia Maryi lica,
Śnieży się obłok, słońce zukosa
Smugiem złota po nim strzeli...
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa i w niéj upodobał sobie,
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystéj pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!

Około 1822 r.

DO MARCELINY ŁEMPICKIEJ.

W dzień przyjęcia Komunii Świętéj.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł.
Dziś anioł tobie niejeden zazdrościł.
Ty spuszczasz oczy, które Bóstwem gorą!
Jak ty mnie swoją przerażasz pokorą!
Święta i skromna!... Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącéj przed barankiem bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.
Wtenczas zlatuje anioł, twój obrońca,
Czysty i cichy jak światło miesiąca,
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela,
Z takiém nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swém senném niemowlęciem.
Jeżeli promień nieśmiertelnéj łaski
Zbyt żywo w oczach anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieje,
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia
I odlatuje, biorąc twe westchnienia.
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie, dziecięciu pod głowę.
Tak się piastunka jego codzień budzi,
Z nową miłością u Boga i ludzi.
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jednę tak jak ty przemarzył.

Rzym, 1830.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! Słów nie mam dla Ciebie;
Myśl Twoja każdéj myśli méj wysłucha.
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mém na krzyżu!

I każda dobra myśl jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca.
Szlę blask, blask biorę i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie zbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca.
Jak Ty na niebie, Twój sługa, Twe dziecię
Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany,
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu zaprzedany.
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy,
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moję, a mną się nie brzydzisz!

Gdym wobec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niźli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnéj katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu—a Tyś mnie wysłuchał.

III.

Gdy mię spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono
Wylewam burzę, we łzy roztopioną!

1830.

MĘDRCY.

W nieczułéj, ale niespokojnéj dumie
Usnęli mędrcy. Wtém odgłos ich budzi,
Że Bóg widomie objawił się w tłumie
I o wieczności przemawia do ludzi.
„Zabić go, rzekli, spokojność nam miesza!“
Lecz zabić we dnie? obroni go rzesza.

Więc mędrcy w nocy lampy zapalali
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
I wziąwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga.—A zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

„Tyś to?“—krzyknęli na Maryi syna.
„Ja-m“—odpowiedział i mędrcy pobladli.
„Ty jesteś?“—„Ja-m jest.“ Służalców drużyna
Uciekła w trwodze; mędrcy na twarz padli;
Lecz widząc, że Bóg straszy a nie karze,
Wstali przelękli, lecz srożsi zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami ciało jego siekli,
I rozumami serce mu przebodli,
A Bóg ich kocha i za nich się modli.
Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemnéj jak mogiła.

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swéj pychy. Natura w rozruchu
Drżała o Boga; lecz pokój był w niebie.
Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu.

1830.

ARCY-MISTRZ.

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jednę pieśń śpiewa i gra od początku,
A świat dotychczas nie pojął jéj wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali,
A świat przez tyle wieków, z dzieł tak wiela,
Nie pojął jednéj myśli tworzyciela.

Jest Mistrz wymowy, co bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłumaczył: głosem, czynem, cudem.
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata;
Dziś świat nim gardzi, poznawszy w nim brata.

Sztukmistrzu ziemski, czém są twe obrazy,
Czém są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, boży synu,
Nieznany, albo wzgardzony od gminu!

1830.

ROZUM I WIARA.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem,
Pan je wzniósł w niebo jako tęczy koło
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu,
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę—i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! Ja-m blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie.

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary,
Z różnych jéj mniemań i barwą i szumem,
Wielkie i mętne—gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne—przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście, mali, obejrzeć krąg świata.

Konieczność—rzekli—wedle ślepéj woli
Panuje światu, jako księżyc morzu;
A drudzy rzekli: Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskiém przestworzu.

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granice wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie,
Im wyżej buchnął, tém głębiej upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnéj morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli
I znowu w niebo, zkąd wyszedł, powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącéj dłoni!
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twéj wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga;
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i wgorę się ciskasz;
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi
I spadasz z gradem... tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca.
Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy!

1830.

ZDANIA I UWAGI.

STWÓRCA.

Czemu Bóg na wzór siebie stworzył naszę postać?
Bo sam lepszego wzoru nie mógł nigdzie dostać.

USTA.

W ustach jest otwór duszy, a drogie balsamy
Wietrzeją prędko, gdy je często otwieramy.

PRZESTROGA.

Choć z tobą w drogę idzie towarzyszy wielu,
Nie powierzaj im łatwo twéj podróży celu,
Ni kierunku, ni środków, bo często się dzieje,
Że obok podróżnego wędrują złodzieje
I ciekawi są wiedzieć w jaką idziesz stronę,
Gdzie chowasz grosz na życie i miecz na obronę.

WSZECHWŁADZTWO LUDU.

Ludu! głosuj i zrób mi ze słoty dzień ładny,
Bo ja, sceptyk szkaradny, wątpię żeś wszechwładny.

WYBORY. (I)

Mówią, że Lapończycy na zimy miesiące
Zwykli sobie z gwiazd jednę obierać za słońce;

Gdy widzą, że obrana źle grzeje i świeci,
Idą od téj do drugiéj, od drugiéj do trzeciéj;
A tak ciągnąc sejmiki, aż do zimy końca,
Nie mogą się pogodzić na obranie słońca.

WYBORY. (II).

Mamy wodza wybierać, więc się, bracia, spieszmy,
Lecz wprzód sobie pułkową muzykę obierzmy;
Na pierwszego trębacza podaję sapera,
Niech trąbi, choć nie umie, wszak go lud wybiera.

JEŹDZIEC.

Szkapa najdzielniejszego rumaka wyprzedzi,
Jeśli, zamiast człowieka, duch na szkapie siedzi.

. . . . . .

MĘDRZEC. (I)

Mędrzec dmie się jak pająk, gdy w swéj norze spocznie,
Lecz gdy się spuszczać zacznie, chudnie już widocznie,
A im dłuższą nić snuje, tém się bardziej chwieje:
Oto są dogmatyków i sceptyków dzieje.

ŚWIADECTWO.

Prawnicy swe świadectwa podpisują sami:
Chłop zwykle je oznacza trzema krzyżykami;
Częściej sędzia za ważne te świadectwa przymie,
Gdzie zobaczy krzyżyki, niż gdzie własne imię.

BÓG W DUSZY.

Duszo! gdy poczniesz Boga, masz go w sercu chować,
Bo Herod już szle katów, by go zamordować
I póki twoje dziecię nie urośnie w lata,
Uciekaj do Egiptu przed oczyma świata.

PRACA.

Jeśli masz się do dzieła ważnego sposobić,
Pomyśl, czy je chcesz najpierw i czy umiesz robić;
Ja choćbym chciał i umiał, jeszcze się nie ważę,
Jeżeli mi powinność działać nie nakaże.

DZIEŁO.

Jeśli dzieło wymaga namyślań się długich,
Jeśli go nie dokończysz bez pomocy drugich,
Jeśli się wielu głupców już do niego wzięło,
Chcesz mieć czyste sumienie, porzuć takie dzieło.

ZŁE.

Dobrze, że znamy węża i że przed nim stronim,
Lecz lepiej go nie spotkać i nie wiedzieć o nim.

MĘDRZEC. (II)

Prawy mędrzec się cieszy jak pielgrzym ubogi,
Gdy spotka na pustyni towarzysza drogi;
Lecz półmędrek jak złodziej manowcami zmyka,
Bo w każdym widzi świadka lub współzawodnika.

NAUKI.

Nauki są lekarstwem, chlebem—słowo boże;
Kto ma zdrowy żołądek, bez lekarstw żyć może.

OKLASKI.

I ty się z tego cieszysz, o mądrości synu!
Żeś został z oklaskami przyjęty od gminu?
Wszak prawda w oczy kole; jeśli ci gmin klaskał,
To dowód, filozofie, żeś nie kłuł, lecz głaskał.

MĘDREK.

Mędrek dmie przed swym uczniem, przed równym się chlubi,
Lecz zarówno współmędrka jak ucznia nie lubi:
Współmędrka, żeby jego bogactw nie obliczył,
Ucznia, aby ich nie skradł lub nie odziedziczył.

BARANEK.

Nazwałeś się Barankiem, więc musiałeś, Panie,
Rodzić się wśród pasterzy, w stajence na sianie.

GOTOWOŚĆ.

Grzesznik leży, pokutnik dźwiga się na nogi,
A święty stoi prosto, gotowy do drogi.

BÓG. (I)

Nie jest punkt geometrów długi ni szeroki,
A przecież tworzy wszystkie linie i boki;
Bóg czasu nie zabiera, ani w miejscu leży,
Choć z niego miejsce wyszło i czas z niego bieży.

CIERPIENIE.

I szczęście jest nie w miejscu, ale w sobie leży,
Cierpienie tylko wiecznie ciągnie się i szerzy.

ATOM.

Świat jest tylko atomem, lecz oślepi snadnie
Najbystrzejszego mędrca, gdy mu w oko wpadnie.

DUSZA ŚWIĘTEGO.

Zaco nigdy nie wstąpi anioł w duszę świętą?
Bo ona przez samego Boga jest zajętą.

ŚWIĘCI.

Święci bezpiecznie chodzą wśród piekieł płomieni,
Ale goreją diabli grzechem napełnieni.

DZIAŁANIE.

Kiedy mowa popłynie, już uczucie ginie,
A gdy potrzebna rada, już dzieło upada.

KRZYŻ.

Odtąd przed znakiem krzyża nie pierzchną szatany,
Lecz je łatwo rozpędzi duch ukrzyżowany.

DZIEWICA I DZIECKO.

Dwie istoty szczęśliwe nawet na tym świecie,
Bo zawsze blizkie Boga: kobieta i dziecię.

SKARB.

Gdybyś szedł nocą ciemną i oczy zamrużył,
Znajdziesz skarb, któryś rano czuwając wysłużył.

BÓG. II.

Jakiego Boga do ducha weźmiesz,
Na tego podobieństwo stworzony będziesz.

Około 1836.

SEN W DREZNIE. *

Śniła się zima; ja biegłem w szeregu,
Za procesyą pod niebem, po śniegu.
Nie wiem zkąd wiemy, że na brzeg Jordanu
Idziem i wgórze odgłos: chwała Panu,

* Miałem sen w Dreznie 1831 r. marca 23, który ciemny i dla mnie niezrozumiały. Wstawszy zapisałem go wierszem. Teraz, w roku 1840, przepisuję dla pamięci.

Pokój trzem królom, ludy! do Jordanu!
Ludzie obok mnie szli dwoma rzędami,
Kobiety, starce i dzieci parami,
W bieli ubrani ci, co z prawéj strony,
Ci co na lewo, w żałobne opony,
Szli ze świecami wdół obróconemi;
Świece gorzały płomieniem do ziemi,
Jak złote strzały.
A ci bez światła szli, co po prawicy,
Każdy z nich w ręku niósł kwiat, zamiast świécy.
Spojrzałem w twarze: są i mnie znajome;
Zląkłem się, wszystkie jak głaz nieruchome.
Wtém jedna osoba wyszła z prawéj strony,
Kobieta świeci okiem przez zasłony,
Stanęła przy mnie; wtém wybiegł chłopczyna
I o jałmużnę dla ojca zaklina.
Dałem grosz, ona dała tyle dwoje.
Znowu sześć dałem, ona znów we dwoje.
Zbiegli się widze; po złoto sięgamy,
Kto z nas da więcej, dajemy, szukamy,
Wstyd nam! już wszystko daliśmy, co mamy.
Lud łajał chłopcu: oddaj im, żartują.
Oddam, rzekł chłopiec, jeżeli żałują.
Lecz nazad przyjąć już mi się nie chciało.
Postać * mnie ręką przeżegnała białą.
Wtém weszło słońce—lato—śnieg nie spłynął,
Lecz jak ptak biały dwa skrzydła rozwinął
I skacząc leciał; niebo się odkryło
I wkoło ciepło i błękitno było!
Uczułem zapach Włoch, róż i jaśminu,

* Owa kobieta. (P. p.)

Różą pachnęły góry Palatynu.
Ujrzałem Ewę,
Jaką widziałem na albańskiéj górze,
W białéj sukience i ubraną w róże;
Motyle wkoło, ona między niemi
Zdała się wznosić i nie tykać ziemi.
Twarz piękna, jako przemienienie Pańskie,
Wzrok utopiła w jezioro albańskie,
Ciekawie patrzy, nie ruszy powieki,
Jakby w téj głębi modréj i dalekiéj
Odbite swoje oblicze widziała
I przed jeziorem róże poprawiała.
Chciałem przywitać, lecz siły nie miałem,
Z gwałtownéj chęci mówić—oniemiałem;
Lecz rozkosz moja, ach! ta rozkosz senna,
Któż ją opowie?—mocniejsza niż dzienna,
Lżejsza i milsza; jawa ma żar słońca,
A sen łagodność i ciszę miesiąca.
Za ręce wreszcie jak siostrę ująłem;
Spojrzała ku mnie okiem niewesołem.
O siostro moja! patrząc w to twe oko,
Czuję me szczęście tak dziwnie głęboko,
Że mi się zdaje, że jestem w kościele.
Ona mi rzekła z uśmiechem dziecięcia:
Rodzice moi chcą mnie z innym swatać,
Lecz ja jaskółka chcę daleko latać;
Mam skrzydła dobre, patrz, jaki ptak ze mnie,
Lecę popłukać pióra moje w Niemnie.
Wiem ja o twoich wszystkich przyjaciołach,
Znajdę ich, leżą w grobach, po kościołach.
Muszę i w lasy, w jeziora przepadać,
I drzew popytać i z ziółkami gadać,

One o tobie dziwne rzeczy wiedzą,
Wszystko, gdzieś chodził, coś robił, powiedzą.
Słuchałem—i mnie nie zdała się ciemna
Jéj mowa, choć tak dziwna i tajemna.
I mnie się zdało, że sam lecieć mogę,
I prosiłem ją, by mnie wzięła w drogę.
Zląkłem się tylko, że chce na doliny
Iść, pytać o mnie drzewa i krzewiny,
I przypomniałem nagle wszystkie biedy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jéj i szczęścia i nieba niewarte...
Wtém obaczyłem jaskółkę; z powrotem
Już leci; za nią jakby wojsko czarne:
Sosny i lipy, piołuny i cząbry,
Świadczyć przeciwko mnie.
Przebudziłem się z obliczem ku niebu,
Z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu.
Sen mój był cichy. Łzy jeszcze płynęły
Gęsto po licach, i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch i jaśminu,
I gór albańskich i róż Palatynu. *

WIDZENIE.

Dźwięk mię uderzył... Nagle moje ciało,
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,

* Wiersze te były pisane, jak przychodziły, bez namysłu i poprawek. (P. p.)

Prysło, zerwane anioła podmuchem
I ziarno duszy nagie pozostało...
I zdało mi się, żem się nagle zbudził
Ze snu strasznego, co mnie długo trudził.
I jak zbudzony ociera pot z czoła,
Tak ocierałem moje przeszłe czyny,
Które wisiały przy mnie jak łupiny
Wokoło świeżo rozkwitłego zioła.
Ziemia i cały świat, co mię otaczał,
Gdzie dawniej dla mnie tyle było ciemnic,
Tyle zagadek i tyle tajemnic,
I nad któremi ja-m dawniej rozpaczał:
Już w nim ujrzałem wszystko w głębi, na dnie,
Jak w ciemnéj wodzie, na którą blask padnie.
Teraz widziałem całe wielkie morze,
Płynące z środka, jak ze źródła, z Boga,
A w niém rozlana była światłość błoga.
I mogłem latać po całym przestworze,
Biegać jak promień przy boskim promieniu
Mądrości bożéj; i w dziwném widzeniu
I światłem byłem i źrenicą razem.
I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku,
Nad przyrodzenia całego obrazem:
W każdy punkt moje rzuciłem promienie,
A w środku siebie, jakoby w ognisku,
Czułem odrazu całe przyrodzenie.
Stałem się osią w nieskończoném kole:
Sam nieruchomy czułem jego ruchy;
Byłem w pierwotnych żywiołów żywiole,
W miejscu, zkąd wszystkie rozchodzą się duchy
Świat ruszające, same nieruchome,
Jako promienie, co ze środka słońca

Leją potoki blasku i gorąca,
A słońce w środku stoi niewidome.
I byłem razem na okręgu koła,
Które się wiecznie rozszerza bez końca
I nigdy bóstwa ogarnąć nie zdoła.
I dusza moja, krąg napełniająca,
Czułem, że wiecznie będzie się rozżarzać,
I wiecznie będzie ognia jéj przybywać;
Będzie się wiecznie rozwijać, rozpływać,
Rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać
I coraz mocniej kochać swe stworzenie
I tém powiększać coraz swe zbawienie.

Przeszedłem ludzkie ciała, jak przebiega
Promień przez wodę, ale nie przylega
Do żadnéj kropli: wszystkie nawskróś zmaca
I wiecznie czysty przybywa i wraca,
I uczy wodę, zkąd się światło leje,
I słońcu mówi, co się w wodzie dzieje...

Stały otworem ludzkich serc podwoje.
Patrzyłem w czaszki, jak alchemik w słoje.
Widziałem, jakie człek żądze zapalał,
Jakie i kiedy sobie myśli nalał,
Jakie lekarstwa, jakie trucizn wary
Gotował skrycie. A dokoła stali
Duchowie czarni, aniołowie biali,
Nieprzyjaciele i obrońce duszni
Skrzydłami studząc albo niecąc żary,
Śmiejąc się, płacząc, a zawsze posłuszni
Temu, którego trzymali w objęciu,
Jak jest posłuszna piastunka dziecięciu,

Które jéj ojciec, pan wielki, poruczy,
Choć ta na dobre, a ta na złe uczy.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

DO BOHDANA ZALESKIEGO.

Słowiczku mój! a leć! a piej!
Na pożegnanie piej
Wylanym łzom, spełnionym snom,
Skończonéj piosnce twej!

Słowiczku mój! twe pióra zzuj,
Sokole skrzydła weź
I w ostrzu szpon, zołoto-stron
Dawidzki hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos i padł już los,
I tajne brzemię lat
Wydało płód, i stał się cud!
I rozraduje świat!

Paryż, w sierpniu 1841.

DODATEK I.

ŻYWILA.

POWIASTKA Z DZIEIÓW LITEWSKICH.

ŻYWILA.*

POWIASTKA Z DZIEIÓW LITEWSKICH

Grekowie i rzymskiey historyey pisarze dosyć nam ku zbudowaniu podali o cnotliwych a prawie mężkiego serca białych głowach, więc i Litwie naszey na podobnych nie zeszło przykładach; gdyby iedno kto w dziejach ony wypatrzyć, a złotem piórem okryślić chciał: ale wżdy widząc, iż nikt o tem iako żywo nie myśli, wziąłem przed się ile ze mnie będzie, krótką historyykę ze staroświeckich xiąg wyjętą, po prostu wam przełożyć.

Około lata Pańskiego 1400, panowało w Nowogródku, Słonimie i Lidzie, możne i potężne xiąże na imie Koryat, u tego za się była córka iedynaczka arcy-nadobna niewiasta; zwano ią Żywila, to iest Diana, gdyż i gładkością prawie cudną boginiey tey równała się i myślano pospolicie, iż ku małżeńskim ślubom znaczne wstręty miała; bo gdy xiążęta, a pa-

* *Żywila* ukazała się bezimiennie w n. 133 *Tygodnika Wileńskiego*, (tom VII, str. 113—121), dnia 28 lutego 1819 roku; pisana językiem starodawnym; do tytułu dodaną była wskazówka, że podanie wyjęto ze starożytnych rękopisów polskich, udzielonych redakcyi przez P. S. F. Ż.

ny możne z dalekich stron przysyłali posły, upraszaiąc ią sobie ku małżeństwu, wszystkim stale wzbraniała się: stąd wieść szła, iż w panieńskim stanie do końca żywota bydź chce. Ano wcale inaksze były tych uporów przyczyny. Xiężniczka Żywila od czasu nieiakiego rozmiłowała się skrycie litwina Poraya, męża z rycerskiem sercem, który przez swe wyśmienite przewagi woienne mocno był xięciu Koryatowi spodobany i w niebycie jego rząd nad wszem państwem sprawował, zkąd nie trudno mu było z lubownicą swoią tajemne schadzki miewać, gdzieby miłości swoje wynurzali i wzaiemnie się pocieszali.

Stało się, iż krótko potem wrócił z woyny xiąże Koryat i zasmucił się niepomału, wielką w kochaney córce swoiey upatruiąc przemianę. Ony łzy, ony wzdychania, ony bladości, ony lękania się i drżenia ustawiczne przed oycem, dały mu wszystko, iako było, wyrozumieć. „Córko odrodna, zawołał, na to przywiodła cię rozpusta a wszeteczność, iż zhańbiłaś na wieki dom oycowski? Idź precz z przed oblicza mego; i ty, i kto cię na tę niecnotę zaprawił, śmiercią okrutną pomrzecie.“ Jakoż wytrąbiono z urzędu po mieście, iż ktoby wymienił gamrata księżniczki Żywili, albo o nim lice iakowe powziął, bogato udarowan odeydzie. Alić trąbienie na świat poszło, gdyż nikt nie był, coby o skrytych miłościach onych coś wiedział, abo wiedząc Koryatowi doniósł. Xiężniczka Żywila była w szczególnem zamiłowaniu u sług i poddanych swoich, a na rycerza Poraya, który pokątnie nieszczęścia swego płakał, a na dworze w wesołą twarz ubrać się umiał, żadne iako żywo nie przyszło podeyrzenie.

Widząc tedy Koryat, iż wszytki iego posłuchy i śledzenia nie skutkuią, a w iedno nic się nie obracaią, mocno na córkę swoię nastawał, wielkie grozy czyniąc; ale ona statecznie w cierpliwości stała. „Oycze mój, — pryznam, iżem winna znacznej winy, karay mię, otoć jestem, znam iżem niegodna znaleźć u ciebie miłosierdzie; przed się drugiey duszy niewinney gubić z sobą nie mogę, abych cięższey ieszcze Bogów nie obraziła.“ Xiąże zatem spuścił nieco z onych pierwszych srogości, iął się pochlebstwa, i złość w mowie iedwabney przykrywaiąc, obiecował iey dobrym słowem, iż grzech przepuści, abych iedno wszetecznika, coby zacz był, mógł wiedzieć.

Żywila milczała, łzami i szlochaniem odpowiadaiąc. Xiąże tedy zagniewawszy się gniewem wielkim, kazał iedyną córę swoję w łańcuchy wsadzić i do lochu pod straż wrzucić, zkąd miała być nie długo wywiedziona ku traceniu.

I maż kto style, aby podołał opisać lamenty i ciężkie smętki a płacze, które stąd po wszem mieście powstały? bo xiężniczkę Żywilę naród w przedniey, jakoby bóstwo iakie miał uczciwości, iakoby matkę kochaną miłował, iż rada ubogie ludzie wspierała, a srogi przeciwko poddanym umysł książęcy łagodziła.

Szedł tedy lud w gromadach wielkich na dworzec pański, gorzko płacząc a żebrząc miłości, ze strony ubogiey xiężniczki. Przed się nic uprosić nie możono.

Onego czasu także na pograniczu trwały woyny między ruskimi kniaziami a Litwą. Iwan, uzbierawszy siła woysk wszelakich, miasta ubiegał, ogniem

i mieczem następował tak, iż nim się o tem wieść rozbiegła, mnogość ludu a krwie uczciwey napsował, za się szybko nadciągnąwszy, niedaleko miasta obozy rozłożył.

Działo się to dniem przed świętami Peruna; nazajutrz miano tracić xiężniczkę Żywilę.

Poray od Koryata z garstką przebranego rycerstwa słany był, ażeby wstręty jakowe nieprzyjacielowi uczynić, zaczemby obrony przyzwoite u murów nastawiono. Ten, chociaż z daleko ogromnieyszym a srogim sobie napastnikiem sprawę miał, przed się serca nie tracąc, na ludzie jego bez sprawy lada iako ciągnące, z taką mocą a gwałtem wielkim padł, iż je na głowę poraziwszy, do kosza wegnał, i przyszłaby dnia owego zguba ostateczna na Rusiny, gdyby noc potrzebie końca nie dała.

Poray, nic nie mieszkaiąc, nieprzyjacioły woyski swemi obsaczył; sam do miasta z radosną nowiną bieżał. Odprawowano w mieście wesele wielkie. Koryat naprzeciw Poraya z niemałym pocztem wyiachał, cześć mu wszelaką wyrządzaiąc i obrońcą swoim zowąc, więc i do zamku społem na ucztę z sobą zaprosił, a gdy się sami iedni znaleźli, Poray iako stał, upadł do nóg xiążęcia, szerokiemi słowy wierność a stateczność swoią wywodząc: „A toć, xiąże i panie móy, poraziłem nieprzyjacioły twoie porażką znaczną, i dadzą-li Bogowie do małego szczętu wygubić ich, w tem za się to za nagrodę sowitą mieć chcę, abyś córki twej iedyney nie tracił, a mnie ią z łaski swey w małżeństwo oddał; za którą łaskę twoią krwią i maiętnością, ile ze mnie jest, obsługować nie chybię.“ Xiążę wmiast dobroci, niechęć pokazował,

i takiemi słowy rzekł: „Poraiu, napełniłeś mię weselem i smętkiem; raduię się słysząc o tak zacnych posługach twoich, a zasię przecz wymagasz co iest nad moc moię? Owe święte a wielkie przodki nasze, Xiążęta Litewskie, wiesz iak córek swoich poddanym za mąż nie dawali, a źle z tym jest, kto krwie swey niedbały, na lekkość ią puszcza; więc i z tym, kto się z powodzeniem w pychę wbija, a zbytnie wyżey, iak nań przystało, sięga. Lepak i to imo się puszczaiąc, córka moia wyrodna domu xiążęcego godność iście splamiła.... Wierzyć nie chcę, abyś iey do takowey sromoty przywódcą był. Wżdy zkądby się tak nagła ku tey wszetecznice miłość twoia wzięła?... nie rozumiem. Zaś i z tych gołych podeyrzeń oczyścić się musisz; na ten czas obaczę, co z tym mam czynić.“

Po rozhoworze takowym, rozeszli się obadwa na pozór łaskawie, obadwa gniewy wewnątrz złamali i pokryli. Poray niewdzięcznością pańską do żywego poruszony, a prawie gromem rażony, przeczuł, iż zło nad nim wisi, zemstę przeto głęboko w sercu zasadzoną ważył. Xiąże tyż rozumiał o Poraiu, iż krom wątpliwości, przez ów z xiężniczką nierząd i przez rycerskie szczęście, stolicę pana swego chce posiąść. Dla tego przemyślał, iakoby mu żywot wzięty bydź mógł, teraz uczynić tego nie śmieiąc, snadź by się rozruch nie stał pomiędzy ludem, który Poraia po mieście obrońcą wykrzykiwał; zaczym ku wytłuczeniu do reszty nieprzyiaciół, prawica Poraia ieszcze potrzebną była.

Działo się to w noc przed świątkami Peruna; nazaiutrz miała być tracona xiężniczka Żywila.

Iwan tymczasem, porażony i ściśniony srodze, wyglądał, rychło mu czas ostatateczny zabłyśnie i wszelkiey nadzieie próżen, biedził się, nie wiedząc iaką lepszą radę wziąść przed się. Gdy oto drabanci obozowi wbieżeli mówiąc, iż mąż nieiaki, w czarney zbroicy do obozu iechał, a słuchania xiążęcego prosi. Kazano go wpuścić. Szedł więc i rzekł: „Kniaziu Iwanie, Poray iestem, którym ludzie twe dwakroć pobił i ciebie obsaczonego zewsząd trzymam, a otoć przychodzę, oddać w ręce twe miasto z xiążęciem iego i ze wszytkiemi dostatki i woyskiem iego. Masz mnie iedno przysiądz przysięgą wielką, iż ludzi ogniem i mieczem psować nie będziesz, a iż księżniczka pewna, w mieście uwięziona, żoną mi dana być musi ze wszelakim bezpieczeństwem.“

Iuż się zabierało na brzask przededniem świąt Peruna, a dnia onego miała bydź tracona xiężniczka Żywila.

Nagle hałas i zgiełk nad podziw wielki rozszedł się po wszem mieście; co żwawsi obywatele, zastawiaiąc się oney gwałtowney napaści, gardła dali. Innych trwogą potłumiono, tak iż poddanność nieprzyiaciołom uczynić musieli.

Poray wybiia więzienie i znayduie (zgroza mówić) ulubioną swoię, bladą, półżywą, na lichym posłaniu, lada iako porzuconą, w ciemnice. Obaczywszy Poraia zemglała.

Niesiono ią zatym na ulicę, aby iakokolwiek oczucić, a ducha iey przywołać. Ratowano, a ona się nie czuła; zbiegł się lud to widząc, i stało się wołanie i krzyk wielki; ano przed się nie czuła. Nareszcie wdzięczne oce otwieraiąc cudowała się mocno, widząc

w około ciżbę ludu i zbroyne męże nieprzyiacielskie. Na on czas Poray przystąpiwszy, rzekł: „Złóż twoie boiaźni naymilsza, to są boiownicy Iwana, zemściciela krzywd naszych, którego opieka z nas nie zeydzie.“ Żywila to usłyszawszy, dobrze znowu nie zemglała, potym zasię nagle miecz od boku Poraia wychwyciwszy, tak silnie sztychem w piersi mu uderzyła, iż na skroś przepadł. „Zdrayco, wołaiąc, tak li u ciebie małą była oyczyzna, iż ią dla trochę tey gładkości zaprzedałeś? człowieku beze czci, tak li odpłaciłeś za moie stateczne miłości? Aza wy obywatelowie, przecz stoicie jakoby nie do was mówiono, przecz nie obrócicie na tych oto zbóyców gniewu i zemsty waszey?“ To mówiąc, z mieczem na nieprzyiacioły blisko stoiące godziła; czym lud wszystek, iakoby kto ogniem po nich rzucił, poruszony, dopadłszy co kto mógł, z broniami i mieczami, na Rusiny, nic takowego niespodziewaiące się, bieżał. Wytępiono ich moc wielką, po domiech i ulicach, resztę żywcem brano a więziono. Żywila, przybiegłszy kędy Koryat z tarasu świeżo wypuszczony stał, „Oycze móy,“ zawołała i padła bez dusze.

Pochowano ią pod Mendogową górą, kędy kopiec usypano i drzewa na pamiątkę sadzono. Staruszkowie, dziękuiąc Panu Bogu wszechmogącemu, iż ich na hańbę a urągowisko nieprzyiaciela nie podał, powtarzaią dziatkom swym imie Żywili.

DODATEK II.

WIERSZE WĄTPLIWÉJ AUTENTYCZNOŚCI.

DODATEK II.

WIERSZE WĄTPLIWÉJ AUTENTYCZNOŚCI.

W IMIONNIKU M. S. *

Kowno, 1824 aug. 16 d.

Jak wielorakie świecą na tém błoniu kwiaty:
Jedne szumne w jaskrawych dowcipu ozdobach,
Drugie przyjaźń sadziła; te wzrastają z laty,
Inne żałośnie więdnąć zdają się na grobach,
W których są pochowane serca i nadzieje.

Kiedy pani przechodzi ten ogród pamiątek,
Nad jednym może westchnie, z wielu się rozśmieje,
Ujrzy i szczupły dla mnie oddany zakątek...

A choć równie z innymi nie możesz go cenić,
Chociaż wyda się tylko samotną drożyną,
Która, długiego słońca i niepogód winą,
Nie może się zakwiecić ani zazielenić:
Wspomnisz jednak o dróżce, choć z tego powodu,
Że przedziela kwatery pięknego ogrodu.

---

* Wiersz ten wydrukowano po raz pierwszy w „Birucie“ 1838 r. (w części II, str. 4) i przypisano go Mickiewiczowi, ale data obudza wielkie wątpliwości co do pochodzenia tego utworu.

DO . . . . . *

Gdybym się zmienił w wstęgę złocistą,
Co na twém czole połyska;
Gdybym się zmienił w tę szatę mglistą,
Co piersi twoje przyciska:

Drżenia-bym serca twojego badał,
Czy nie odpowie mojemu;
Z twojém się łonem wznosił i spadał,
Posłuszny tchnieniu twoiemu.

Gdybym się zmienił w wietrzyk skrzydlaty,
Co dysze w pogodném niebie:
W drodze-bym mijał najświeższe kwiaty,
A pieścił różę i ciebie.

Może nakoniec Bóg litościwy
Pracę-by moję ocenił:
Może nakoniec byłbym szczęśliwy
I w twe się serce zamienił.

---

* Oprócz Mickiewicza, jako autora tego wiersza podają Mikołaja Węża (zob. „Ateneum“ 1879, t. I str. 398—100

DZIEWICA NA ROZDROŻU.

Improwizacya do H. S.

DZIEWICA.

Dwie drogi mam przed sobą, nie wiem kędy wiodą,
Wychodzę na świat z domu, od ojca, od matki,
Szukać i zbierać życia doczesnego kwiatki,
Co mi będą pociechą, rodzicom nagrodą.
Lecz jakie są, gdzie rosną, nic wiedzieć nie mogę.
O mój dobry pielgrzymie! opowiedz mi drogę.

PIELGRZYM.

Nie błądzi, kto się pytać ma ufność, pokorę,
Bo błądząc szukać drogi, śmiertelnych udziałem;
Na usłudze podróżnych już się zestarzałem;
Wielu pyta, lecz późno, ty się pytasz w porę.
Dwa są życia ogrody i dwie do nich drogi,
Jedna idzie od wschodu, druga od zachodu,
Ta jest stroma, skalista i przybrana w głogi,
Do tego, kędy wiedzie, podobna ogrodu.
Twarda ziemia w ogrodzie i twarde są płody,
Przedniejszą tam ozdobą są dęby i skały,
Długo rośnie tam owoc, nim będzie dojrzały.
Na wysokich zbyt drzewach rwać trzeba jagody;
Niema tam chwil i godzin, same tylko lata,
Niema pór, jedna wiecznie panuje pogoda,
Niema farb, wszystko kryje jednobarwna szata,
Niema nowych zwyczajów, wiecznie jedna moda;

* Wiersz wydrukowany po raz pierwszy w „Noworocznik u litewskim na r. 1831,“ str. 161—163 i przypisywany Mickiewiczowi.

Nie znają tam co różność, rozmaitość, mnóstwo,
Mieszkańcy tam jednacy, jako jedno bóstwo,
I myśl ich zawsze jedna, jako jedna wieczność
Łączy przeszłość, obecność i przyszłą konieczność.
Na cierniach i opokach spoczywa wygoda,
Wpośród trudów błogiego zażywając stanu,
Ich użycia żywota godłem zdrowa woda,
A ich duszy obrazem, cisza oceanu.
Ten ogród jest ogrodem Cnoty-czarownicy,
Nie powabny i groźni siedzą tam strażnicy;
Lecz kto ufa, że Boga, że siebie nie zdradzi,
Lew mu bramę otworzy, słoń go zaprowadzi.
Na prawo widzisz drugą, druga idzie ścieżka,
I gładka i pochyła, kwiatami ozdobna,
Do tego, kędy wiedzie, ogrodu podobna.
Tam druga czarownica, zwodna Rozkosz mieszka.
Widziałaś w piękne lato przy zachodzie słońca,
Na powietrzu krąg drobnych, niezliczonych muszek?
To jest obraz mieszkańców, ich myśli, serduszek,
Ich żywota w ogrodzie i obraz ich końca.
Murawa tam posłaniem, lecz wpośród uśpienia,
Nie odświeża mieszkańców balsam ukrzepienia;
Różnobarwnym czarują tam kwiaty kolorem,
Lecz które kwitły zrana, więdnieją wieczorem.
Tam mieszkańcy tak różni, jak różne owadki,
Ich myśli tak odmienne, jak odmienne kwiatki,
Używają ogrodu, nie syci ogrodu.
Piją miód, i wypiwszy, niekontenci z miodu.
Nie myślą tam co było, co będzie za długo,
Chcą samą, coraz inną, obecnością władać,
Jedną czaszą słodycze, gorycz piją drugą,
Śmieją się, aby płakać, latają, by spadać;

Ich jestestwo tak lekkie, jak puszek i cienie,
Tron ich sławy dźwigają zefirów ramiona,
Obrazem ich żywota jest senne marzenie,
Ich szczęście błyskawica, oślepi i kona.
Kto w próżnym między ziemią a niebem zakresie
Chciałby mieć rydwan szczęścia ciągnion przez powiewy,
Niech tu idzie z ufnością i nadzieją Ewy,
Wąż mu bramę otworzy, motyl go zaniesie.
Masz ogrody i drogi, masz otwarte pole,
Lecz wybór chciej, dziewico, na twéj zważyć szali;
Bo żeby woleć jedno, na to Bóg dał wolę,
A rozum, byśmy z woli przed nim sprawę zdali.

DO DEOTYMY.

(Z powodu jéj improwizacyj). *

To nie marnéj błyskawicy,
To natchnienia ogień szczery;
Nie skowronka drżące kręgi,
Co tam kwili gdzieś wysoko:
To silny polot orlicy,
Co pewna swojéj potęgi,
W nadchmurne szybuje sfery,
Zajrzeć słońcu oko w oko.
To nie pozory zachwytu,
To nie martwa forma bytu:
Tam coś nieziemskiego wieje,
Tam Duch zewsząd promienieje.

* Wiersz ten wydrukowano tylko w wydaniu warszawskiém pism Mickiewicza, w tomie V.

Uwierz więc w siebie, natchniona,
I niech z piersi twéj ogniska
Duch, którym-eś nawiedzona
Na wsze strony jędrnie tryska.
Lecz pamiętaj, wróżko młoda,
Że do sławy ściezek wiele,
Że są duchy-zwodziciele;
Bacz, który z nich rękę poda.
Jak cię pokrzepia otucha,
Tak niechaj świeci przestroga:
„Nie w każdego wierzaj ducha,
„Lecz doświadczaj, czy jest z Boga.“

*
* *

Wpośród wszechświata obszarów
Pała słońce wiekuiste,
Zawsze święte i ogniste,
Z niego ogień twórczy bucha;
I jest lutnia Duchów-Ducha,
Strun ma siedem, z siedmiu darów;
Z tych strun wieczna pieśń wybrzmiewa:
Pean chwały, hymn żywota,
A na ich ton zgodnie śpiewa
Chór: Prawda, Piękność i Cnota.
Co nie iskra tego Znicza,
To wszystko mara zwodnicza;
Co nie lutni prawe brzmienie,
To wszystko fałsz i złudzenie.
A nikt nie dojrzy promienia,
Który z tego słońca bije,
I nikt nie dosłyszy pienia,

Co z boskiéj lutni powiewa,
Tylko z wysokości drzewa,
Na którém owoc zbawienia
Raz urósł i wiecznie żyje.

*
* *

Tyś téj wyżyny dostojna,
W tobie ogień święty płonie;
Imię twoje Bogobojna.
Pokora ci, ku obronie,
Niech kieruje lotem skrzydeł
I ochroni cię od sideł.
Bo tam nawpół górnéj drogi,
Dokąd duch z zapałem leci,
Gdzie ci gwiazda sławy świeci,
Siedzi Pychy pająk srogi
I rozpina swoje sieci.
Ale ty pokonasz wroga;
Bądź tylko w tę cnotę zbrojna,
Co nam objawiona z Boga:
„Wywyższon, kto się uniża.“
Z korną modłą bez obawy
Wzlatuj, próżnéj próżna sławy.
Widzę, jak się chwila zbliża,
Gdzie uwieńczy twe natchnienie
Najpiękniejsze przeznaczenie,
Gdzie cię nazwie pokolenie
Deotymą, Wieszczką Krzyża.

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Nr III/1A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO.

		Str
I.	ADAM MICKIEWICZ (życiorys)	I
II.	BALADY I ROMANSE:	
	Pierwiosnek	3
	Romantyczność	5
	Świteź	7
	Świtezianka	14
	Rybka	20
	Powrót taty	25
	Kurhanek Maryli	28
	Do przyjaciół	33
	To lubię	34
	Pani Twardowska	40
	Tukaj	44
	Lilie	54
	Dudarz	67
	Ucieczka	74
	Renegat	80
	Czaty	83
	Trzech Budrysów	85
	Objaśnienia	87
III.	SONETY EROTYCZNE:	
	Przypomnienie	91
	Do Laury	92
	Widzenie się w gaju	94
	Ranek i wieczór	95
	Do Niemna	96
	Błogosławieństwo	96
	Z Petrarki	97
	Strzelec	98
	Poezyo! gdzie cudny pędzel twojéj ręki?	98
	Rezygnacya	99
	Do ***	100
	Dzień dobry	102

		Str.
	Dobranoc	102
	Dobry wieczór	103
	Do D. D.	104
	Do wizytujących	104
	Pożegnanie	105
	Danaidy	106
	Ekskuza	107
	Objaśnienia	107
IV.	SONETY KRYMSKIE	109
	Objaśnienia	123
V.	EROTYKI I ELEGIE:	
	Żeglarz	131
	Do malarza	133
	Do M.	135
	Do Maryi Putkamerowéj	136
	W sztambuchu Maryli	136
	Nowy rok	137
	Majtek	138
	W imionniku Salomei Becu	139
	W imionniku Ludwiki Mackiewiczówny	140
	W imionniku H. Hołowińskiéj	140
	Żeglarz (w imionniku Z.)	141
	W imionniku Karoliny Rzewuskiéj	142
	Zaloty	142
	Dwa słowa	143
	Niepewność	144
	Do D. D.	145
	Rozmowa	146
	Sen	147
	W imionniku *	148
	W imionniku **	148
	Do D. D. (elegia)	149
	Godzina	150
	W dzień odjazdu	153
	Do imionnika Apollona Skalkowskiego	155
	Na pokój grecki	155
	Do imionnika panny Jaenisch	158
	Do Maryi Szymanowskiéj	158
	Nieznajoméj siostrze przyjaciółki mojéj	159
	W imionniku Celiny Szymanowskiéj	159
	Do... (na Alpach (w Splügen)	160
	Do mego Cicerone w Rzymie	161
	Do H. (Znasz-li ten kraj)	162
	Nad wodą wielką i t. d.	163
	Gdy tu mój trup i t. d.	164

Str.

Do samotności 165
Polały się łzy me i t. d. 166
Te rozkwitłe świeżo drzewa. 166
Kochanek duchów i t. d. 168
Snuć miłość i t. d. 168

VI. PRZEMOWY, ODY I PIEŚNI.

Już się z pogodnych niebios i t. d. 173
Zima miejska 176
Impromptu powinszowania 179
Pieśń Filaretów 180
Toasty 182
Oda do młodości 183
Do Aleksandra Chodźki 186
Chór strzelców 188
Czyn 189
Śmierć pułkownika. 191
Pieśń żołnierza. 192
Wizyta pana Franciszka Grzymały 193
Ułamek z improwizacyi 194
Ad Napoleonem III 194

VII. POEZYE RELIGIJNO-GNOMICZNE.

Hymn do N. P. Maryi 199
Do Marceliny Łempickiéj. 201
Rozmowa wieczorna 202
Mędrcy 203
Arcy-mistrz. 205
Rozum i wiara. 206
Zdania i uwagi. 208
Sen w Dreznie. 212
Widzenie 215
Do Bohdana Zaleskiego 218

VIII DODATEK I.

Żywila, powiastka z dziejów litewskich 221

IX DODATEK II. WIERSZE WĄTPLIWÉJ AUTENTYCZNOŚCI.

W imionniku M. S. 231
Do..... 232
Dziewica na rozdrożu 233
Do Deotymy 235

Miejska Biblioteka Publ. w Białymstoku
3144 | 12603

VI.

VII.

VIII

IX

3144
12683